

Łoś Wincenty

NIEDYSKRECJA

U CYGANÓW

OPOWIADANIE MALARZA.

I.

Lat temu kilkanaście, zaczynałem karierę artystyczną i chciwy byłem
rozgłosu,
jakby największego skarbu.

Owocem bezsennych nocy, spędzonych na wyszukiwaniu
porywającego przedmiotu, był
projekt wzięcia za temat do obrazu — cyganów.

Myśl zrodziła się w Warszawie, w ciasnej izdebce na strychu, o
godzinie czwartej
rano.

O piątej mój obraz narysowany był w głowie, a tego samego dnia
wieczorem
wsiadłem do wagonu, który mnie miał zawieźć do kraju tych
nomadów.

Obraz postanowiłem wykończyć w szczegółach, oprzeć go na
studyach i wystąpić z
nim, jako pretendent do złotego medalu na najbliższej wystawie
powszechnej w
Paryżu.

Przypomniałem sobie, iż w Monachium kolegowałem i przyjaźniłem
się z węgierskim
malarzem Sekai, który studyował lud madziarski.

Skomunikowawszy się z nim listownie, podążyłem do Pesztu.
Pozyskanie Sekai'ego dla mego przedmiotu, stało się kwestią jednej
godziny.
Postanowiliśmy obaj wygotować dwa cygańskie rodzajowe obrazy i
wystąpić z niemi
w paryzkim salonie, zadziwić świat, zdobyć rozgłos i kupy złota.
Sekai jednak,
głęboki znawca sztuki i badacz ludu, tak słusznie zauważył:
— Jeśli chcesz poznać cygana ze stanowiska artystycznego, to mu się
nie
przypatruj na jego tle właściwem. Tyrolczyk mniej uderza w Tyrolu,
cygan nie
olśniewa wyobraźni w Węgrzech. Pojedziemy do znanego mi
miasteczka Bardyowa,
leżącego tuż na granicy Galicyi. Tam zaciągniemy się do pierwszej
cygańskiej
bandy, wychodzącej na letnią wędrówkę, i przeciągniemy po tamtej
stronie Karpat,
przez szeroki pas cudownego kraju.
— Zgoda! — zawołałem, przerywając przyjacielowi opis piękności
Węgier i Galicyi,
widzianych ze szczytów, oddzielających te krainy Karpat. Łaknąłem
wrażeń, nowych
widoków, chciwy byłem poznać obozowe życie tułaczey bandy, która
od wieków nie
zmieniła swego sposobu życia i przedstawiała dla artysty tyle skarbów
pierwotnej
poezyi, oryginalnego kolorytu, tyle artystycznych typów i scen.
Po trzechdniowym pobycie w Bardyowie, zaczęliśmy wątpić, czy
spotkamy bandę
cygańską złożoną z kilkudziesięciu ludzi i choćby jednego namiotu.

Pora była spóźniona. Trawa na łąkach już pokrywała się złotem kwieciem;
zголоdniały koń choć dorywczo mógł się dobrze pożywić. Cyganie przeszli już
Karpaty i przeciągnęli na północ i wschód.
Przez Bardyów przechodziły tylko niedobitki, jednokonne obszyte płótnem wozy,
należące do rodzin postanawiających na własną rękę odbywać letnia wędrówkę.
A nam trzeba było obozu z wodzem na czele, z cygańską muzyką i rozpinającym się
po lasach i różnych łąkach namiotem, z wróżącemi staremi wiedźmami, ze zgrają
czarnych bachorów, z ogniskiem w około którego tańczyłyby wśród dźwięku dzwonków
czarnowłose cyganki.
Rozesłaliśmy gońców na wszystkie strony ale napróżno.
Już zaczynaliśmy powątpiewać i martwić się, jakby nieszczęściem, gdy dano nam
znać, że banda cygańska prowadzona przez słynnego Belę, rozbiła namioty u
podnóża Karpat, tuż niedaleko Bardyowa w Galicyi.
O Beli słyszeliśmy już w Bardyowie, jako o królu cyganów. Szczerosrebrne guzy na uprzężach miały jego konie, a lśniły od złota i czerwieni
jego córy.
Opowiedziano nam dalej, iż był on postrachem wsi i miasteczek, bo musiał mieć
konia, który mu gdziekolwiek wpadł w oko; bo wieczery inaczej nie ja-

dał, tylko w około ogniska, przy którym piekł się wół lub najpiękniejszy w miejscowości baran.

A gdzie stanął obozem, tam rozpuszczał dziesięć starych cyganek w łąchmanach,

które rano wychodziły z zasmolonemu kartami, muszlami i czarami, a
wracały
wieczorem z pełną monety sakwa.
Natychmiast wynajęliśmy parę dzielnych szkapin i kazali woźnicy, co
koniom tchu
i sił starczy, pędzić i wspinać się po wierzchołkach Karpat.
Bela bowiem nigdzie długo się nie zatrzymywał, lato musiało mu
wystarczyć na
splądrowanie całego pasa kraju, roztaczającego się wzdłuż Karpat.
Ciągnął on zygzakami przez wszystkie prześliczne miejsciny, bielejące
wśród
zielonych równin i wyglądające jak białe mrowisko u podnóża
niebotycznych gór i
w pogodne dni migotających śniegiem ich szczytów.
Docierał aż do granic Bukowiny i Mołdawii. Dłużej niż gdziekolwiek,
popasał w
Dzwiniogrodzie i powracał nazad znów innym zygzakiem,
odwiedzając miasta leżące
dalej od pasma gór, jak Stanisławów Halicz, Żydaczów. Dobromil,
Sanok i inne.
Tak nam o Beli opowiadał nasz woźnica, poganiając co chwila swoje
kare konie,
które opierając się na końcach kopyt, wyciągały głowy i zaokrąglały
w kabłąk
szerokie i utuczone krzyże.
Bo też wspinaliśmy się na najwyższy szczyt Karpat w tej okolicy,
leżący na
najkrótszej drodze między

Bardyowem a Żmigrodem, na którego łąkach Bela miał rozpiąć
namioty.

Ten szczyt zwał się Magóra.

Nigdy nie zapomnę cudownego krajobrazu, jaki roztoczył się u nóg
moich, gdy

wskoczyłem na najwznioślejszy szczyt Magóry.

Kawał Węgier i kawał najpiękniejszy Galicyi leżały jak malowidło
jakie na
ogromnym, okrągłym talerzu.
Wśród nieprzejrzaných lasów, kupkowate białe punkciki odznaczały
miasteczka,
dwory i wsie; widziane z tej wysokości zdawały się być gęsto jak bób
posianemi,
na tej szmacie świata.
Odległości milowe niknęły w złudzeniu, jakie sprawiały spiętrzenia
gór, powoli
spływających ku podkarpackim równinom.
Piętrzyło się to wszystko jedno na drugim, poprzerzynane srebrnemi
nitkami, do
jakich podobne były rzeki Poprad i Kopa, Jasia i Suchy, usiane
dziewiwicznym
lasem i zielonemi dolinami.
Wyglądało to jak czarodziejski ogród duży, rozłożony na falistych
wzgórzach z
kłąbami i strumykami alejami i ścieżkami, domkami białemi i
mostkami. Ta
przestrzeń kilkunastu mil kwadratowych Galicyi, tworzyła harmonijną
całość.
— A gdzie Żmigród? — zapytałem, ochłonawszy z czarodziejskiego
wrażenia, bo mi
pilno było do moich cyganów.
Opalony madziar stanął na koźle i końcem bata

wskazał mi gdzieś daleko, jakby jeden dach, wyzierający i srebrzący
się do
słońca z gęstwiny lasów.
— Żmigród, tak daleko! — westchnąłem. A woźnica nas objaśniał, że
Bela będzie
bliżej, może między Ropianką a Łysogórą, gdzie roztaczała się
szeroka równina
łąk i pastwisk.

I batem pokazał nam zielony gazon rajskiego ogrodu, otoczony szpalerami grabów i świerków.
Konie odpoczywały, a my rozglądaliśmy się dokoła, nie wiedząc doprawdy czy śnimy, czy na jawie własnymi oczami widzimy szmat polski.
Sekai szkicował.
A ja dopytywałem się o to i owo mego woźnicy, który znał ten kawał kraju jak swoją kieszeń.
Zaintrygowały mię dwa białe zameczki, leżące jeszcze w górach niedaleko od nas,
jeden w Galicyi, drugi na "Węgrzech.
Oba dziwnie były piękne. Podobne do siebie, jakby dwaj bracia przyrodni, jakieś tęskne poezją swych gotyckich wieżyczek, może dlatego że się nigdy wzajemnie widzieć nie mogły.
A woźnica opowiadał, że dwa zameczki należały do jednego właściciela, choć przegradzała je niebotyczna Magóra.
— Lat temu sporo — mówił — pan tego błyszczącego cynkowym dachem zamku, polak, ożenił się z dorodną węgierką, która mieszkała w tych murach pokrytych czerwone blachą.
Tu wskazał batem na zameczek galicyjski i zaraz

potem jednym obrotem ręki spoczął końcem swego biczyska nad dumną, choć wązka wieżycą, zdobiącą już węgierski kraj.
Coś było poetycznego w tej historyjce mego chłopa.
Zapytałem więc go ciekawie, wskazując ręką na czerwone dachy węgierskiej miejscowości, jak ona się zowie.
— Nie wiem! — odparł, ruszając ramionami.

— A to? — zapytałem jeszcze, obracając się twarzą do Żmigrodu i
rzucając pełne
ciekawości spojrzenie na romantyczną, cynkiem pokrytą budowę.
Woźnica się zamyślił i po chwili dopiero odparł z radością widoczną,
że sobie
przypomniał nazwisko:
— Czarada! Czarada!
Konie wypoczęły i napasły się węgierskim owsem; wsiedliśmy więc
do bryczki i
ruszyli dalej. Jazda była aż ha! — koła tylko warczały, a konie siadały
w kłusie
na zadach, nie mogąc utrzymać wozu staczającego się ze szczytu
Karpát.
Węgry zniknęły, rozszerzała się tylko Galicya.
Sekai milczał, a ja rozmyślałem jeszcze nad Czarada i tym polskim
panem, tą
węgierską dziewczicą.
Zdawało mi się, że gdybym był pisarzem, z tych tylko danych
stworzyłbym powieść.
Co chwila zagadywałem woźnicę o szczegóły tego romansu w
Czaradzie.
Ale nic się nie dowiedziałem. Dawne to były czasy. Teraz w
Czaradzie mieszkał
syn tego małżeń-

stwa, które skupiło w jedną rękę dwie rezydencje, zdało mi się wtedy,
najpiękniejsze jakie widziałem.
Już noc zapadła, już wóz nasz szparko się toczył po gładkiej drodze,
prowadzącej
do gościńca łączącego Duklę ze Żmigrodem, a ja oglądałem się
jeszcze, czy nie
widać białych murów Czarady.
Jeszcze migotał zamek swą srebrną wieżą do wchodzącego, het daleko
za Jasłem,
księżycyca.

Wtem wjechaliśmy w las, na krawędzi którego wyminęło nas dwóch
młodych chłopów,
ubranych dość oryginalnie.

Woźnica nasz się zatrzymał.

— Hej! chłopcy! — zawołał — nie widzieliście cyganów?

— Jakich cyganów?

— Od Beli. Chłopaki przystanęli,

— Nie słyszycie muzyki? — zawołał jeden z nich — ot zaraz za
lasem, na

Chyrowskiej łące nocują.

Woźnica zaciął konie, a mnie serce zabiło.

Za kilkanaście minut miałem się znaleźć w otoczeniu, o którym od
kilku tygodni

marzyłem.

Sekai nadstawiał uszu i twierdził, że słyszy cygańskie din, din, din...

Wreszcie bryczka wytoczyła się z gęstwiny lasu.

Noc zapanowała wszechwładnie.

Nagle olśniła nas luna od ogromnego cygańskiego obozowiska.

Na polance pod lasem, ognisko buchało płomieniem i oświecało
różnobarwne ludzkie
postacie.

Zabłyśły srebrne guzy na kurtkach mężczyzn, czerwone chusty na
opalonych szyjach
kobiet.

W ogniu i dymie zarysowały się sylwetki atletycznych cyganów,
rozpięte namioty,

budziaste wozy i profile grubych, ogoniastych koni.

— Prędzej jedź! — zawołał Sekai.

A muzyka dzika, pełna siły i werwy, coraz bliżej, coraz głośniej, coraz
dźwięczniej w uszach naszych brzmiała:

— Taraban, tara ban! din! — din! taraban din din din!... din... din...

Cyganki tańczyły, podnosząc w górę opatrzone dzwonkami talerze, i
zagłuszały

dziką orkiestrę swem.

— Bum! bum! din din din... din din din!

II.

Trzy tygodnie upływało, jak przystąpiliśmy do cygańskiej bandy i włączyli się z nią od wioski do wioski, biorąc udział w tem nadzwyczajnem życiu. Nie nudziliśmy się, bo wrażeń, jakich doznawaliśmy w tej wędrówce, nie dałaby nam żadna inna artystyczna wycieczka.

Banda składała się z czterdziestu i kilku głów, z których każda wkrótce znalazła się w tece mojej i Sekaiego. To były pierwotne, dzikie typy, to były malownicze ciała i pełne barw nieznanych charaktery, których wierne odtworzenie jest rzeczą dość trudną. W tej samej bandzie, znajdowały się cztery postacie wybitniejsze od innych. Przedewszystkiem Bela, wódz; mężczyzna lat trzydziestu, atletycznej budowy, pięknych rysów. Zwykle wyglądał ponury, milczący — wzrokiem więcej niż słowami rozkazywał. Leżąc przy swym namiocie, z głową opartą o zwiniętą opończę, z krótką fajką w ustach, dumał godzinami przypatrując się światu. Czasem uśmiechnął się pogardliwie, czasem skarcił którego z cyganów, czasem dzikie rzucił wejrzenie z pod nasuniętych na oczy, czarnych i gęstych brwi na Murzę. A Murza, śliczna cyganka, niejako pani w tej bandzie, obojętną była na jego wzrok dziki.

Spała ona całymi dniami, w namiocie lub budzie wozu; dopiero budziła się z zachodem słońca i ożywiała. Tańczyła wtedy, rozmawiała, rozkazywała i uśmiechała się często do cygana, którego zwano Nipoliczem. Nipolicz był przedmiotem osobnych studyów, jakieśmy z Sekaiem nad nim robili.

Cygan ten wyróżniał się od innych pod każdym względem. Jego cera była jaśniejszą, jego ręce zdawały się być pokryte delikatną, umyślnie zasmoloną skórą. Bielizna na nim bieląca zawsze od czystości, a ubranie jego, z guzami i pasem, odróżniało się świeżością. Śliczny to był chłop ze swą dużą, czarną brodą, z prostym nosem, z pięknie zarysowanymi ustami i okiem pełnym żaru. Spojrzenie jego było inne niż wszystkich cyganów, inne nawet niż Beli, którego oczy głębokie świdrowały w duszy człowieka. W tem spojrzeniu Nipolicza tkwiło coś inteligentnego, mniej dzikiego. Czasem zdawał się być mniej zamyślonym, nad rzeczami mającemi swą oś obrotową daleko od cygańskiego obozu. Te zadumy cygana intrygowały Sekai'ego. Ale Nipolicz jeden unikał nas obu, odpowiadał nam półsłówkami, patrzył na nas podejrzliwie i niechętnie. Chcąc go zjednać, bo widzieliśmy, że od niego jednego moglibyśmy się dowiedzieć tajemnic bandy Beli, na różne braliśmy się sposoby, ale wszystkie okazały się próżnemi.

A spojrzenie pogardy, jakie nam raz rzucił, gdyśmy mu chcieli
ofiarować wcale
pokaźny podarunek, bo kilkanaście guldenów, niemal nas przeraziło.
— Sprężyną poruszającą bandę Beli — rzekł raz do mnie Sekai — jest
jakaś ciekawa
tajemnica. Czy

uważasz — mówił dalej — te włóczęgi zdają się opływać w
pieniądze; jeśli kradną,
to jakby z zamiłowania idei. Ten Nipolicz, mający swój osobny
namiot i
wyglądający na króla cyganów; ta Murza, tańcząca dlań godzinami
późno w nocy,
przy ognisku i dźwięku całej orkiestry; ta Jarucha, stara wiedźma, o
której
dotąd nie wiem, czy jest waryatką, czy tylko ją udaje — wszyscy oni
wyglądają na
artystów.

Uwagi Sekai'ego nie były dla mnie nowością; sam je sobie zrobiłem,
postanawiając
dotąd zabawić w bandzie, póki mi się nie udało wpaść na trop
tajemnicy.

Ale cyganie w ogóle są małomówni.

Gdyśmy po całodziennej włóczędze, przypieczeni ogniem słońcem,
rozbili namioty
na jakiej zielonej łące, czy ukrytej leśnej polanie, czuliśmy się tak
umęczeni,

iż wszelka chęć studyów psychologicznych nas opuszczała.

A wtedy zwykle dopiero cyganie żyć zaczęli. Nipolicz z Murzą
wychodził po
zachodzie słońca do najbliższej wioski, dla wystarania się o woiaka
lub barana.

Bela kładł się przy namiocie, i na pół śpiąc, palił fajkę.

A reszta bandy rozpraszała się po okolicy, aby żebrać, wróżyć,
straszyć i kłaść
kabały.

Gdy ognisko już buchało, wszyscy wracali, jedli i pili, Jarucha
grzebała w ogniu
i zawodziła, Murza tańczyła, orkiestra grała, Bela drzemał i uśmiechał

się z zabawnych epizodów, a Nipolicz się ożywiał i zachęcał cyganki
do tańca,

cyganów do bijatyki, stare baby do kłótni.

Niewymownie go to wszystko bawiło.

Nieraz nam się zdawało, że i on dla studyów zaciągnął się do bandy,

O północy gasło powoli ognisko, a w około cichło.

I tylko słychać było senny śpiew starej Jaruchy, zawodzącej na wozie
pod budę,

niewyraźne szepty Nipolicza z Murzą i niespokojne chrapanie Beli
pod namiotem.

A zdala od borów i wsi dochodziły głosy pastuchów, pilnujących
troskliwiej niż

zwykle trzody, lub pianie kogutów po dachach i drzewach,

Czasem cygańskie konie spłoszone tajemniczym głosem, dolatującym
z lasu, zarżały

i zbiegły się w gromadę.

Czasem rozbeczały się cygańskie dzieci, gdy im komary spać nie
dawały w

namiocie.

Ze wschodem słońca zwijano namioty, zaprzęgano konie i jazda dalej,
po bocznych

drogach i dziurach, wertepach i urwiskach.

Bela z Nipoliczem szedł naprzód, a za nimi posuwał się tabor. Jedni
pieszo,

drudzy na wozach, inni na koniach, których zawsze kilka, a często i
kilkanaście

szło za bandą. Bela bowiem handlował końmi i jak twierdził, z tego
zarobku

utrzymywał horde.

Malowniczy był taki pochód, który z przestra-

chem witali mieszkańcy wsi, krzycząc i uciekając z chałup.
— Cyganie idą, cyganie!
Ale postrach trwał krótko. Gdy Bela rozpiął namioty, gdy się we wsi dowiedziano
jakie miał wozy, i jakie guzy u kurty, jakie cyganki miały bębenki a
jakie konie
upręże, zbiegała się wieś cała i przyglądała cyganom, robiąc przytem
różne
wymiany i interesa.
I tak codzien, byle dalej! byle dalej! ciągnęliśmy gościncami i
drogami wijącemi
się u podnóża Karpat, mijając na prawo niebotyczne góry, na lewo
równiny
nieprzejrzone.
Po kilku tygodniach takiego powolnego pochodu, urozmaiconego to
bójką z
chłopami, to jaką śmiałą kradzieżą, zwykle cieszącą Nipolicza
najwięcej,
dotarliśmy aż do rzeki Bystrzycy.
Trzeba ją było wpław przechodzić, a wezbrała ona po deszczach,
które w tej
okolicy lały.
Bela nie chciał oddalać się od dziewiczych lasów, które tu się
szerokim pasmem
ciągnęły, i najkrótszą drogą pragnął dostać się do Delatyna i Kołomyi,
zostawiając
Stanisławów na powrót.
Nad Bystrzycą więc, niedaleko od jej ujścia, w najbardziej
malowniczej okolicy,
jaką mi się widzieć zdarzyło, rozłożyliśmy się obozem na jakie dwa
dni, czekając
spadku wód.
W tych zarośniętych górach istniały poukrywane

chłopskie osady, będące prawie w zupełnym stanie dzikości.

Aby jedną z takich osad odszukać, wybrali się cyganie!
Cyganki poszły za borówkami i grzybami, a Bela z Nipoliczem udali się w głąb lasów, z kądem niebawem mieli powrócić z upolowanym kozłem. W tym celu Bela pożyczył odemnie strzelby; wtedy to raz pierwszy mnie o nią zagadnął Nipolicz, tonem tak naturalnym, jakim dżentelman prosi dżentelmana o pożyczkę. Sekai szkicował z pagórka widok na ginące we mgle miasteczko Zielona, a ja rozłożyłem się przy nim na trawie i kombinowałem szczegóły mego obrazu "obóz cygański", który składał mi się barwnie w wyobraźni. Cisza dokoła nas panowała, jakkolwiek miliony dzikich przytłumionych głosów dolatywały do nas z gór i borów, jakkolwiek u stóp naszych szumiała, pieniając się żółtawą barwą, rozhulana Bystrzyca. W obozie nie pozostał nikt, tylko kilka starych, niedołężnych kobiet. Upał był w powietrzu, a zapach sosen i świerków piętrzących się ku szczytom gór, orzeźwiał. Godziny mijały niepostrzeżenie, tak było błogo w tem pierwotnem otoczeniu, w którem nic nie zdradzało przejścia człowieka. Zdało nam się chwilami, że to my pierwsi odkryliśmy tę dziewiczą polanę.

Dumałem, a i Sekai opuścił papier na kolana i wsparł głowę na krzaku olbrzymiej paproci, jak poduszka wielkiej i miękkiej. Wtem doleciał nas śpiew Jaruchy z za krzaków, jakiś głośniejszy niż zwykle, dziwnie smutny, cygański i zmuszający ucho do słuchania.

Staruszka chodziła, nucąc jakąś piosnkę z młodych lat i szukając grzybów.

Głos jej jeszcze był melodyjny, pełen smutku, zawodzenia i biadania. Śpiewała

coraz głośniej, coraz boleśniej i coraz bliżej, a z taką siłą bólu, żeśmy zaparłszy oddech słuchali, aby nie spłoszyć cyganki, która uchodziła za

waryatkę. Śpiewała jedną i tę samą zwrotkę, którą Sekai zaraz sobie zapisał.

Nuta piosnki tak mi się spodobała, iż ją zatrzymałem w pamięci i długo potem nuciłem:

Śliczny zamek stoi w Czarada —

Srebrne dachy ma;

Pański zamek stoi w Czarada —

Białe mury ma..

Dindindin... dindindin... din... din...

Straciłam go w Czarada —

Oj! biada mi biada!

Sprzedalam go w Czarada —

Biada mi, oj! biada. "

Cyganicha zbliżyła się ku nam i nagle urwała. Wyglądała przerażona, i nieruchoma stała z oczami w słup postawionemi.

Zdawała się nam bystro przyglądać, jakby chciała wymiarkować, czyśmy piosnkę jej

słyszeli, lub może i zrozumieli.

Przestach jej był widocznym.

Cyganka postąła, pokiwała głową i zasepiona spuściła się na dół.

Wkrótce widzieliśmy, jak wsuwała się w budę na wozie.

— Waryatka! — mruknąłem.

— Nie — odparł Sekai, który lud nie tylko ze stanowiska artystycznego studyował

— nie waryatka. Pierwszy raz ją słyszymy śpiewającą coś wyraźnie...
Myślała, że
jest samą... Gdyby ona chciała rozwiązać język!
Sekai westchnął, a ja wtrąciłem:
— Czy śpiewała o zameczku Czarada, któryśmy widzieli pod
Żmigrogem?
— Cała jakaś legenda cygańska widocznie wiąże się z tem miejscem
— dodał Sekai i
zadumał się, a ja powtarzałem piosnkę cyganichy, aby ją zapamiętać.
Wkrótce potem słońce zaczęło złocić brzegi lasów.
Cyganie ścigali do obozu.
Nadeszli też Bela i Nipolicz, pierwszy z dwoma zajęciami, drugi z
kozłem, którego
niósł przewieszzonego przez plecy.
Wesołość szalona zapanowała w obozie, zanosilo się bowiem na
niebywałą ucztę.
Rozniecono ogień, wydostano bębenki i Janczary.

Śpiewy i muzykę niosła Bystrzyca gdzieś daleko, mieszając je z
szumem, a z
drugiej strony ginęły one w lasach i górach, powtarzając się echem,
dwojąc,
trojąc w dziewiczych gąszczach.
Zdawało się chwilami, że to dzika, kilkotysięczna horda, swym
śpiewom zapełnia
tak krainę całą, że słyhać aż pod Halicz i Żydaczów.
Tak w górach i lasach głos ludzki zyskuje na sile i melodyi, tak się
rozlega w
przestrzeni, niepojęte robiąc wrażenie na tych, którzy pierwszy raz
słyszą tę
pierwotną muzykę, dziś taką samą jak temu lat tysiąc, muzykę i śpiew
cyganów w
lasach dziewiczych. Śpiewali, Sekai miał łzy w oczach, tak mu te
dźwięki do serca
przemawiały.

Nagle się zerwał i śpiewać zaczął z niemi. Śpiewał i Nipolicz, śpiewała i Murza,
a głos jej górował nad wszystkimi.
Zbliżyłem się do Beli, który sam jeden siedział w milczeniu przy namiocie i
pałac fajkę, słuchał.
Zacząłem z nim gawędę, do której tenże okazał się chętniejszym niż kiedykolwiek.
Opowiedział mi treść śpiewanych legend cygańskich, odwiecznych, sięgających
przeszłości tak odległej, że ginęła w pomroce wieków i tylko między niemi
utrzymać się mogła.
Nagle przypomniałem sobie śpiew Jaruchy i objaśnienia tegoż zażądałem od Beli.
Na pierwsze przezemnie o Jarusze i Czaradzie wymówione słowa, cygan zbladł i
skamieniał.

Po chwili dopiero ruszył ramionami i oczami, puścił kłęb dymu z fajki i mruknął:
— Nie znam takiej pieśni. Stara musiała majaczyć. "Wiedźma!
Nie rozumiejąc zgoła widocznego rozdrażnienia Beli i przypisując je raczej
okoliczności, że właśnie w tej chwili Nipolicz tańczył czardasza z Murza,
zanuciłem piosnkę Jaruchy.
Bela jej wysłuchał zaciskając zęby, a szkarłatne rumieńce oblały jego śniade
oblicze.
Sam się przeraziłem, widząc tego cygana pałającego dzikim gniewem.
— Czarownica! — mruknął i odwrócił się odemnie, jakby więcej nie myślał
rozmawiać.
Milczeliśmy obaj. Nagle zagadnął mnie, bystro mi patrząc w oczy:
— Co wam więcej powiedziała Jarucha?

— Nic nie powiedziała — odparłem — tylko myśmy słuchali kiedy śpiewała.

Bela zadumał się i już ani słowa nie mruknął.

Gdy ognisko zgasło, gdy księżyc schował się za lasy i góry, wstałem by udać się do namiotu.

Cyganie spali już, każdy osobno, to tu, to owdzie, porozrzucani na polance.

Nipolicz tylko siedział z Murzą" na ławie zrobionej z powalonej sosny. Milczał,

a ona mu nuciła pieśń o bojarze i cygance.

Gdym Sekai'emu opowiedział rozmowę moją z Belą, odparł tenże:

— Jest w tem coś. Uważajmy, a dowiemy się; i ja coś dzisiaj podchwyciłem.

— Co?

— Opowiem ci jutro, bo teraz spać mi się chce. Wkrótce spaliśmy jak cyganie.

W nocy, z pierwszego snu obudził mnie hałas w jednym z budziastych wozów.

Podniosłem się na mem legowisku, zrobionem z dery rozesłanej na murawie.

Przykry mi się przedstawił widok.

Bela okładał nahajką starą Jaruchę i mruczał niezrozumiałe mi słowa.

A cyganka zasłaniała się od uderzeń i przytłumionym głosem coś przyrzekała, na coś się zaklinała.

Długo potem jeszcze słyszałem jakieś szepty w obozie.

Wreszcie znów skleiły mi się powieki.

Jeszcze uroczyta cisza poprzedzająca wschód słońca, panowała w naturze, gdzie

mnie i Sekai'ega obudził Bela.

— Panowie! — przemówił tonem spokojnym ale rozkazującym — zbierajcie się i odjeżdżajcie.

Wytrzeszczyliśmy oczy, a Bela dalej ciągnął:

— Furmanka czeka gotowa, odwiezie was pod Stanisławów. Więcej was nie chcemy między sobą.
Próbowaliśmy protestować, ale Bela zaczął sam zbierać nasze manatki i kłaść na chłopską fure, która cudem jakimś się znalazła.

— Tak chce banda! — odparł na moje i Sekai'ego uwagi.
A widząc, że jakoś opieszale zabieramy się do rzeczy, dodał:
— No panowie! bo jak obudzę cyganów, może być z wami krucho. Nie chcieliśmy się narażać na tę ostateczność. Gdyby nas bowiem Bela kazał rozszarpać, niezawodnie to by nas spotkało.
Poprosiłem go tylko o pozwolenie obudzenia Nipolicza i pożegnania się z nim, ale i tej prośbie odmówił Bela.
Dopiero gdyśmy usiedli na furze, oblicze jego wypogodziło się nieco. Sekai wyjął papierek stuzłotowy i podał go Beli, ale ten odsunął od siebie jego dłoń, nie chcąc przyjąć pieniędzy.
Oderwał od swej kurty dwa srebrne guzy i wręczając każdemu jeden, podał nam swą czarną dłoń i pokazał szereg białych zębów, z pod czarnych wąsów.
— Nie zapominajcie o cyganie! — mruknął i skinął na chłopca, aby ruszył.
Wkrótce zniknęło nam z oczu obozowisko cygańskie, choć słyszeliśmy jak Bela uderzył w bęben, stojący przy jego namiocie, a którego głos budził zwykle bandę.
Słońce właśnie wyrzało i w mglistej sylwetce zarysowało Zaleszczyki,

Jakiś nieopisany smutek nas ogarnął.

Siedzieliśmy obok siebie w milczeniu.

Nagle Sekai odwrócił się poza siebie i wskazując ręką na południowy wschód, na

uśmiechające się do słońca niebotyczne śnieżne góry i niebieskie pasy różnych

odcieni Karpat i lasów, zawołał:

— Żegnam cię, śliczny kraju! A do mnie zagadnął:

— I nie dozwolił nam widzieć Kołomyi i Śniatyna, Zaleszczyk i Chocima!

I mnie smutno było na duszy. Moja artystyczna natura przywiązała się do Beli i

Jaruchy, Nipolicza i Murzy. Jeszcze chętnie byłbym z nimi pociągnął ku granicom

Bukowiny i Mołdawii, pod Chocim.

Aby się nie dać opanować tęsknocie za cygańską orkiestrą, wspomnieniom ich

dzikiego śpiewu, zanuciłem piosnkę Jaruchy:

Piękny zamek stoi w Czarada —

Białe mury ma,

Dindindin... din... din...

III.

Trzy lata upłynęło, zanim wykończyłem "Obóz cygański".

Ulegał on losowi wszystkich natchnionych kreacyj.

Ogarniało mnie nad nim zwątpienie i wiara naprzemian. To pracowałem dniami

całymi z zapalem, a po nocach myślałem nad jego dalszym rozwojem i wykończeniem,

to znów obracałem go do ściany, i tak miesiące całe nieruszany przeleżał.

Zapomniałem nawet o nim, jak o jakim śnie,

o Sekai'm i naszej wycieczce. Postacie cyganów zatarły się w wyobraźni, a nic

ich nie przypominało, ani odtwarzało. Teka ze szkicami leżała w kąciku, już niepotrzebna, gdyż tło i główne postacie obrazu były wykończone. Chodziło tylko o artystyczne wycieniowanie płótna i puszczenie go w świat.

Zaproszenie do wzięcia udziału w powszechnej wystawie wiedeńskiej, zastało mnie nieprzygotowanego.

Wziąłem się do pracy, przysiedziałem fałdów i wykończyłem "Obóz cygański".

Po przerwie lat czterech, odtworzyłem sobie w wyobraźni bandę Beli i najdrobniejsze pobytu naszego między nią szczegóły.

Nieraz, pamiętam, po kilku godzinach wyteżającej nad stalugą pracy, zdawało mi się że jestem między nimi.

Wreszcie obraz pociągnąłem werniksem; przypatrzyłem mu się raz ostatni i wysłałem go w świat.

Nie doznawałem bolesnego zwykle artystom wrażenia żalu, gdy się żegnają z pracą, z którą się zżyli.

Zdawało mi się, iż ten obraz powróci do mnie, że to niepodobna abym się z nim na zawsze rozstawał.

Wreszcie dużo na niego liczyłem, i to może było mych uczuć przyczyna.

W kilka miesięcy później, zachęcony niezwykłym powodzeniem mego płótna, wiadomem

mi z dzienników, wyruszyłem do "Wiednia dla nacieszenia się pochwałami. Mój

obraz gromadził, od chwili rannego otwarcia wystawy aż do wieczora, tłumy widzów przed sobą.

Nieraz przysłuchiwałem się incognito krytykom publiczności.

W Wiedniu zastałem i Sekai'ego; razem z nim spędzaliśmy wesoło
czas w gronie

artystów europejskich.

Zwykle rano udawaliśmy się na wystawę sztuki, korzystając z
okoliczności, że o

tej porze w salach najmniej bywało publiczności i można było
swobodnie rozmawiać

o wystawionych obrazach.

Raz, nazajutrz po ostatecznym posiedzeniu komitetu wystawowego,
wbiegłem

gorączkowo do sali, w której znajdowało się moje płótno.

Było w niej pusto. Jeden tylko nieznajomy mi mężczyzna stał właśnie
przed moim

"Obozem".

Rzuciłem okiem na obraz i serce mi przestało bić w piersi, gdy
ujrzałem nad nim

napis: Medaille d'or.

Rzuciłem się na sofę. Ochłonawszy, zacząłem

się rozglądać po sali, do której powoli napływała publiczność.

Byłem dumny, sławny, wielki!

Wtem ów pan, ciągle przypatrujący się memu obrazowi, odwrócił się i
spoczął

przez chwilę na mnie wzrokiem.

Uderzyła mnie jego fizygnomia. Zrobiłem ruch nawet, aby się z nim
przywitać.

Zdało mi się na razie, iż go znałem.

Był to piękny węgier; narodowość widoczną była na jego typowym
obliczu.

Zacząłem przebiegać w pamięci spotkanych w życiu i po świecie
ludzi.

Nie! tego pierwszy raz widziałem.

Bywają czasem dziwne podobieństwa — myślałem, zmęczony bardzo
nużącą pracą

odgadywania osobistości, która nam kogoś widzianego przypomina.

Po jakiej godzinie dopiero, nieznajomy opuścił malowidło.

Jeszcze raz wejrzenia nasze się spotkały, i zniknął w tłumie.
Od dnia tego, codzień rano, gdy jeszcze nikogo nie było na wystawie,
zastawałem
tego parnego mężczyznę, przyglądającego się memu obrazowi.
Zaczynał mnie intrygować. Dopytywałem się o jego nazwisko, ale go
nikt nie znał,
tylko Sekai'emu się zdawało, że go widział w Peszcie.
Mógł bowiem on być tylko węgrem. Takimi czarnemi wąsami po
nad szeregiem
białych zębów, ta-

kiemi regularnymi i mężkami rysami, madziary tylko się chlubią.
Codzień powtarzało się to samo.
Nieznajomy spędzał godzinę przed "Obozem cygańskim", wymieniał
ze mną nieme
spojrzenia i zniknął w chaosie napelniającego się gmachu.
Raz, wieczorem, siedziałem w gronie malarzy na jednym z bardziej
uczęszczanych
placów wystawy.
Chłodziliśmy się lodami, słuchając kilku orkiestr, przyglądając się
defilującej
przed nami, tam i napowrót publiczności.
Wtem zbliżyła się do mnie z widoczną radością, mój dobry znajomy i
rodak Roman X.
— Szukam cię od trzech dni — zawołał zaraz po przywitaniu —
najprzód, aby ci
powinszować, a powtóre, aby ci zaproponować interes.
— Cóż takiego?
— Twój "Obóz cygański" tak się spodobał memu poniekąd krewnemu
i przyjacielowi,
iż chce go nabyć. Obiecałem mu pośredniczyć, bo byłaby szkoda,
gdyby rzecz taka
przeszła w obce ręce.
— Służę ci — odparłem — a któż to taki?
— Hrabia Unicki — odparł Roman; — nie znasz go, galicyanin. Ale
jeżeli

pozwolisz, to zaczekaj tu chwilę; ja go odszukam, przyprowadzę i
dobijecie
targu. Śpieszno mi, bo się boję, aby jaki amerykańin lub węgier
arcydzieła twego
nie nabył.
To powiedziawszy, pobiegł w kierunku główne-

go pawilonu, zostawiając mnie w niecierpliwem oczekiwaniu.
Jakież było moje zdziwienie, gdy go wkrótce ujrzałem powracającego
z Ilnickim, w
którym poznałem niemego wielbiciela mego obrazu.
Wkrótce byliśmy z sobą jak dobrzy znajomi.
Hrabia znał się na sztuce, lubił ją.
— Nie będę się z panem targował — rzekł nagle; — jeśli obraz
jeszcze nie
sprzedany, to biorę go za cenę podaną.
— Dla pana, jako mego rodaka — odparłem — spuszczam jego cenę
z dwudziestu na
szesnaście tysięcy franków.
Hrabia uściśnął mi dłoń, wyjął pugilares i wyliczył mi z niego ośm
tysięcy
złotych reńskich.
Zwróciłem jego uwagę, że winien mi tylko dać zadatek, a resztę
zapłacić przy
odebraniu obrazu, co nastąpić mogło dopiero po ukończonej
wystawie.
— Wszystko jedno — odparł hrabia — pilno mi być zupełnym
właścicielem "Obozu
cyganów".
Przypatrywałem się temu pięknemu mężczyźnie z ciekawością.
Dzentelman to był
skończony, ale tak nic nie miał w sobie naszego, że nie mógł się
powstrzymać od
zrobienia uwagi.
— Nic dziwnego! — odparł najnaturalniej hrabia — moja matka jest
węgierka.

Przytem hrabia przedstawiał bardzo ciekawy typ. Życie zdawało się tryskać z niego i zamało mieć swobody pod modnym ubraniem. Często oczy je-

g o błyskały jakimś dzikim wyrazem; nerwowym ruchem głowy, lub ręki, zdradzał

raz po raz że mu ciasno, duszno.

Od niechcienia, jakby usiłując przerwać moje studyowanie, któremu się oprzeć nie mogłem, zagadnął mnie nagle.

— Ja znam cyganów, ale gdzie pan ich poznałeś? Zacząłem opowiadać moje studia do obrazu. Prócz nas trzech, siedziało przy stole jeszcze kilku artystów. Wszyscy zaczęli słuchać mnie z widocznym zaciekawieniem.

Opowiadałem też, zachęcony, dzieje nasze w obozie Beli.

Opowiadałem długo i szczegółowo, bo mnie podniecało zaciekawienie wszystkich.

Gdym jednak przyszedł do miejsca, w którym wypadało powtórzyć piosnkę Jaruchy,

jako przyczynę wypędzenia nas z obozu przez Bełę, zauważyłem podwójne

zaciekawienie hrabiego.

Jednak pamięć mi nie dopisała i piosnki powtórzyć nie mogłem, bo zapomniałem

nazwiska zameczka.

Odwróciłem się do hrabiego i zapytałem:

— Gdy się jedzie przez tak zwaną Magórę z Bardyowa do Żmigrodu, w górach leżą

dwa zameczki, jeden na Węgrzech, drugi w Galicyi. O tego drugiego miano mi

chodzi, a piosnkę sobie zaraz przypomnę.

Hrabia, który przy ostatnich moich słowach pożerał mnie oczami, zawołał:

— Czarada!

— Czarada! — wykrzyknelem uradowany — może znasz pan tę cudowną, miejscowość?

— Mieszkam w niej — odparł hrabia — i w niej będzie pański obraz; ale piosnka?

— Piosnka! — wołali artyści.

Po krótkim namyśle powtórzyłem ośmiowiersz, a hrabia jakiś zdziwiony,

zarumieniony, odparł:

— Pierwszy raz ją słyszę...

Długo jeszcze zdawał się być pogrążonym w zadumie, nad tem wmieszanem nazwiska

swego zameczka w cygańską piosnkę,

Nie przesadzę, gdy powiem żeśmy się tegoż jeszcze dnia z hrabią zaprzyjaźnili.

Odkryłem w tym zamaszystym węgropolaku prawdziwego artystę, miłośnika natury,

piękna, ludu.

Przytem dużo hrabiemu uroku dodawało w moich oczach to, że był właścicielem

Czarady, miejscowości która w swoim czasie zachwyciła mnie i rozmarzyła.

Przypomniałem sobie opowiadanie woźnicy na Magórze, o polskim paniczu i

węgierskiej dziewicy, którzy byli rodzicami hrabiego.

Wyglądał rozczulony, uśmiechnął się i dodał:

— Mój Boże, moi poczciwi rodzice przeszli już w legendę ludową.

— Czy żyją jeszcze? — zapytałem.

— Żyją oboje! Poznasz ich pan, gdy przyjedziesz do Czarada; przyjedziesz,

nieprawdaż? zobaczyć jak twój obraz wisi, zobaczyć Czaradę?

— Przyjadę! przyjadę! — odparłem z entuzjazmem, który zrozumie każdy, kto

ulegał urokowi świeżo poznanej osoby, niejako związanej z jego przeszłością i terażniejszością.

Bo hrabia był właścicielem tej Czarady, która urokiem o władnęła potężnie mą wyobraźnią, która w piosnce Jaruchy była nierozwiązaną dotąd zagadką naszego nagłego opuszczenia obozu.

A sztuka złączyła nas odrazu silnym moralnym węzłem — i zdawało się że na zawsze,

W Wiedniu, gdyśmy się dnia tego późno w nocy rozłączali, hrabia miał moje słowo,

że w drugiej połowie lata przyjadę do Czarady.

— A może Bela — mówił zachęcając mnie — będzie powracał wtedy do Węgier, może

go spotkasz, to mu podziękujesz za gościnność, której zawdzięczasz twój złoty medal.

Nazajutrz opuściłem Wiedeń.

IV.

Zachęcony jeszcze listem, który dostałem wkrótce potem od hrabiego, wybrałem się

w ciągu lata na wycieczkę do Czarady.

Z Krakowa koleją żelazną dostałem się do Tar-

nowa, a z tamąd pocztowym powozem puściłem się ku Karpatom.

Tak zwany "eilwagen" potrzebował kilkunastu godzin, na przebycie drogi

prowadzącej przez Pilzno, Brzostek, Jasło do Żmigrodu.

Tu kończył się gościniec i zaczynał górzysty kraj, po którym tylko chłopskimi

konikami można się było wykręcać i wspinać.

Hrabia bowiem był mnie objaśnił, że ze Żmigrodu wypadło udać się wprost bocznymi drogami do Ozarady, a nie jechać na gościniec prowadzący przez Duklę de Bardyowa.

Tak też zrobiłem. Poczta zostawiła mnie o pierwszej w nocy w Żmigrodzie, w jakimś brudnym żydowskim zajeździe, i podudniła złotem pudłem swego powozu dalej.

Przespawszy się kilka godzin, oświadczyłem gospodarzowi zajazdu chęć wynajęcia koni do Czarady.

Ten otworzył na mnie wielkie oczy.

— Pan jedzie do Czarady? — zapytał.

— Do Czarady.

— Do grafa Unickiego? — jeszcze raz zapytał widocznie zdziwiony żyd.

— Tak — odparłem krótko — a co? czego cię to tak dziwi? Żyd zaraz zaczął:

— Co mnie nie ma dziwić? Lat trzydzieści jestem właścicielem tego zajazdu, a nikogo jeszcze nie widziałem, coby jechał do Czarady, herste?

Wybiegł, a ja otworzywszy okno dusznej izby, łyknałem pełną, piersią orzeźwiającego gór powietrza.

O jaką, milę od Żmigrodu, na południe, zaczynały się wznosić i piąć coraz wyżej,

aż do białych szczytów, Karpaty. Śliczna okolica, cudna! Na podziwianiu jej

mijał czas niepostrzeżenie — żyd zaś, który miał mi się wystarać o furmankę, nie wracał.

A chciałem wyjechać wcześniej: najprzód, aby uniknąć upałów, a powtóre, aby na noc ściągnąć do Czarady.

Już słońce wzniosło się wysoko ponad krańce horyzontu, gdy powrócił mój żyd, mówiąc:

— Pan furmanki do Czarady nie dostanie.

— Dlaczego?

— Ny! chłopcy głupie nie chcą jechać.

— Dlaczego?

— Ny! albo ja wiem dlaczego? Ot, pletą ni to, ni owo, straszy coś w Czaradzie

pod noc, jakieś lichy! tak mówią... żaden z furmanów nigdy w Czaradzie nie był.

Chłop jak chłop... — mówił żyd.

Na moje uwagi, że Czarada, tak blisko leży, że ją widać z Magóry, że zapłacę co

zechcą, żyd ruszał tylko ramionami i narzekał na głupotę chłopów.

Rozesłaliśmy

jeszcze posłańców do uboższych, a przez to śmielszych górali,

trudniących się

furmaństwem.

Przez ten czas żyd mnie zabawiał, a widocznie go bardzo

interesowałem, bo raz po

raz zadawał różne pytania i ciekawie, badawczo mi się przypatrywał.

Wreszcie zagadnął:

— A zna jasny pan — bo tak zaczął mnie tytułować od chwili, gdy się dowiedział

że jadę do Unickiego — tego grafa z Czarady?

— Znam.

Na te słowa, żyd nie umiał ukryć zdziwienia i radości. Przybliżając się do mnie,

cicho, tonem prośby zapytał:

— Niech jasny pan powie, co to za pan, bo go tu nikt nie zna, a rozmaitości o

nim opowiadają. Z nikim nie żyje, przez Żmigród raz tylko przejechał, i to w

karecie z zapuszczonemi firankami, tak prędko jak błyskawica, a konie były w złocistych ubraniach.
Role naszą się zmieniły, bo ja zacząłem się wypytywać o mojego przyjaciela, którego tylko przez kilka godzin widziałem.
Opowiedział mi też żyd, że w całej okolicy hrabia uchodził za coś fenomenalnego, że nikt go prawie nie znał, że nikt z panów ani z ludzi w Czaradzie nigdy nie był.
Powtarzał tylko to, co słyszał z opowieści Indu, bojącego się zameczka, w okolo którego różne nieprzyjemności miały spotkać podróżnych, przypadkiem tam zabłąkanych.
Hrabia miał być bardzo bogatym, ale nikt o tem przekonać się nie mógł, bo zwodzony most w zamku opuszczano tylko wtedy, gdy wyjeżdżał, aby jak strzała przebiez okolicę złocistemi kasztanami, którymi sam powoził.
Opowiedział mi żyd dalej, że raz oficer jakiś zgi-

nał w Czarada na zawsze, a jeden śmiały kupiec z Dukli, którego kahał wysłał do zamku, nigdy już ztamtąd nie wrócił.
Do koła Czarady miały się stadami włóczyć wilki i wyć tak przeraźliwie, że konie furmanów galopem przebiegały Magórę.
Pewnego śmiałego górala w lasach należących do Czarada spotkał rogacz, nadział go na rogi i tak silnie potłukł, że zaledwie dowlókl się do Smereku, zkał pochodził, aby ducha wyzionąć.
Takich baśni opowiedział mi żyd kilkanaście, a jedne dziwaczniejsze były od

drugich.

Najwięcej mnie zaintrygowała opowieść następująca:

Wielkie sumy miały się należeć od hrabiego skarbowi, który lat kilkanaście

napróżno o nie się dopominał. Wreszcie wysłano stu żołnierzy na egzekucję do

Czarady; ale w Czaradzie podniesiono mosty, a z baszt strzelano do żołdactwa.

Sprzykrzyło się to oddziałowi i od oblężenia odstąpił. W powrocie jednak wyginął

do połowy; górale, mający swoje osady na niedostępnych wertepach, dowiedziawszy

się, że żołnierze przyszedli na egzekucję do ich pana, zaczęli ścinać odwieczne

sosny, które staczały się na dół ze szczytów gór, zawałając drogi i zabijając

żołnierzy.

Słyszałem był o tych niedostępnych góralskich wsiach i osadach, nie płacących

podatków i nie znających władzy, wierzyłem też w prawdę opowieści mego żyda.

Ale nie przstraszyły mnie one; owszem, gdy żyd skończył opowiadania o lochach i

korytarzach, łączących Czaradę z drugim zamkiem hrabiego na Węgrzech, o jego

fantazyach i polowaniach, na które temi korytarzami mieli przybywać panowie z

Pesztu, zapalałem zdwojony żądzą dostania się coprędzej do Unickiego i

przekonania się naocznie, o ile legendy na prawdzie swą poezję opierają.

Równocześnie zjawił się góral, właściciel wozu o drewnianych osiach i jednej

malutkiej szkapiny, który za wynagrodzeniem bajecznej kwoty dziesięciu guldenów,

odwagał się zawieźć mnie pod sam zameczek Czerady.

Wymówił sobie jednak, że mostu nie przejedzie.

— Dlaczego?

— Co to, to nie! — odpowiadał chłop na me usilne nalegania.

Spakowawszy moje manatki, usadowiłem się w drabinkach, a koń góralski ruszył z miejsca galopem.

— Wio!... wioo!... wiu!... — wołał od czasu do czasu woźnica, zachęcając konika do wysiłków, bo zapuszczaliśmy się w góry i drożyny, prowadzące wązką koleją wśród wąwozów i przepaści.

Krajobraz malowniczy nie pozwalał się nudzić podróżnemu, mimo nad wyraz powolnej jazdy i niecierpliwości dostania się do kresu tej tajemniczej podróży. Nagle i nieprzewidzianie zmieniały się widoki. Las gęsty i dziewiczy, to znów pola obsiane mizernym

owsem, znów las i znowu wioska, wśród zielonej polany, z chatami o słomianych strzechach bez kominów. Gdzie niegdzie stado owiec i malutkich krówek

urozmaicało dzikość okolicy.

Z gęstwiny lasu odezwał się czasem koń rzeniem powitalnym do naszej szkapy i zdradzał osadę, którejby się oko ludzkie nie dopatrzyło. Ludzi jednak ani było

widać; nie pamiętam, aby nas wyminął jaki góral w swem opiętem, białem ubraniu,

z przewieszoną przez plecy sukmaną.

Sarny tylko parami, stadkami przebiegały nam drogę i zatrzymywały się zdziwione.

Dopiero gdy wóz nasz zaskrzypiał i zakołatał, czmychały spłoszone w gąszcza. Ale

z po za gałęzi jeszcze spoglądały, jakby nie mogąc się wydziwić,
pierwszy raz
może widzianym stworzeniom.
Konik wciąż galopował.
Coraz mniej było owiec, owsa, chat, życia, coraz więcej drzew i gór.
Wreszcie pod sam wieczór zauważyłem, iż znajdujemy się na
wielkich wyżynach, ale
jakby tworzących pas równiny. Z jednej strony piętrzyły się opodal
szczyty gór,
a z drugiej domyślałem się zakrytych lasami i wzgórzami przepaści.
Według moich
obliczeń, na tej wysokości powinien był leżeć zamek Unickich.
Droga rozszerzała się coraz bardziej. W lasach zauważyłem jakby
powycinane linie
i myśliwskie sta-

nowiska. Zaledwie te zmiany w krajobrazie zacząłem dostrzegać?, gdy
góral konia
zatrzymał i zawołał:
— Czarada! Podskoczyłem na siedzeniu.
— Gdzie? gdzie? — zapytałem, nie widząc nic tylko las.
— Trzy mile ino — odparł góral i zeszedł, aby założyć torbę z owsem
koniowi na
głowę.
— Cóż więc pleciesz? — mruknąłem zły. Chłopak wskazał na
ogromną sosnę, stojącą
przy
drodze, wspaniałą, zagłuszającą dokoła siebie wegetację innych
drzew, dziwnie
przez to tajemniczą, i rzekł:
— To grafaska granica, to już lasy Czarady a tam — tu wskazał las
roztaczający
się po drugiej stronie sosny — Smerek.
— A Smerek do kogo należy? — zapytałem.
— Abo ja wiem — odparł góral.
— A z kądze wiesz, do kogo należy Czarada?

— He? — zaśmiał się góral — jakbym miał nie wiedzieć... Czarada
Czarada z
dawności. Smerek ot... lasy i lasy.. Czarada! co innego...
Więcej mówić nie chciał, a ja zasepiłem się nad temi trzema milami,
które dla
zmordowanej szkapiny nie były fraszką.
— Na północ będziemy? — zapytałem jeszcze.
— Będziemy raniej — odparł góral — droga równa i szeroka, jak
widzicie.

Po godzinie odpoczynku ruszyliśmy dalej, jadąc główną drogą
prowadzącą przez
lasy Unickich. Była ona widocznie utrzymywana w porządku;
mijaliśmy gęsto
rozsiane leśniczówki, pobudowane z sosnowych okraglaków.
Z takiego domku wyrżał młody mężczyzna ubrany jak strzelec. Był
to jeden z
gajowych hrabiego, porozrzucanych po tych dokoła zamku, mil kilka
wzdłuż
ciągnących się lasach.
Napotykało się po drodze ławki zrobione z brzeziny, stanowiska
myśliwskie, nawet
altany z kory dębowej.
Widocznie hrabia był myśliwym nowego pokroju, nowożytnie
urządzenie polowania
oryginalne robiło wrażenie w tych górach, po legendach, i bajach,
których się
byłem nasłuchał. Znajdowałem się poprostu w obrębie pańskich dóbr,
składających
się przeważnie z lasów, leżących kilka tysięcy stóp nad poziomem.
— Zkąd te legendy? — myślałem i rozglądałem się po lesie, czy gdzie
nie
przeświecają, białe mury Czarady.
Głęboka cisza zapadającej nocy panowała dokoła. Powoli las się
przerzedzał, o

ile to sprawdzić można było przy tajemniczych blaskach księżyca, a
mnożyły się
drogi i drożyny. Czułem, że się zbliżam do jakiejś ludzkiej siedziby.
Nagle
białe mury zaczęły przez drzewa przeglądać; leżały one jednak
znacznie wyżej od
drogi, którąśmy jechali. Droga ta

kręciła się w około zamku — i widocznie tak była poprowadzona dla
ominięcia
silnej pochyłości.
Zamek przybliżał się, jakby jakimś czarodziejstwem natury. Coraz
mniej drzew
oddzielało go od nas, coraz też wyraźniej rysowały się jego gotyckie
wieżyczki,
coraz bardziej błyszczał jego dach od światła księżyca.
Przypomniałem sobie pieśń cyganki:

Piękny zamek stoi w Czerada, —
Białe mury ma...
Pański zamek stoi w Czarada —
Srebrne duchy ma.

Położenie jego było cudowne; nie dziwiłem się, że natchnęło Jaruchę
do pieśni.
— Chodzą tu cyganie? — zapytałem górala.
— Oj chodzą! — odparł zaraz góral — graf lubi cyganów.
— Oto legendy! — pomyślałem.
Trzeba było dobrze pamiętać, że się człowiek znajduje u szczytów
Karpat, na
granicy Węgier, Czarada bowiem robiła zupełnie cywilizowane
wrażenie..
Mijaliśmy budynki gospodarskie i zbliżali się ciągle kołem coraz
ciaśniej, do samej rezydencji. Drzewa jednak, jakby umyślnie tam
powycinane, tu utrzymane

w całości, zasłaniały często pałacowy gotyk.
Nagle koń zwolnił... stanął,
— Czarada! — zawołał góral cicho, jakby wystraszony.

Spojrzałem przed siebie i ujrzałem tylko białą, wieżycę z czarny dużą
brania,
odgrodzoną od nas przepaścią. Most zwodzony, jedyny, którym się
było można
dostać do zanku, był już podniesiony.
Po krótkiej naradzie z góralem, zacząłem hukać.
— Kto tam? — odezwał się wnet głos z bramy.
— Do hrabiego! — odparłem.
Ze zgrzytem łańcuchów, jak w średnich wiekach, opuścił się most i
otworzono
bramę, która odkryła obszerne zamkowe podwórze.
Góral nie chciał do zamku wjechać.
Wysiadłszy więc z wozu, wziąłem moją walizkę i zawołałem do
woźnicy:
— Do widzenia!
— Niech pana Bóg zdrowo chowa! — odparł chłop, przypatrując mi
się ze
zdziwieniem i wyrazem współczucia.
— Nie popasiesz? — zapytałem widząc, że coprędzej zawraca.
— Oj! nie — odparł — aż w Smereku.
Jeszcze nie wszedłem do bramy, a słyszałem już jak poganiał szkapinę
i jak
kołatał jego wóz, pędząc z góry.
Podałem mój bilet z nazwiskiem odźwiernemu, a w kilka minut
później znalazłem
się w objęciach uradowanego hrabiego.

V.

Po dwóch tygodniach pobytu w Czaradzie, przywiązałem się do jej mieszkańców,
jakbym z nimi się był wychował.
Unicki ożeniony był z Węgierka, będącą, wówczas w rozkwicie piękności,
cechującej córy tej krainy.
Na imię jej było Marta.
W zamku prócz tego mieszkali rodzice hrabiego, staruszkowie sympatyczni,
ubóstwiający swe dzieci, rozumni i wykształceni. Życie, jakie w Czarada
prowadzono, tłumaczyło mi poniekąd okoliczne baśnie i legendy: nie żyli z nikim
w Galicyi, której nawet najbliższych miast nie znała pani Marta.
Okoliczność
zaś, że dwoma pokoleniami Unicycy żenili się z Węgierkami, sprawiła, iż punkt
ciężkości ich stosunków był w Peszcie i na Węgrzech. Mój przyjaciel był ostatnim
potomkiem swego rodu.
Nadto otaczała Czaradę tajemniczością i ta okoliczność, że do drugiego zamku
Unickiego, leżącego po drugiej stronie Karpat, prowadziła w wąwozie drożyna,
zbliżająca obie rezydencje o jakie trzy mile.
Ten zamek nazywał się Debeczyn; do niego należały rozległe i intratne dobra,
ciągnące się aż pod

Bardyów. W Galicyi miał tylko hrabia tysiąc morgów lasów z Czaradą.
Z Pesztu przywożono do Czarady sprawunki potrzebne dla domu, z bliższych miast
przywożono wina i wszystko, czego pański dwór zapotrzebował; komunikacja bowiem
z Węgrami o wiele była łatwiejszą, niż ze Żmigrodem lub Tarnowem.

Dla ludu okolicznego i żydów najbliższych miast zagadkowym był ten pan, który nawet im wełny nie sprzedawał z swych owiec, tylko na Debeczyn ją wysyłał do Węgier; który mieszkając w Galicyi, żadnych w niej nie miał stosunków i prawie się nigdy ze swych wyżyn nie spuszczał ku Dukli i Krosnu, Gorlicom i Bieczowi. Tak sobie wytłomaczyłem dziwaczne opowiadania mego żyda ze Żmigrodu i wiodłem urocze życie w gościnnej Czaradzie. Często bowiem przyjeżdżał ktoś z Węgier i urozmaicał senność, jaka w ciasne i zamknięte kółko powoli się wkradała. Unicki na bliższem poznaniu zyskiwał; wesoły, wykształcony, dowcipny, miewał swoje napady melancholii, w których ulegał czarnym myślom i cierpiał na brak powietrza w tych górach. W takich chwilach zauważyłem, że cała rodzina z trwogą mu się przypatrywała i każdy jego ruch śledziła. Ile razy chmura zawisła na czele Unickiego, ile razy ściągnęły się jego czarne brwi; a zdarzało się to przelotnie dość często, oczy marły, miały ślady łez, a pogodne twarze staruszków posepniały.

Zdawało mi się, że jakaś złowroga tajemnica tkwi w Czaradzie. Ci ludzie byli czemś trawieni, o coś trwożni, a to coś tkwiło w mym przyjacielu, w grze jego oczu i brwi. Studyowałem go z bystrością, u artystów zwykle silniej rozwiniętą. Ale niczego więcej nie dopatrzyłem, prócz tego że hrabia był naturą na wskroś artystyczną,

tem samem nieco chorobliwą, mającą swe porywy i swe chwile
zwątpienia.

— Nie rozumieją go w otoczeniu i trwożą się objawami jego artyzmu
— myślałem.

Przekonanie moje jednak bałamuciło się niejednym spostrzeżeniem.
Robiłem portret pani Marty. Podczas długich posiedzeń zauważyłem
nieraz taki

wyraz jej twarzy, który mi mówił, iż mimo wszystkich pozorów
szczęścia nie jest
szczęśliwą.

Marta pozowała mi w gabinecie swego męża, którego urządzenie
przypominało

najwytworniejsze pracownie artystów. Pełno w nim było obrazów,
dzieł sztuki,

dywanów i innych rzeczy pięknych. Hrabia widocznie kochał się we
wschodnich

barwach i typach, bo obrazy węgierskich malarzy, które w Czarada
zgromadził,

przeważnie były ludowej treści. W tej kolekcji przeważały typy
kobiece, sceny

cygańskie, głowy i twarze charakterystyczne, obrazy tematem
zbliżone do mego

"Obozu cygańskiego", który jeszcze nie nadszedł z Wiednia.

Raz zagadnąłem hrabinę, ile gustu ma jej mąż

i jak pięknymi ze stanowiska sztuki są te rzeczy, które w swym
zbiorze

zgromadził.

Hrabina zrobiła minę wzgardliwą i łzy jej stanęły w oczach, które
równocześnie

spoczęły na studyum jakiejś ciemnowłosej dziewczyny, o nadzwyczaj
wyrazistych

rysach.

Raz znowu zaczynałem przy obiedzie coś mówić o mym obrazie,
nabytym przez

hrabiego, gdy ten dał mi znak abym rozmowę przerwał, a znaku tego później mi nie wytłumaczył. "W ogóle, mimo atmosfery niesłychanie przyjemnej, czułem jakiś fałszywy akord który niemiłe chwilami sprawiał mi wrażenie. Jednak krótkotrwałe te uczucia mijały tak rychło, jak szybko w koncercie mistrzowskim zapomina się o fałszywym dźwięku.

Dnie mijały niepostrzeżenie na wycieczkach do Węgier, na rozmowach ożywionych, na przejażdżkach złocistymi kasztanami, których stado hrabia chował w Debeczynie.

Legandy które słyszałem, raz po kilku wypitych kieliszkach doskonałego węgryna, powtórzyłem rodzinie.

— Nie wiedziałem nic o tem — uśmiechnął się stary hrabia — ale jak w każdym podaniu, jest i w tem coś prawdy.

Namyślił się i dodał:

— Prawie wszystko jest prawdą.

Moje oczy na te słowa zapalały ciekawością. Spostrzegł to mój przyjaciel i zawołał mnie do ojca.

— Widzę, żeś ciekawy prawdy. Nikt jak mój ojciec nie opowiada historii Czarady.

Poproś go, a opowie ci. Jest to romantyczna historia!

Stary hrabia uśmiechnął się i zaczął:

— Jeśliś pan ciekawy historii tego dziwaczego zameczka, to opowiadając ci ją, opowiem i dzieje Unickich, którzy byliby na mym synu wygaśli, gdyby nie Marta.

Tu zwrócił się do synowej z wyrazem nadzwyczajnej czułości i ciągnął

opowiadanie.

— Unicycy potężnymi byli w wieku Dyabła Stadnickiego. Podczas gdy tenże stawiał swoją Nawojowę w górach i lasach, przodkowi naszemu przyszła myśl wzniesienia piękniejszego jeszcze zamku. Wyszukał też to położenie i zbudował gmach, z którego wieży miało być widać całą Galicyę, jak twierdzi podanie. Ponieważ jednak w tych bezludnych górach, nie mógł się ze swym dworem i hufcem zbrojnym utrzymać, kazał przekopać przez Karpaty wąwóz, którym dziś jeździmy do Debeczyna, i z Węgier przemocą brał zapasy potrzebne mu do życia. Tak niesie podanie. Współczesny jemu i przez niego grabiony właściciel Debeczyna, był to węgierski magnat Debeczograd. Tenże chcąc przed Unickim obronić swe włości, wystawił obronny zamek w Debeczynie, z którego mienia swego przed naszym przodkiem bronił. Walka zacięta z napadami i rozlewem krwi. między Inickimi a Debeczogradami, trwała przez wiek cały i przechodziła w tradycyi z ojca na syna. Zakończy-

ła się dopiero w ten sposób, że Debeczograd, który nie mógł sobie na placu poradzić z Unickim, podkopał się tunelem podziemnym z zamku swego do Czarady, zabił naszego przodka i wyciął załogę. Uszła tylko z życiem żona jego z synem, który był jedynym Unickim. Hrabia odpoczął i tak dalej mówił:

— Legendzie tej w pomoc przychodzą rzeczywiście tak pod Czaradą,
jak pod

Debeczyneni, istniejące wielkie lochy podziemne. Gdy później część
zaniku w

Czarada zawałła się, ślepo uwierzono, iż to nastąpiło wskutek
podkopań

Debeczograda. Odtąd jednak Unicy nie mieszkali w Czaradzie i
usadowili się

nico niżej w środku swych włości, które syn uszły z życiem nabył za
złoto,

Debeczogradom przez ojca zrabowane i w lasach Czarady ukryte.

Dopiero w połowie siedemnastego wieku, wojewoda Unicki
opustoszały zamek odnowił

i zjeżdżał doń na łowy jesienne. Wtedy w około zamku założył
zwierzyniec, w

którym miał się, znajdować rzeczywiście oswojony olbrzymi kozioł,
biorący na

rogi nieznanym sobie ludzi. — Król Jan Kazimierz, powracający ze
Szląska w r.

, bawił w Czaradzie, jak tego dowodzi napis na lewej baszcie, któryś
pan

widział.

— Wszystkie więc baśnie mojego żyda — zawołałem — mają swoje
historyczne źródło?

— Jak pan widzisz; — rzekł hrabia — sądzić wypada, że te góry w
owych czasach

były mniej dzikie niż są dzisiaj. Dowodzą tego, w tym kącie gęściej-

sze niż gdziekolwiek w Polsce, zamki magnatów; masz pan

Nawojowe, Duklę, Żmigród

i tyle, tyle innych, z których dziś sterczą tylko ruiny. Ale do rzeczy!

Kasztelan Unicki za Stanisława Augusta stracił całą fortunę w
Warszawie,

rozsprzedał lepsze folwarki i zostawił tylko Czaradę z lasami i
osadami, której

nikt kupić nie chciał. Ojciec mój zginął w kampanii roku i zostawił mi jako całe dziedzictwo, zniszczoną Czaradę, do której odbudowania się wzięłem. Rodzina Debeczogradów podupadła i została tylko przy Debeczynie, ogołoconym ze swych żywnych przyległości. Trudne przechodziłem tu zapasy z życiem, na których zesłała mi cała młodość: w opowieści pańskiego żyda ze Żmigrodu i to jest prawdą, że Unicki bronił się w swym zamku przed komornikami i sekwestраторami... Tak broniąc się i pracując, uregulowałem interesa i zakończyłem odwieczny spór Unickich i Debeczogradów, przez ożenienie się z moją żoną. Tu wskazał na starą hrabinę, która uśmiechnęła się łagodnie. — Ale tu nowa zaczyna się historia. Wysokonosząca się w Węgrzech rodzina Debeczogradów nie chciała mi dać swej córy, pamiętniejsza odemnie dawnych zatargów. Wtedy odszukałem w Galicyi krewnego mojego po matce, kasztelana, człowieka bogatego i bezdzietnego; ten obiecał zapisać cały majątek memu synowi, jeślibym go miał. Debeczogradowie przystali. Ożeniłem się. Ale syn nie przychodził długo, tak długo, iż gdy wreszcie po ośmiu latach mał-

żeństwa nadszedł, nieszczęście chciało, że tego samego dnia umarł mój krewny, zapisując cały swój majątek innym. Młody hrabia się zaśmiał i zawołał, kończąc za ojca: — Moje spóźnione narodziny były powodem niezliczonych gniewów w rodzinie, które zatrwały memu ojcu życie. Starzec dodał:

— Później spadły sukcesy na moją żonę, wypracowały się Debeczyn i Czarada, i
jakoś się żyło. Marta wniosła dobra leżące przy Debeczynie, które
dziś stanowią
jedeny dochód, bo Czarada, która będzie warta miliony z dniem
przeprowadzenia
kolei Węgiersko-Galicyjskiej, nie daje dzisiaj na kawałek chleba.
Starzec urwał, a po chwili westchnął jeszcze:
— Ja już się tego nie doczekam, ale syn mój oceni zasługi ojca, jakie
położył
dla Unickich w utrzymaniu się przy Czaradzie. Dziś górale ścinają
niebotyczne
sosny, gdy się barykadują przed egzekucją, ale wkrótce będą się one
setkami
spuszczały z tych gór, aby zatrzymać się pod szynami kolei żelaznej.
Nastąpiło milczenie.
Ja rozmyślałem nad tem, że w opowiadaniu hrabiego nie znalazłem
wytlomaczenia
piosnki Jaruchy, jednakże nie spytałem o nią — jakkolwiek mnie
język swędził.
Nie mówiono nic o mym "Obozie cygańskim," przypuszczałem więc,
że mi i o Jarusze
mówić nie wypadało.

W milczeniu siedzieliśmy na zamkowym ganku i popijali wino z
winnic Debeczyna,
które młody hrabia w kieliszki nalewał. A był on wesół dnia tego jak
nigdy.
Szczęściem też jaśniało oblicze Marty, uśmiechającej się czule do
męża, to
głaszczącej po główce swego czteroletniego synka.
Dobrze mi było między tymi ludźmi i uważałem ich za największy
skarb, jaki mi
dał mój obraz. Młody hrabia okazywał mi ciągle dowody prawdziwej
przyjaźni,
opartej na uczuciu sympatii, którą zawdzięczałem sztuce.

Księżyc wznosił się do góry i srebrzył dachy Czarady, a my
przeciągaliśmy
wieczorną pogawędkę, śmiejąc się i gawędząc. Po skwarnym dniu,
świeże powietrze
wiało od gór, przykrytych sosnami i świerkami, i orzeźwiało nasze
umysły.
Zdawało się, że wieje chłód od pokrytych śniegiem szczytów
Beskidów.
Błogo mi było jak nigdy. Jakiś spokój, właściwy gorącym dniom,
rozkołysał nas
wszystkich do marzeń i uczucia szczęścia.
Godziny upływały, księżyc się wznosił, lecz nikt nie pytał o porę. W
tera jakiś
niezwykły i niewyraźny hałas doleciał nas od głównej drogi.
Spojrzałem po obecnych i zauważyłem zmianę gwałtowną na twarzy
każdego.
Młody hrabia rozdał nozdrza i zdawał się nasłuchiwać.

Na twarzy Marty odbił się przestach, graniczący prawie z
rozpaczą. Śledziła
wylęknionemi oczyma oblicze męża, które tryskało życiem; oczy jego
dziko
błyszczały.
Przestraszającym prawie był w tej chwili, tak jego ciemna twarz
wydała mi się
namiętą.
Głosy wyraźniejsze, śpiewy, dzwonki, doleciały nas w ciszy wśród
gór.
Nadstawiłem uszu, jakbym nie pierwszy raz słyszał tę muzykę.
Taki w oddali ale rozgłośnie brzmiało.
Taraban, tara-ban! din! din! taraban dindindin... dinn... din... boum!
boum!
— Cyganie! — zawołałem radośnie, zrywając się z krzesła.
— Cyganie! — krzyknęła z rozpacze Marta i rzuciła się w objęcia
męża.

Staruszkowie zbledli jak chusty. Wszystko to trwało sekundę, może dwie.

Ogłupiały przypatrywałem się tej scenie, której nie rozumiałem.

Stary hrabia zerwał się z krzesła i wydał rozkaz:

— Spuścić most!

Nieopisane pomieszanie zapanowało. Marta szlochała w objęciach męża, który

obrócił się do mnie i zawołał, usiłując się uśmiechnąć;

— Węgierka i tak się boi cyganów!

Księżyc równocześnie oblał swem światłem twarz Unickiego; przeraziła mnie ona.

Oczy jego

świeciły jak błyskawice, nozdrza się poruszały, zaciskał usta i szarpał swój

wąs.

Uczułem się zbyt celnym w tej rodzinie i oddaliłem się do mego pokoju.

Otworzyłem okno. Luna biła od obozowiska cygańskiego, z którego dochodziły mnie

wyraźnie muzyka i śpiew.

— Może to Bela! kto wie! może? — myślałem, i zły byłem na Martę, która bała się

cyganów.

Miałem ochotę pobiedz do nich, przypatrzeć się im i odżyć chwilę wspomnieniami

Sekai'ego i naszej wycieczki.

Ale w zamku panowała cisza; most spuszczone.

Siedziałem w oknie i dumałem.

Ta scena stawała się coraz bardziej niezrozumiałą i dziwną.

Czegóż oni

wszyscy tak się przestraszyli cyganów, cyganów w Czarada, ?

Długo jeszcze w noc brzmiało:

Taraban, tara-ban! din! din! taraban dindindin!...

I usnąłem przy dźwiękach tej muzyki.

Nazajutrz rano, gdy starego sługi spytałem o cygańska bandę,
odpowiedział mi, że
pociągnęła już dalej, a głos jego wydał mi się drżącym.
Pobiegłem do sali jadalnej, gdzieśmy się zwykle gromadzili. Zastałem
Martę i
staruszków. Hrabiego nie było; wyjechał w nocy do Pesztu, wezwany
sztafeta" jak
mi oznajmił jego ojciec. Marta miała nazajutrz wyjechać za nim.

W Czarada było duszno i nudno. Tegoż samego dnia odjechałem i ja.
Przy pożegnaniu rozplakała się Marta i zapytała tonem dziwnie
smutnym,
rozdzierającym prawie:
— Pan przyjedziesz jeszcze do Czarady... skończyć mój portret?." gdy
on
będzie...
Więcej mówić nie mogła, a ja o nic nie pytałem, czując, że tu jakiś
dramat się
odbył.
Konie Unickiego odwoziły mnie do Żmigrodu. W drodze dumałem,
nie widząc nic
dokoła siebie. Dziwne myśli mi się plątały po głowie. Unicki stał mi
ciągle w
oczach taki, jakim go widziałam poprzedniego dnia, gdy nań księżyc
smugę światła
rzucił. Wyobraźnia moja strasznie pracowała.
Już dojeżdżałem do Żmigrodu, gdy mi na oczach stanął Nipolicz z
bandy Beli,
który nie mógł być kim innym jak Unickim, ubranym po cygańsku.
Dreszcz mnie przeszedł po całym ciele. Unicki i Nipolicz, to jeden
człowiek.
Nieokreślone uczucia mnie opanowały, dziwaczne myśli plątały się po
wyobraźni. A
śpiew Jaruchy wyraźny, jakbym go był wczoraj słyszał, brzmiał mi w
uszach i
rozstrajał nerwy.

W miarę, jak się oddalałem od Karpat, jak znikwały ich śnieżne szczyty,
ich
niebieskie pasma, ich cudne profile i kontury, szeptało mi coś coraz
uporniej,
iż cały mój pobyt w Czarada był snem rozbujającej wyobraźni, jak snem
były: mój
"Obóz cygański, " mój złoty medal, wszystko!

VI.

W późnej jesieni tegoż samego roku, dostałem list od Unickiego, w
odpowiedzi na
moje zapytanie, gdzie mam odesłać obraz, nadeszły z Wiednia po
ukończonej
wystawie.
Hrabia w liście tłumaczył mi swój nagły wyjazd, podczas mego
pobytu w zamku,
interesami w Peszcie; wyrażał swój żal, że się ze mną nie pożegna! i
wymagał
obietnicy przyjazdu mego w ciągu przyszłego lata.
Obraz, prosił aby natychmiast wysłać, gdyż mu było pilno zawiesić go
w swym
gabinecie.
"A portret Marty niewykończony, drogi przyjacielu — pisał on —
wzywa cię do
Czarady, jako artystę, jeśli byś nie chciał usłuchać wezwań przyjaciela.
"

List ten, pamiętam, rozwił moje fantazyjne kombinacje, które
robiłem wracając z
Czarady. Przypuszczałem, że wywołane zostały zdenerwowaniem,
jakie mną owładnęło
w dniu nieznaney mi katastrofy.
— Jakżeby Nipolicz mógł być Ilnickim? — myślałem. — Minęły już
czasy historyi z
Tysiąca i jednej nocy, czasy zaczarowanych zamków.

Sekai nadto doniósł mi z Pesztu, że Unicki jest osobistością powszechnie znaną i wieszował, że "Obóz cygański" znalazł godnego siebie nabywcę. Następnego lata zrobiłem wycieczkę do Skandynawii. Unicki się nie zgłaszał. Zapomniałem o nim,

jak się w dziewiętnastym wieku zapomina wszystkich... Czasem stanęła mi w wyobraźni Czarada i jej sympatyczny, typowy pan, jej urocza pani, jak jaki obraz z dawno przeczytanej i zapomnianej powieści. Dwa lata upłynęły od wystawy wiedeńskiej i wizyty mej w Czarada. W tej właśnie epoce, najniespodziewaniej otrzymałem pewnego dnia telegram tej treści. "Przyjedź pan natychmiast do Czarady. Proszę o to usilnie. Marta Unicka. " Ta depesza wskrzesiła we mnie z niezwykłą siłą wspomnienia. W ciągu kilku minut przypomniałem sobie wszystko, co od pięciu lat dziwnie wplątało się w historię mego najlepszego obrazu. Marta śliczna, ale z oczyma załzawionymi, stanęła żywo w mej wyobraźni i pytała swym pieszczotliwym głosem, przerywanym łkaniem: — Przyjedziesz pan do Czarady? nieprawdaż, skończyć mój portret... gdy on będzie? Tysiące pytań, zagadek, tajemnic, przypuszczeń, opanowało moją głowę. — Czemuż ona, nie on, mnie wzywa? — pytałem siebie — czemu depeszą? Co znaczy to "natychmiast?" do człowieka, którego się raz w życiu widziało, i to już tak dawno temu? Ale nie namyślałem się długo. Coś niewytłomaczonego pociągało mnie magnetyczną

siłą do Czarady

od dnia, w którym ją pierwszy raz ze szczytu Karpat ujrzałem.
Intrygowała mnie tajemnicza zagadka przeczuć i wszystkie
zapomniane wypadki
wskrzesały silne uczucia sympatii dla Unickiego, Marty, staruszków,
Czarady.

Wsiadłem do wagonu i puściłem się w długą podróż. W Żmigrodzie
zastałem

czekające na mnie konie; Marta nie wątpiła, że przyjadę natychmiast.

— Państwo zdrowi? — zapytałem furmana.

— Zdrowi — odparł tenże.

— Są wszyscy? — badałem, bojąc się zadać wprost pytanie, czy
staruszek żyje.

— Są, tylko pana już niema od trzech miesięcy. Wiadomość ta
zastanowiła mnie i
przeraziła.

Marta wzywa swego przyjaciela podczas nieobecności męża; cóż to
może znaczyć?

Dojechaliliśmy w nocy do Czarady, która mi się dnia tego równie
piękną jak dawniej

wydawała, lecz nieskończenie smutniejszą.

— W takiej Czaradzie — myślałem — nie może przebywać spokojne,
ciche szczęście.

Te gotyckie wieże potrzebują łez i jęków, porywów i radości.

Nazajutrz rano o godzinie dziewiątej, stary sługa mi oznajmił, że

Marta czeka na

mnie w gabinecie swego męża. Pobiegłem i zastałem ją zmienioną,
bladą.

— Wiedziałam, że pan przyjedziesz — szepnęła

z naturalnym lecz zbolałym uśmiechem, wyciągając do mnie obie ręce
i wskazując
mi fotel.

Nastało milczenie, podczas którego rozglądałem się po sali. Przy głównej ścianie na sztaludze stał mój obraz "Obóz cygański; " Marta siedziała prawie naprzeciw niego.

— Męża pani niema? — zapytałem.

— Niema! — odrzekła Marta tonem takim, iż odgadłem, że w tem "niema" trzeba szukać przyczyny zawezwania mnie.

Nagle zerwała się z energią, właściwą, Węgierkom i zaczęła:

— Wezwałam pana, bo zdaje mi się że jesteś jedyny, który potrafisz dać mi radę,

dopomóż mi w wielkim cierpieniu. Z tobą jedynym będę mówić o nieszczęściu, o

którem z nikim nigdy nie mówiłam.

Tu wyciągnęła do mnie rękę i dodała pytająco:

— Odpowiesz mi pan szczerze na moje pytanie, nieprawdaż?

— Odpowiem — przyrzekłem — przyciskając do ust jej dłoń.

Marta poskoczyła do obrazu i zapytała:

— Te postacie są portretami?

— Tak, prawie wszystkie zdjęte z natury...

— A więc — zawołała kobieta — jak się nazywał ten?

Tu wskazała na postać Nipolicza.

— Nipolicz — odparłem — a to Bela, wódz bandy, a to Murza...

— Murza! — powtórzyła Marta i upadła na fotel. Długie zapanowało milczenie,

które przerwała

hrabina zapytaniem:

— Więc pan wiedziałeś, że ten Nipolicz... to mój mąż ?

— Nie, pani — odparłem — ta myśl jak błyskawica przeleciała mi przez głowę w

dniu, w którym lat temu dwa opuściłem Czaradę.

— A ja dopiero przed kilkoma dniami domyśliłam się, że to on być musi... Dziwny

zbieg okoliczności... Co za szczęśliwa myśl miałam wzywając pana...

Ochłoneła i dalej mówiła:

— Mój mąż... ma dziwny pociąg do cyganów... co rok prawie znika na jakie dwa,

trzy tygodnie i między nimi przebywa. Teraz pan rozumiesz mój przestrach tego

wieczora, gdy uszu naszych doszły straszne dla mnie dźwięki.

Zakryła oczy ręką, wspartą na poręczy fotela.

— Więc nie ulega wątpliwości — wyszeptałem — że Nipolicz ten jest mężem pani.

Hrabina dalej, nie odkrywając oczu mówiła:

— Nie rozumiem go... taki wykształcony!... Może to ta Murza?...

Odsłoniła oczy i spojrzała na mnie, ale ja milczałem.

Kobieta dalej po chwili zaczęła:

— Te jego wycieczki są naszym wielkim nieszczęściem. Cierpię nad tem szalenie.

Wstydzę się ludzi. Cierpią na tem jego rodzice za siebie i za mnie

Utrzymujemy w sekrecie ten co rok powtarzający się skandal!...

Rozpląkała się. Staralem się ją uspokoić.

— Ja go kocham! — nagle wyszeptała cicho, bardzo cicho.

Długie, niczem nieprzerwane milczenie panowało z jakie pół godziny.

Marta siedziała nieruchoma, odwrócona odemnie, wpatrując się w przestrzeń parku,

przez gotyckie, otwarte okno.

Potem znowu zaczęła:

— Zwykle rychło wracał; lat temu pięć... wtedy... bawił miesiąc... lat temu

dwa... trzy tygodnie, przeszłego roku tydzień. Dziś...

— Dziś? — podchwyciłem.

— Niema go od trzech miesięcy! — zawołała — i nie wiemy, gdzie go szukać, czy

wróci... czy żyje!..

Zanosila się od płaczu, a ja przygnębiony, rozrzewniony,

kombinowałem w głowie

daty, aby wyrachować, gdzie o tej porze banda Beli mogła się znajdować. Byłbym

dał życie w tej chwili, aby ukoić boleść Marty.

Spojrzała na mnie, jakby pytająco. Zrozumiałem jej wzrok.

— Za kilka dni męża pani przyprowadzę! Marta, wskazując na obraz, głosem

radosnym

krzyknęła:

— Więc pan sądzisz, że go znajdziesz w tej bandzie?

— Niezawodnie! — odparłem bez namysłu. Twarz jej konwulsyjnie się wykrzywiła.

Poskoczyła do mnie i wskazując palcem postać cyganki na obrazie, zawołała:

— Więc to dla tej, dla Murzy! Upadła znów na fotel i łkała.

— Nie, pani — podchwyciłem przerażony — ja tego nie powiedziałem.

Marta uśmiechnęła się przez łzy i powoli przychodziła do siebie.

Wreszcie

szepnęła cicho:

— On jest ojcem mych dzieci. Wstała i podając mi rękę, rzekła:

— I sądzisz pan, że żyje, że go znajdziesz?

— Jestem prawie pewny! — odparłem i zacząłem obszernie tłumaczyć cechy

artystycznej i pierwotnej natury jej męża, w której, a nie w czym innym, powinna

była widzieć przyczyny jego fantazyi.

Kobieta słuchała mnie uważnie i poruszała głową na znak, że moim słowom nic nie

wierzy, lecz mimo to, że jej one nieco przywracają spokoju. Gdy zupełnie

ochłonęła, zaczęła znów tonem znacznie spokojniejszym:

— Pojmujesz pan, jak nienawidziłam cyganów, jak nienawidziłam jego obrazu,

któremu nigdy nawet się nie przypatrywałam. Kiedyś dopiero

machinalnie oczy moje

spoczęły na tem płótnie i poznałam go... poznałam tę, którą dawno przeczuwałam!

Zaczęła znów się zapalać. Przerwałem:

— Nie trzeba o tem myśleć.

Ale Marta kończyła:

— I przyszła mi myśl wezwania pana. Błogosławię tę chwilę, bo może i pan z nim byłeś w tej bandzie?...

— Trzy tygodnie.

— I nie poznałeś go, gdy...

— Nie; tylko często doznawałem wrażenia, że go gdzieś, kiedyś widział.

Hrabina jeszcze zapytała, wskazując na cyganek, która na obrazie przed

Nipoliczem tańczyła wywijając bębenkiem:

— I ta kobieta taka ładna jak na obrazie?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, tylko podałem Marcie ramię, tłumacząc jej mój pośpiech głodem, który gwałtownie uczułem.

W sali jadalnej zastaliśmy starych Unickich. Staruszek pochylił się do ziemi i

przykre wywierał wrażenie, jak gdyby go troski zbliżały do dzieciństwa. Zaraz po

śniadaniu podszedł do mnie, wziął na bok i tajemniczym głosem zagadnął:

— Synowa moja panu opowiedziała? Smutno to mieć jedyne go syna z taką chorobą; a

wiesz pan, z kąd do tego przyszło? Ja wiem. Urodził się on w Debeczogradzie.

Właśnie w tym dniu, w którym przychodził na świat, cyganie rozłożyli się obozem

tuż pod oknami sypialni matki. Ich dzika muzyka brzmiała na dolinie od północnej

strony zamku i obijała się o ściany komnaty, mieszała się z jękami matki. Oto

przyczyna naszego nieszczęścia, oto, co wyrodziło te dzikie popędy.
Starzec umilkł, a ja ważyłem jego słowa, które dodane do wszystkiego
com o

Czaradzie już wiedział, bałamuciły wyobraźnię, nie odkrywając
tajemnicy.

Tego samego dnia opuściłem Czaradę, aby odszukać bandę Beli.

Obliczyłem według

znanej mi jego marszruty, że o tym czasie powinien być być z

powrotem już z

Dzwino grodu, na drugim krańcu Galicyi, między Czortkowem a
Husiatynem.

VII.

Śliczną jest naddniestrzańska równina i ślicznym ten kraj między
Buczaczem a

Tłumaczem, Zaleszczykami a Haliczem.

Jechałem wzdłuż Dniestru, pytając się każdego spotkanego, czy nie
widział bandy

cyganów.

Odpowiedzi bałamuciły. Tu ich widziano, tam przeszli, owdzie
słyszano o nich,

tam znów ich przepuszczono.

Zwątpiłem był prawie w odnalezienie Beli, choć ciągle opowiadano
mi po drodze,

że on, a nie kto inny, jak jaki król ze swoją świtą pociągnął ku

Chocimowi.

Powinienem był go spotkać wracającego już

i ściągającego na jesień ku Węgrom. Spodziewałem się tego w
okolicach

Monasterzysk. Było już bowiem ku końcowi sierpnia, a pamiętałem
że młode cyganki

prawiły dużo o jarmarku w Monasterzyskach, który był dla Beli
niejako terminem i
etapem w jego wędrówce.
Jechałem dalej, szosą prowadzącą z Buczacza do Mołdawii.
W Jazłowcu powiedziano mi, że duża banda cyganów właśnie
przeciągnęła ku
Potokowi. Opuszczając gościniec, najętą jednokonką puściłem się za
nimi w pogoń.

— Byli za wczoraj, wczoraj, dzisiaj — odpowiadano mi po drodze.
Wreszcie spotkałem jakiegoś wyrostka, który na moje pytanie,
radosną dał mi
odповідź:

— Cyganie? Są panie! są!

— Gdzie?

— Pod Ostri, w gaju nad rzeką spoczywają.

— A Ostri gdzie?

— A ot, Ostri!

Odesłałem furmankę i poprosiłem chłopaka, aby mnie do boru
zaprowadził.

Las leżał w ostrym kącie, który Dniestr wijący się w tej okolicy
przeróżnemi

zygzakami, między Ostrim a Piotrowem tworzy.

Słońce wznoszące się wysoko, nie pozwalało marzyć o tem, aby śpiew
i muzyka

miejsce obozowiska zdradzały.

Cyganie musieli być na robocie.

Należało ich odszukać.

Chłopak znalazł polanę w lesie, otoczoną z jednej strony Dniestrem a z
drugiej

strumykiem do niego wpadającym. Strumyk ten nazywał się nawet
"Cygan, " bo

odwiecznym miał on być band ulubieńcem. Wzdłuż niego
spuszczaliśmy się ku rzece.

W tem przystanąłem. Zdawało mi się, że z lasu dolatuje niewyraźny
śpiew.

Serce mi zabiło. Nie omyliłem się.
Bystro płynąca woda "Cygana" niosła z pieszczotliwym szmerem,
piosnkę Jaruchy:

"Pański zamek stoi w Czarada,
Srebrne dachy ma,
Śliczny zamek stoi w Czarada,
Białe mury ma."

Odesłałem do domu mego przewodnika i spocząłem na murawie, jak
po ciężkiej
pracy, uwiecznionej niespodziewanym powodzeniem.
Ta piosnka cyganichy wydała mi się dobrą przepowiednią; Jarucha
śpiewała dalej.
Widocznie sama była w obozowisku, lub się też od niego oddaliła.
Nuciła rozpaczliwym głosem:

Straciłam go w Czarada,
Oj! biada mi biada!
Sprzedałam go w Czarada,
Biada mi biada!
Din din din... din din din... din... din!

"Wstałem i szedłem w kierunku głosu w górę rzeki, rozmarzony tym
śpiewem, który
drugi raz w tak odmiennych warunkach słyszałem.
Przypomniałem sobie, że Bela za tę piosnkę bił Jaruchę, a nas z
Sekai'em z bandy
wypędził. Chciałem wyteńczyć umysł i odgadnąć znaczenie pieśni, ale
napróżno; Bela
je tylko znać musiał, ale jakimże sposobem nie znał piosnki
hrabia?
Te i tym podobne myśli wciąż mnie trapiły, od chwili opuszczenia
Czarady i
zadawały mi niemałe męczarnie.
Chciałem co prędzej odszukać Nipolicza.

— A jeśli się pokaże, że Nipolicz jest tylko bardzo podobnym do Unickiego?
Truchlałem na tę myśl.
W tem znikły na chwilę krzaki i odkryły mi polanę leżącą nad strumykiem,
osłoniętą leszczyną od chłodu, wiejącego z bystrych wód Dniestru.
Na polanie stały budziaste bryki, pasły się konie, poruszały się lekko od wiatru
rozpięte namioty.
Pusto było i cicho dokoła obozowiska. Tylko Bela leżał pod wozem, przy bębnie.
Błądził czarnemi oczyma po horyzoncie i puszczał kłęby dymu z białej
porcelanowej fajki.
Więcej nie było nikogo.
Sięgnąłem ręką do kieszeni, a zapewniwszy się, że w niej spoczywa rewolwer,
skierowałem swe kroki ku Beli.
Jakaś niewyraźna a podstępna myśl, świtała mi

w głowie i parła do działania. Wszystko, co w swoim czasie zauważyłem w bandzie,
nagle stanęło mi na pamięci, jak gdybym ją niedawno był opuścił.
Bela zaraz mnie poznał, gdym ku niemu podszedł, ale ani drgnął, tylko wysilił
się na przymuszony uśmiech i potoczył ponuremi oczyma:
— Wy? — bąknął.
— Ja sam! poznajecie mnie? — zawołałem, wyciągając do niego rękę i siadając przy
nim na murawie.
Zacząłem dopytywać się o cyganów.
— A Nipolicz? zawsze kocha się w Murze, a ona zawsze dla niego śpiewa i tańczy?
Cygan spojrział na mnie złowrogo, jak gdybym mu sztylet wbijał w serce, i odparł
stłumionym głosem.

— Nic się nie zmieniło.

— Żałuję was, Bela — odparłem po chwili namysłu — wy zawsze tak przepadacie za tą dziewczką?

Bela zmarszczył brwi, spojrzał mi bystro w oczy i westchnął ciężko, strasznie.

Gotowało się w tym cyganie.

— Ot — mruknął — jak poszli rano, tak ich dotąd niema...

Zacząłem długo i obszernie przedstawiać Beli, że powinien on, jako wódz,

wypędzić Nipolicza z bandy i przywłaszczyć sobie sam jeden Murzę.

Cygan milczał uporczywie, a gdym już wszystkie moje argumenta wyczerpał,

odpowiedział sucho:

— Dziewka ginie za Nipoliczem, a banda go lu-

bi... więcej niż umie... Gdybym go wypędził, zrzuciliby i mnie z przywództwa.

Cierpieć trzeba... może kiedy Bóg da, rozprawimy się... krakremija!

Oblicze jego poczerwieniało, oczy zabłyszczały, podniósł się na legowisku,

zadając mi kilka krótkich pytań, co do mego znalezienia się w obozie.

Nagle zawołał:

— Ha! gdyby nie banda, jabym sobie z nim poradził.

A słowa te wypowiedział takim tonem, żem zadrżał i mimowolnie sięgnął znów ręką

do kieszeni.

— A czyj to syn ten Nipolicz? — zapytałem. Cygan spojrzał mi w oczy i odparł:

— Matka jego nie żyje.

— Co mi dacie — zawołałem, jakby pod wrażeniem przychodzącej mi myśli — a ja was

od Nipolicza uwolnię... zaraz...

Bela się uśmiechnął i pokazał szereg białych, jak kość słoniowa zębów.

— Jakim sposobem?

- Co wam do tego? Dziś się zabierze i pójdzie.
— Co chcecie! wszystkie guzy od mego żupana... może pieniędzy chcecie? może...
— Nie! — odparłem — przyrzecz, że dasz co zechcę.
— Przyrzekam!
— Słowo cygańskie?
— Cygańskie! — zawołał Bela i wyciągnął do mnie swą czarną dłoń.

Niezdługo potem zaczęli się schodzić cyganie. Drożyną po nad Dniestrem kroczyli wolno Nipolicz i Murza. Nie patrzyłem w ich stronę, tylko śledziłem dzikie wejrzenia Beli, które zapuszczał w stronę Dniestru. Widocznie długi pobyt Nipolicza w bandzie sprzykrzył mu się, bo oczy jego pałały hamowaną zazdrością, jakąś dziką wściekłością. Cyganie i cyganki witali się ze mną, jak z dobrym znajomym, a mnie serce biło gwałtownie. Nipolicz się zbliżał, a Nipolicz mógł nie być Unickim; nawet mi się zdawało, że ruchy jego nie przypominały ruchów mego przyjaciela. Już był na polanie, a nie widział mnie otoczonego bandą i zmierzał ku niej, jakby zaciekawiony jej ożywieniem. Murza weszła do namiotu, Bela leżał i śledził oczyma każdego i wszystkich. Dopiero gdy spotrzegłem, że Nipolicz mnie widzi i jakby poznaje, poskoczyłem ku niemu.
— Nipolicz! — zawołałem.
Unicki zbladł i głosem stłumionym wymówił moje nazwisko. Drżał na całym ciele, nie śmiał mi spojrzeć w oczy, mienił się, a wargi jego drgały jak u dziecka złapanego na gorącym uczynku.

Chcąc skrócić tę nad wyraz nieprzyjemną chwilę, wziąłem przyjaciela pod ramię i odprowadziłem go na stronę.

Banda przypatrywała się zdziwieniem tej scenie, a Bela powstał pod namiotem i

wyprostował swą olbrzymią postać.

W odległości kilkunastu kroków chciałem zacząć mówić, ale Unicki mnie pociągnął, szepcząc.

— Dalej!

Krzaki wnet zasłoniły mi obozowisko.

— Dziesięć dni jak wyjechałem z Czarady! — zawołałem — i szukam cię dniem i nocą po świecie.

Oblicze Nipolicza pokrył wyraz trwogi.

— Czy się co stało? czy zdrowi? — zawołał przerażony.

— Zdrowi jeszcze - odparłem — ale jeżeli chcesz aby Marta oczu nie wyplakała, jeśli chcesz zastać twego ojca...

Urwałem, bo Unicki zasłonił rękami twarz i jęknął:

— Nieszczęsna ta natura moja!

W tych kilku słowach było tyle szczerości, prawdy, żalu, rozpacz, żem więcej nie miał odwagi powiedzieć, tylko rzuciłem się mu na szyję, aby go uspokoić.

Postanowiliśmy nie zdradzić się z niczem przed bandą i przenocowawszy, z

pierwszym brzaskiem cichaczem opuścić obozowisko.

— Gdyby się o tem dowiedzieli, nie puściliby nas — wyszeptał hrabia.

Wróciliśmy do cyganów; grzeli się przy ognisku,

bo już wieczory zaczynały być chłodne, a od Dniestru wiało zimne,
przejmujące
powietrze.

Bela tylko rzucał, to na mnie, to na Nipolicza badawcze spojrzenia; on
jeden

zdawał się dostrzegać zmiany na obliczu swego rywala. Unicki
bowiem nadrabiał

tylko miną, a w gruncie duszy głęboko był rozstrojony i zgnębiony.

Krępowała go

moja obecność. Unikał mych oczu, nie zadał mi ani jednego pytania,
których było

tysiące na drgających jego ustach.

Nie było jeszcze zbyt późno, gdy banda zaczęła się układać do
spoczynku.

Wieczory znacznie dłuższe wystarczały na zabawy i gawędę; nie
trzeba ich było

przeciągać do północy, jak to się działo w czasie skwarów letnich.

Nipolicz ofiarował mi gościnność w swym namiocie. Gdy wkrótce
zasnął snem

twardym, wysunąłem się z pod płóciennego dachu i cichaczem
podążyłem do Beli.

Ten nie spał, tylko stał z siekierą w rękę. Przeraził mnie, gdym go tuż
przy

sobie zobaczył, opromienionego bladym światłem gwiazd.

— To wy? — mruknął cicho.

— Ja, a co?

— Nic! myślałem...

Domyśliłem się, co trwożyło Belę i szepnąłem:

— Nipolicz śpi, jak zabity.

Bela odetchnął głęboko. Odprowadziłem go o jakie pięćdziesiąt
kroków i zacząłem.

— Za kilka godzin ja i Nipolicz opuszczamy was.

— Czy prawdę mówicie?

— Prawdę!

— Co chcecie?

— Siadajcie tutaj — odparłem, wskazując Beli zadarnione mrowisko,
i opowiadajcie
mi historię Nipolicza.

Bela spojrział na mnie dziko. Wśród ciemnej nocy zabłysły jego
źrenice tak, iż
mimowolnie sięgnąłem znów do kieszeni.

— Obiecałem wam dać, co zechcecie — mruknął — ale nie
powiedzieć. Zresztą cóż
chcecie... Nipolicz? cygan! cygańskie życie...

Przerwałem mu, chwytając go za rękę:

— Wiem, kim jest Nipolicz. Bela zadrżał:

— Kim? — zapytał.

— Hrabia Unickim z Czarady.

Cygan głęboko odetchnął, jakby mu wielki ciężar spadł z piersi, i po
chwili
odparł:

— Niech będzie! O więcej nie pytajcie, bo to tajemnica, o której na
świecie nikt
wiedzieć nie może, o której ja nie wiem.

— A ja wiem!

Bela podniósł górną połowę kadłuba i spojrział mi w oczy.

— Co wiecie?

— Wiem wszystko! Jeśli to tajemnica i wy ją znacie jeden na świecie,
to ja
jestem drugi.

— O nie! — zaśmiał się Bela.

Pilno mi było skończyć. Nachyliłem się do Beli i szepnąłem wyraźnie:

— Nipolicz jest synem Jaruchy!

Na te słowa skierował swój wzrok dzikszy niż kiedykolwiek na moją
twarz i

sięgnął ręką do pasa, za którym tkwiły nóż i pistolet.

Dreszcz mnie przeszedł, ale wytrzymałem śmiałe spojrzenie cygana i
czekałem jego

odpowiedzi. Bela milczał długo. Księżyc rzadko wyzierający z po za
chmur

pędzonych lekkim wiatrem, oświetlał jego śniade oblicze, które krew uderzająca

do głowy pokryła szkarłatem.

Ważył coś w głowie i rozmyślał.. Wreszcie zagadnął mnie tonem drżącym od

wewnętrznego wzruszenia, w którym przebijało hamowane rozdrażnienie.

— Czy wiecie, że tę tajemnicę przysiągłem dać sobie tylko z życiem wydrzeć?

— Wszak od was nic nie wiem.

— Gdyby nie...

Tu urwał, potoczył dokoła siebie oczami, których białka świeciły w nocy, i

głęboko odetchnął.

— Co? — zapytałem.

— Że teraz — kończył Bela — mam dziką ochotę dotrzymać ojcu przysięgi, że

teraz...

— Co? mówcie!

— Jabył was, ot, pchnął tym nożem i dalejby nikt, prócz mnie, tej tajemnicy nie

znał.

Bela sięgnął ręką do noża.

Cofnąłem się nieco, macając mój rewolwer.

— Tego nie zrobicie!

— Nie! — westchnął żałośnie cygan — nie, boście moim gościem.

Zapanowało długie milczenie, które przerwałem przybliżając się do Beli i

dotykając ręką jego ramienia.

— Słuchajcie! — mówiłem — tę tajemnicę ja odgadłem, ja jeden tylko...

— Jakto? — zapytał cygan ze zdziwieniem — nikt wam jej nie powierzył?

— Nikt.

— Nikt jej nie zna w bandzie?

— Nikt.

— Nikt w zamku? — zapytał głośniej, świdrując wzrokiem w mej duszy.

— Nikt! — odparłem dobitnie. Bela odetchnął lżej.

Ja zaś dalej zmienionym tonem zacząłem:

— Jeśli wam na tej tajemnicy zależy, jeśli chcecie aby jej nikt nie znał, ani

tu, ani w zamku, ani nigdzie na świecie, to mi opowiedzcie prawdziwą historię

Nipolicza, a ja wam dam moje słowo...

— Czyż słowo dane cyganowi was obowiązuje? — zapytał Bela z gorzkim uśmiechem.

W odpowiedzi podałem mu dłoń, którą po chwili namysłu uścisnął.

— Dobrze! — zamruczał — gdy będziecie ją znać, nie będziecie już jej ciekawi.

Podniósł oczy do nieba i stłumionym głosem mówił:

— Świadczę się wami, piękne gwiazdy, że słówkiem tajemnicy nie zdradziłem, że

słowa danego ojcu dotrzymałem.

Zamilkłem i zamyśliłem się tak długo, iż znowu go ręką trąciłem. Wyglądał, jakby się

obudził i tak zaczął:

— Lat temu trzydzieści, wodzem tej bandy był Arpad, ojciec mój. A banda nie była

taką, jaką dziś jest; rozbijała, paliła i kradła, aby było za co włóczyć się po

świecie, rozbijać namioty po zielonych murawach, kupować guzy do kurtek

kochankom, cekiny cygankom. Ot, bieda jak u cyganów! Coby to się nie robiło dla

swobody i wolności, dla włóczęgi po tym pięknym świecie.

W Węgrzech, tuż na granicy, opodal Czarady stoi zamek Debeczyn, należący do

dumnych Debeczogradów. Dziedzicem jego był wówczas Debeczograd i miał jedną,

jedyną córkę, dla której chciał bojara. pana z panów, magnata z magnatów. A córka chciała wyjść tylko za lacha z Czarady i wiedła, jak roślina bez wody, na zamku w Debeczynie. Mijały lata, aż wreszcie jakiś możny pan, mieszkający między Żmigrodem a Nowym Targiem, przez którego niwy i łąki banda cygańska szła ośm dni i ośm nocy, wdał się w tę sprawę i obiecał zapisać wszystko wnukom dummnego Debeczograda, w którego żyłach płynęła krew Arpada Dziewiątego. Dziedzic Czarady poślubił uko-

chana dziewczkę, ale dzieci jak nie było, tak nie było. Bóg nie błogosławił krwi własną krwią skalanej, bo mówią w Karpatach, że kiedyś, dawnymi czasy, jakiś Debeczograd zabił dziedzica Czarady. Bela zamilkł, aby skrzesać ognia i zapalić zagasłą fajkę. Wkrótce obejrzawszy się, czy wszyscy w obozie śpią, nadstawiwszy uszu, azali nie postłyszycy jakiego szmeru, dalej cicho opowiadał: — Raz do ojca mego, który ciągnął wtedy zwiosną na Węgry, przyszedł jakiś stary Madziar, jakby pański sługa, i tak przemówił: "Jeśli chcecie Arpadzie zrobić dobry interes, jeśli chcecie mieć zawsze najlepsze konie w waszej bandzie, najsilniejsze wozy, najdźwięczniejsze dzwonki, szczeroko - srebrne guzy i czerwone chusty na czarnych szyjach waszych kobiet, to wyszukajcie cyganekę, któraby miała kilkodniowe niemowlę płci męskiej, rozbijcie w tym a tym dniu namioty opodal

Bardyowa i czekajcie. A gdy ujrzyście chorągiew powiewającą na
wieży zaniku w
Debeczynie, ściągajcie pod jego mury." Tu Madziar na zadatek rzucił
mojemu ojcu
trzos złota; stało się, jak chciał sługa, bo Arpad umiał słowa
dotrzymać. W
kilka tygodni później Arpad ściągnął do Bardyowa, a na wozie pod
budą siedziała
Jarucha, wówczas młoda i piękna jego ukochana. Z Bardyowa, z góry
na której stoi
krzyż spróchniały, widać wieżę zamku w Debeczynie. Ujrzał też
Arpad pewnego dnia
powiewającą na niej chorągiew; ruszył przy dźwięku muzyki i sta-

nał pod strzelającymi do nieba murami. Czekano już na niego.

Madziar zaprowadził

go w nocy do zamku, gdzie ojciec mój zabawił kilka godzin i
dowiedział się, że

lekarze nie robią nadziei utrzymania przy życiu oczekiwanego
potomka dwu możnych

rodów.

Bela urwał.

Dawszy mu chwilkę wypoczynku, zagadnąłem:

— Dalej! dalej!

Cygan zarzucił swoje czarne długie włosy na tył głowy i mówił:

— Nazajutrz rano Jarucha zawodziła, szalała, bo jej w nocy, podczas
snu, od

piersi porwano kilkodniowe niemowlę; ale Arpad nie słuchał

lameutów, tylko

zabębnił w bęben i kazał ruszyć dalej... w świat! I nikt, nikt prócz
niego nie

wiedział, co się stało z dzieckiem Jaruchy, bo nawet madziar ten,
który do jego

obożu przychodził, zginął bez śladu. Arpad milczał, a nikt jak on
milczeć nie

umiał.

— Jakżeście więc wy doszli tajemniej? — zapytałem, nie mogąc pohamować ciekawości.

— Arpad nie był wiecznym — kończył Bela. — Gdy czuł że umrze, wywlókł się do lasu i mnie wziął z sobą. Grobowym głosem to, co ja wam mówię, przekazał mi.

— Po co? — zawołałem.

— Po co? — zaśmiał się Bela — po to, abym co rok na wiosnę, gdy przez Peszt przeciągamy z południowych Węgier w te strony, wiedział do kogo się udać po tysiąc guldenów w złocie, które mi tak długo wy-

płacają, jak długo nikt prócz mnie nie wie, że Nipolicz jest cyganem. Zamyśliłem się nad tą historią, w której prawdziwość wątpić nie było można.

Bela milczał, paląc fajkę.

— Dlaczegoż jednak ściągacie co rok pod Czaradę, i...

— Ah! to moje nieszczęście — przerwał Bela — raz wypadł nam tam nocleg. Cygańska krew rozgrała muzyka; dziedzic Czarady opuścił żonę i dom, i poszedł z nami.

Odtąd... co rok... ja nic na to nie mogę... cyganie go lubią... na Czaradę ciągną.

— I niema sposobu — podchwyciłem — aby tego człowieka zniechęcić na zawsze do tych wycieczek?

Bela spojrział mi w oczy i zaśmiał się cynicznym śmiechem.

— Jest — odparł — powiedzieć mu że jest cyganem; nie wróciłby więcej... nie patrzyłby na nas... na Murze! Ale któż mu to powie, ja? nie! bo przysiągłem ojcu, bo... Wy? nie, boście mnie dali słowo.

Wtem zaczęło się rozjaśniać na horyzoncie, gwiazdy ginęły, księżyc
bladł, a
czarne chmury białły. Świtało, a dotkliwe zimno przebiegło nasze
ciała, gdyśmy
cichaczem wymykali się z obozu.
On smutny, że opuszczał to życie które lubił, a ja zmęczony,
zziębnięty po
bezsennej nocy. Ranek zwiastował gorący dzień, powietrze było
duszne.
Szliśmy obok siebie ku Tłumaczowi, gdzie mieliśmy wziąć pocztowe
konie i gnać
do Czarady.

Unicki rozglądał się po okolicy, łykał powietrze, wsłuchiwał się w
szept
budzącej się natury, której każdy szmer zdawał się rozumieć.
Nagle przystanął, ręką potoczył po krajobrazie, który oświecało
wynurzające się
ze swego łożyska jaskrawe słońce i zawołał:
— O ileż cygan od nas szczęśliwszy! on codzień widzi ten przepych
świata. Jego
codzień budzą te promienie, które ziemia wita tyloma tajemniczymi
głosami,
tyloma barwami, szeptami!
Nie odpowiedziałem przyjacielowi, bo zastanawiałem się jeszcze nad
opowiadaniem
Beli. Szalona myśl plątała mi się po głowie, myśl niedotrzymania
słowa danego
cyganowi.
Pytałem siebie, czy aby przywrócić szczęście w Czaradzie, aby
osuszyć łzy Marty,
nie powiedzieć hrabiemu Unickiemu, że jest — cyganem?
A jeśli wówczas, świadomy swej krwi, przystanie nazawsze do
bandy? Zląkłem się
tego przypuszczenia i zatrzymawszy przy sobie tajemnicę,
pocieszałem panią Martę

zapewnieniem, że mąż jej jest. poetą w duszy i gdyby umiał malować
lub wiersze
składać, byłby mistrzem nad mistrzami.
To zapewnienie uspokoiło nieco biedną kobietę.

NIEDYSKRECYJA.

EPIZOD Z DZIEJÓW CZWARTEGO PUŁKU HUZARÓW
WĘGIERSKICH.

I

Służyłem w czwartym pułku huzarów węgierskich. Piastowałem rangę
porucznika w
trzecim oddziale drugiego szwadronu i przyjaźniłem się szczególnie z
dwoma
oficerami. Tymi byli dwaj dowódcy pierwszego i czwartego
oddziału, hrabia Gyula
Redödy i Bela Czákvar.
Nie rozłączaliśmy się, bo nas nie tylko kojarzyła przyjaźń, ale i służba
w jednym
szwadronie, pod komendą sympatycznego i lubionego rotmistrza,
księcia Arpada
Galaviczini.
Rotmistrz uchodził za surowego zwierzchnika i był takim w istocie,
bo wymagał od
swych oficerów nie tylko służbistości przed frontem, lecz wglądał w
ich życie
prywatne, które, jak mówił, powinno być bystrzejsze od potoku
płynącego z gór
Szöröny, a czystsze od jego przezroczystej wody. Galaviczini był i
żołnierzem i

poetą, którego muzę posądzano o skomponowanie niejednej piosnki,
trafiającej do
przekonań lśniących huzarów czwartego pułku.

"Lśniącym" zwał się nasz pułk od wieków. Czy go tak ochrzciły
piękne Węgierki,
czy też przydomek zawdzięczał złoto-kasztanowatym koniom? Nie
wiem! Dość było
powiedzieć "lśniący pułk, " a każdy Madziar wiedział o jakim pułku
mowa. Nas
razem i pojedynczo, zwano "lśniącymi huzarami, " a słowa to
magiczny wpływ
wywierały na śliczne Węgierki.

Takimi prawdziwie "lśniącymi huzarami" byli też moi dwaj
przyjaciele, Redödy i
Czákvar.

Trudno opisać tych dwóch młodzieńców, pełnych ognia i życia,
blasku i odwagi,
piękna i brawury.

Niewiem którego czarne oczy bardziej świeciły, którego kędzierzawe
włosy silniej
połyskiwały, u którego rysy twarzy wyrażały więcej odwagi i
rycerskiego ducha.

Wiem tylko, że Redödy miał jak cygan śniadą twarz, przy której
matowym kolorycie

lśniły śnieżne białe zęby. Czákvar zaś miał oblicze tak piękne, iż na
ulicach

Pesztu każdy przechodzień zatrzymywał się na widok tego
młodzieńca.

Charaktery ich miały wspólne cechy: Redödy był więcej, Czákvar
mniej cyganem;

Redödy chwycił za rękojeść pałasza, wtedy gdy Czákvar, zagryzając
do krwi usta,

tylko wąsik pokręcał. Redödy mienił się jak kameleon, patrząc na
kobietę,

podczas gdy Czákvar topił w niej swój wzrok, bystry a wymowny.

Obaj byli w jednym wieku, obaj kształcili się w jednej szkole
wojskowej, obaj
wreszcie pochodzili z południowych Węgier — z tej krainy, w której
słońce
silniej grzeje i krew gorącą rodzi.

Żyli z sobą w najściślejszej przyjaźni. Czasem, ale to bardzo rzadko,
Redödy
pozazdrościł na chwilę Czakvárowi złocistego konia, jeśli ten ostatni
takiego
zkaąd dostał.
Czasami znów Redödy zazdrościł koledze kochanki, bo Redödy był
zazdrosnym i
bardziej chciwym życia i jego blasków — obaj zaś te same zdawali się
mieć cele i
te same żywić namiętności.
Czwarty pułk huzarów nie tylko od słońca błyszczał, ale był pomiędzy
wszystkimi
pułkami najczystszy, jak kryształ, lub jak brylant z korony Ś-go
Szczepana.
W innych pułkach przytrafiały się tajemnicze wypadki, niezbadane
zbrodnie,
niejasne pojedynki — w "Isniących huzarach" nigdy.
W innych pułkach zachodziła czasem potrzeba wydalenia oficera i
działy się
skandale wynikłe z pijatyk, czy szulerstwa — w czwartym pułku
nigdy.
Dumniśrny z tego byli, nieustępowaliśmy w niczem, owszem, prym
trzymali nad
jedenastym pułkiem, choć ten liczył w gronie oficerów samych
magnatów, bojarów i
członków izby panów; i nad siódmym, zwanym "hulaszczy, " choć
w nim złoto
przelewało się strumieniem — i nad piętnastym, choć go cesarz
uważał za
najodważniejszy i najlepiej wyćwiczony.

Podanie niosło, że odkąd istnieli "lśniący huzarzy, " niebyło w pułku ani jednego wypadku, kończącego się przed kratkami sądowymi. Cesarzowa Marya Teresa, głosi podanie, miała

się raz spytać jednego z marszałków, dlaczego "lśniącym" się zowie — czy dla swych złotych koni? czy dla innych przyczyn? Stary generał odpowiedział jej: — Nie, Najjaśniejsza pani! We właściwym znaczeniu słowa, lśni tylko brylant, a właśnie czwarty pułk jest brylantem... Tak rzeczywiście było i takimi byliśmy jeszcze, gdy nas rozkaz ministeryum wojny nagle przenosił z Pesztu na granicę Bośni i Hercegowiny, gdzie się zanosilo na poważne wypadki. Opuściliśmy z żalem stolicę naddunajską i maszerowaliśmy na południe.

II.

Na południe od Pesztu leży miasteczko Soubor, w okolicy którego mieliśmy stanąć kwaterą. Droga z Pesztu do Souboru przechodziła przez równiny, jakie same tylko Węgry mają. Nosi ona nazwę puszczy Kecmeckiej: zaczyna się tuż pod Pesztem, a ciągnie wzdłuż lewego brzegu Dunaju do samego Souboru prawie. Od wschodu zamyka ją Cissa. Trudno opisać urok jaki ma dla kawalerzysty marsz przez czterdzieści mil długą równinę, jak stół równy, jak szmaragd zielony, jak raj cichą puszcza Kecmecką.

Jak daleko oko sięgnie, równo i cicho, a zielono i pięknie. To zaczerni się w oddali punkcik mniejszy od główki szpilki, który jest domem na schronienie dla pasterzy, to na nieprzejranej zielonej łące, zjawi się ruchoma, szara plama, która jest nieprzeliczone stado owiec, lub wołów. A jak cicho i uroczyście! Czasem tylko zarżał któryś z kasztanów czwartego pułku, poznając chyba po gatunku pokrywających puszcę traw, swój kraj rodzinny — a gdzieś daleko, zdawałoby się na tej równinie gdzieś o tysiące mil, odpowiadało rżeniem całe stado rumaków, bujających po stepie. Jakże to rżenie jednak było cichem i głuchem! Rozpoznać je mógł tylko Redödy, który co rok zwiedzał w celu zakupu koni puszcę całą. Rozpoznać je tylko był w stanie ten i ów żołnierz, pochodzący z pasterzy zwanych Czikosami. Myśmy słyszeli tylko jakby szmer w powietrzu, jakby odgłos szybującego ptaka, ale ile razy kasztan Redödy'ego zarżał, to tylekroć towarzyszyło mu w dali to echo, a za nim odzywały się wszystkie jeden po drugim w pułku konie, które w Keczmeckiej puszczy wzrosły. Wtedy wśród imponującej ciszy puszczy, ruch zapanował w szeregach maszerujących długim pasem. Wtedy to ten, to ów rumak usiłował wydostać się z linii i popędzić jak strzała w kierunku stada. Wtedy to i niejeden czikos otarł łzę pięścią, bo i jemu uśmiechała się ta swoboda i cisza, w której strzegąc stada

bujnych i rozhasanych koni, spędził dwadzieścia najpiękniejszych lat żywota.

Nie równie poetycznego jak ten marsz po dywanie traw, zieleńszym od szmaragdów, miększym od puchu łabędziego. Nad nami niebo lazurowe, a pod nami nieprzejrzone morze zieloności.

Pusto i głucho.

A cóżto za radość wszystkich nas ogarniała, gdyśmy spotkali stado owiec

umykające przed brzękiem szabel i ostróg, lub trzodę opasłych wołów, które

odbiegłszy na kilkaset kroków od naszej drogi, przystawały i wytrzeszczały

zdziwione oczy.

— Żeby tak spotkać czikosa ze stadem — westchnął Redödy.

— Poczekaj — mówił Czákvar — zapewniam cię, że zobaczymy jeszcze niejedno stado

rumaków. Nie ręczę, że kasztany, ale gwarantuję że konie. Czikosy trzymają się

więcej na południu równiny, ulubili puszcę Keczmecką, bo w jej pusztach woda

jest lepsza i trawa żyźniejsza...

Tak gwarząc postępowaliśmy dalej i dalej stępo, nie robiąc więcej jak pięć mil

dziennie, a nocowaliśmy pod gołym niebem na posłaniu z traw i ziół.

Trzeba było

mieć się na bacności, bo w nocy zbliżały się czasem stada koni, a wtedy rwały

się do nich nasze wierzchowce i rżały, a nie czując jeźdźców na sobie, próbowały

wyrwać kołek z ziemi i popędzić za stadem.

Szóstego dnia tego marszu stanęliśmy na noc

w okolicy, która według naszej mapy była częścią puszczy Keczmeckiej, leżącej

opodal Sólta.

Słońce zaszło już. Niebo pokrywało się gwiazdami. Trawy wydawały cudne wonie,

rosa orzeźwiana powietrze i niejako wzmacniała ludzkie ciało. Żołnierze

rozniecili ogniska z suchej trawy i z olch ściętych u brzegu niedalekiego bagna.

Dokoła jednego ogniska rozsiedli się oficerowie całego pułku.

Brzęknęły

szklanki, zaczęły pękać jedna po drugiej butelki węgryzna i wkrótce nocna ciszę

przerywały madziarskie pieśni, śpiewane u wszystkich koczowisk, rozbrzmiewające

w dal po stepie.

Już gwiazdy całą siłą błyszcząły, już gasnęły ogniska w obozie, gdyśmy

zaprzestali rozmowy i pomyśleli o spoczynku.

Wtem ruch zapanował w obozowisku. Rżeniem odezwało się kilkanaście koni. W

sekundę później rżały i niepokoiły się już wszystkie nasze konie, przebierając

nogami, wspinając się do góry, a podnosząc głowy i ogony, gotowe do biegu.

Wtedy doleciał nas tentent jakby całego pułku konnicy pędzącego do ataku.

— To stado koni węgierskich — zawołał Redödy z iskrą w oczach — rozhukało się i

biegnie ku naszym ogniskom. Daleko ono jest jeszcze, chociaż się blizkiem

wydaje.

Tak oczywiście było. Tentent wzrastał coraz bardziej, zdawało się, że ziemia

dudni pod nami, żoł-

nierze biegali jak szaleni, w obawie by dzikie, wolne i rozpędzone konie nie wpadły w obozowisko, by nie było wypadku. Tej chwili nigdy nie zapomnę. Wszystkie konie pułkowe, chociaż zmęczone sześciodniowym marszem, podniosły głowy, wytrzeszczyły szlachetne oczy, zadarły ogony, rozwarły chrapy i czekały. Nagle powstał huk, którego charakter opisać trudno. Stado wpadło w obóz. Tentent ucichł w jednej sekundzie, a zastąpiło go szalone na różne nuty rżenie, okrzyki i nawoływania ludzkie, W tym okrzyku ogólnym rozbrzmiewały obce i charakterystyczne głosy. — Ha! — zawołał uradowany Czákvar — to wielkie stado. Słyszycie głosy czikosów? jest ich wielu... nawołuję, konie ze wszystkich stron... to jedno z pierwszych stad... Zewsząd dolatywały nas coraz bliższe nawoływania czikosów. Wreszcie to tu, to owdzie pojawili się oni sami na spienionych rumakach, opaleni bardziej od cyganów, z błyszczącymi oczyma, zmęczeni biegiem szalonym, strwożeni o dobytek. — Bogu chwała! — zawołał jeden z nich, zatrzymany — że konie nasze na wasz obóz trafiły... One już od dwóch godzin pomknęły i myśleliśmy, że się nie zatrzymają aż nad Cissą pod Szegedinem... Widząc nasze zdziwione miny, mówił dalej ten

Madziar, który był pierwszym czikosem stada, liczącego paręset dorosłych koni.

— Ho! moi lśniący panowie. Tak to się nieraz zdarza, a wtedy biada czikosom!
Drogo ich takie rozbrykanie rumaków kosztuje. Niejeden w szalonym pędzie padnie złoty kasztan, niejeden czikos kark skręci na puszczy.
— Toś ty może! — zawołał Redödy, przyskakując do jeźdźca — czikos stada Cseut Horki, znanego ze złotej maści swych koni?
— Tak jest.
— Ha! Niechże sobie przypomnę jak się nazywasz...
— Gölömy...
— Gölömy!!! — powtórzył uradowany Gyula i chciał jeszcze coś mówić z czikosem, ale ten pomknął dalej, gwizdnawszy przeraźliwie, bo wśród nocy swym sokolim okiem dostrzegł, że jego czikosy źle się biorą do zwoływania rozbrykanego stada i gromadzenia go w jednym punkcie. Dosiedliśmy wszyscy wierzchowców i całą noc spędzili na pomaganiu czikosom. Ciekawem to było nad wyraz i przedstawiało niemało zachodu i trudu. Zależało bowiem na schwytaniu starego ogiera, który był jedynym, prawdziwym panem tych precudnych stworzeń. Nad ranem w podskokach przyszedł sam do sędziwego czikosa Abdul Sérei, wspaniały kasztan, najstarszy w stadzie.

Była to chwila niemal uroczysta.

— Abdul Sérei jest! — krzyknął czikos.

— Abdul Sérei! — powtórzyło kilkadziesiąt głosów i rozniosło.

Czikosy świstali, dzikie wydając okrzyki, radowali się niezmiernie, bo gdyby

Abdul Sérei nie dał się schwycić, toby żadnym sposobem nie oddzielili swego

stada od naszych koni pułkowych.

Wtedy Gölömy dosiadł starego ogiera i popędził na nim o paręset kroków w step.

Odtąd Abdul Sérei rżał co kilka minut, a za każdym odezwaniem się jego, to

wybiegały z obozowiska rumaki, to gdzieś z dala z nocnego spoczynku nadbiegały

matki ze źrebakami, zmęczone gonitwą wczorajszą.

Wszystko śpieszyło na apel Abdul Sérei'a, który rżał tak długo, dopóki całego

swojego stada swym mądrym, byстрыm i szlachetnym wzrokiem

niezliczył i dopóki go

ono całe nie otoczyło.

II.

Jeszcze słońce nie zaszło, gdy Redödy, łyknąwszy szklanke węgryna, zawołał:

— Piękne są te konie, ale niema między nimi piękniejszego od mojego Mahometa.

Nikt z nas się nie odezwał, bo słowa Gyuli mogły być prawdą. Jego Mahomet był

cudownem stworzeniem.

— Nie przeczę, że piękny jest twój Mahomet, ale podejmuję się piękniejszego

konia wynaleźć w stadzie Gölömeo — przemówił Czákvar.

Redödy zmarszczył brwi i odrazu zakipiał.

— Czy mówisz seryo? — zapytał.

— Najbardziej seryo! — odparł, także się ożywiając Bela i podnosząc z miękkiej

murawy.

Gyula się rozłościł.

— A więc znajdź! — zawołał.

— Cóż mi z tego przyjdzie? — odparł obojętnie Bela.

— Ha! — krzyknął jeszcze bardziej zirytowany przeciwnik — znajdź, przyjdzie ci z tego wiele...

— Mianowicie? — podchwycił Czákvar, urażony wyzywającym tonem przyjaciela.

— Mianowicie! — zawołał Gyula Redödy ze śmiechem — udowodnisz choćby raz w życiu, że ważysz swoje słowa...

— Azali ich nie ważę? — zapytał czerwieniąc się Bela.

— Nie! skoro twierdzisz, że stado to może mieć piękniejszego konia od mojego —

mówił Redödy i kończył sarkastycznym śmiechem — a powtóre, raz wreszcie także

udowodnisz, że się znasz na koniach.

— Wyzywasz mnie?...

— Wyzywam! — podchwycił Gyula, który wierz-

chowca swego zawsze ze sobą jednoczył — wyzywam, abyś udowodnił swoje

twierdzenie! Wyzywam, byś znalazł w tym stadzie piękniejszego od Mahometa

rumaka; piękniejszego, nie według ciebie, bo ty się znasz na koniach jak Anglik

na papryce, ale według uznania oficerów pułku. Wyzywam! abyś raz się oduczył

bezpodstawnego sprzeciwiania się słowom moim, które, co się tycze koni, są nie

mylne.

Chciał jeszcze mówić, ale już i zapalczywemu Beli brakło cierpliwości.

— Panowie! — zawołał, zwracając się do nas wszystkich — słyszeliście co mówi ten

zarozumialec? Trzymam go za słowo! Zgadzam się na wasz sąd.

Piękniejszego od

Mahometa konia znajdę i kupię go — tu zwrócił się do Redödy'ego i kończył — abyś

się przekonał, że nie ja, tylko ty, znasz się na koniach jak Anglik na papryce.

Gyula stał zapieniony i wyzywał już tylko wzrokiem Belę, a oficerowie zawołali:

— A więc zgoda! Masz godzinę czasu Czákvar! Przyprowadź nam tego rumaka, a jeśli uznamy że jest piękniejszym od Mahometa...

— To on — podchwycił formalnie oszołomiony Bela, wskazując na przyjaciela — zna się na koniach, jak Anglik na papryce!

To powiedziawszy, zbliżył się do mnie i mruknął:

— Chodź!

Ruszyliśmy ku stadninie, pozostawiając urado-

wanych oryginalnym zakładem oficerów, a bladego ze złości w swem cygańskim

niepohamowaniu, Gyulę.

Bela kroczył drżąc na całym ciele. Pierwszy raz go widziałem rozdrażnionego.

— Redödy — mówił w drodze — już mnie znudził swoją zarozumiałością.

Najpiękniejszym jest jego koń, najpiękniejsza jego kochanka. Bryzga w oczy swem

szczęściem do koni i kobiet... Gyula jest wprost śmieszny, ale odniesie zasłużoną karę. Jeżeli znajdę piękniejszego rumaka, dla niego będzie to cios...

Patrzajcie go! kończył zapalając się — znam się jak Anglik na papryce... ha! ha!

Zobaczemy.

Odszukał Gölömeo i zagadnął go.

— Królu czikosów. Sprzedasz mi konia, którego sobie w twem stadzie wybiorę?

— Jeśli mi złotem za złoto zapłacisz, to sprzedani!

— A więc słuchaj! — zawołał Bela. — "Wczoraj przy blasku ognisk przemknął mi się

w twem stadzie koń, którego teraz widzieć pragnę.

Gölömy zapytał:

— Jaki znak miał?

— Znak nie dostrzegłem — odparł Bela — ale takim on był... z
prawego boku, bo
mi tylko mignął.

— Słucham! — zawołał czikos, topiąc uważny wzrok w obliczu
Czákvara i ściągając
czarne gęste brwi.

— Był to kasztan, którego sierść przy blasku światła wydała mi się
mieniącą
dwoma barwami:

czerveną i złotą. Grzywą jego wietrzyk, który wczoraj dał w puszczy,
powiewał

jak pióropuszem. Miał oko duże i wypukłe z widocznym białkiem,
miał ogon, który
z uszami w jednej linii nosił, a który zdawał się włosem od grzywy
delikatniejszym.

— Wiem już — mruknął czikos — ale jeszcze bliższych objaśnień
czekał.

— W pędzie, u nóg jego mignęło mi coś białego... musi więc mieć
pęcinę, czy
pończochę białą... krzyż jego tworzył jedną linię, prostszą od ułańskiej
piki, a

kość jego musi być tak okrągłą, jak ramiona pulchnej córy Węgier.
Ten koń miał

wreszcie inną głowę od wszystkich koni, jeśli to możliwym było...
Oczy czikosa zabłyśły.

— Wiem już! — zawołał z radością — mój lśniący, i na źrebcach się
znający panie.

Tak! Możliwym jest to, bo ten koń rzeczywiście ma inną od
wszystkich głowę... bo

ucho ma tak małe, jak żaden w mojem stadzie, a połączenie u niego
szyi z głową

jest delikatniejsze, od szyi najpiękniejszej odaliski z haremu wielkiego
sułtana.

— Tak! to ten! — podchwycił z zapalem Bela. Czikos odwrócił się i zawołał na czikosów:

— Ha! Schwytajcie mi młodego Abugörö, co go rodzi Abel-Seréi i Eli-Katina...

Czikosy się rozbiegli, a Gölömy król czikosów, mówił do Czákvara:

— Jakem syn puszczy, jakem rodowity czikos, biję tobie czołem lśniący panie...

Już ja mam wprawne

oko, alebym ze stada wielkiego jak moje, nie wybrał w nocy najpiękniejszego źrebaka. Abugörö liczy piąty rok życia. Tej jesieni miał już stanąć na stajni w

Cseut-Horce i nie powrócić więcej na puszcę. Klnę ci się, lśniący poruczniku,

że odkąd hoduję dzieci Abdul-Séreiego, jeszcze takiego jak Abugörö nie było! Ale

bo też matka jego...

Urwał, bo czikosy prowadzili Abugörö. Trzech ich uczepiło się u linki,

przewieszanej przez nozdrza parsającego konia, który ich niósł jak piłka siłą

tylko swej Lśniącej złotem, jak aksamit gładkiej, powleczonej tysiędem żył i

żyłek, szyi.

— Cud nie koń! — zawołał Gölömy.

— Cud nie koń! — powtórzył, zapominając się Czákvar. Ale on nie pytał, jaką zań

Gölömy położył cenę, on tylko jak prawdziwy Madziar widział blizki przed sobą

tryumf nad Redödym, a jako huzar czwartego pułku, zapominał o wszystkim,

patrząc na dzielnego rumaka.

Ten był takim, jakim go opisał, oczy zrywał, olśniewał, oszalał...

Targ nie trwał długo i słońce dopiero co wychyliło się z za
płaszczyzny,
wyglądającej jak dywan pokryty szmaragdami i brylantami, gdyśmy
powracali do
obozowiska. Za nami kroczył Abugörö, kroczył? tańczył raczej,
chrapiąc i
podrywając prowadzących go czikosów.
Całe oficerskie grono wyszło naprzeciw nas z pułkownikiem i
uśmiechniętym
Redödym.

Obstąpili konia, którego w tej chwili olśniło wynurzające się z za
horyzontu
słońce. Podniósł on głowę, stanął spokojnie i wlepił wzrok w
olśniewającą
tarczę.
Stał nieruchomy, imponujący, piękny proporcją swych kształtów.
Cisza najgłębsza panowała dokoła niego. Każdy z oficerów
obejmował wzrokiem
konia, a z oczu każdego widać było, iż szukał w nim wady. Każdy go
obchodził ze
wszystkich stron i badał, aby wydać sąd bezstronny.
Czákvar uśmiechał się i Redödy również. Jeden i drugi zdawał się być
pewnym
zwycięstwa, jeden i drugi co chwila spoglądał na zgromadzonych,
którzy zakłęcie
milczeli.
— A więc — zawołał Gyula, nieumiejący czekać, ani się
powstrzymać — mówcież do
stu piorunów, który piękniejszy!
Na te słowa pierwszy odezwał się i zapytał pułkownik:
— Jak się zowie ten koń?
— Abugörö!
— Abugörö jest więc według mnie, najpiękniejszym koniem, jakiego
w życiu
widziałem — odparł poważnie.

— Tak! — zawołali wszyscy, jakby jeden.

— Tak — powtórzyli po chwili i ci jeszcze, którzy się z wyrokiem wahali.

Gyula przygryzł usta aż do krwi; jego śniada

twarz pokryła się purpurą, oczy prawie łzami nabiegły. Chciałem powstrzymać

Bełę, by się zadowolnił niemym tryumfem, ale ten skoro tylko spostrzegł, że

zdanie co do piękności Abugörö jest jednogłośnie, rozśmiał się w przystępie

szalonej radości i nie widząc zgnębionej miny przyjaciela, zawołał:

— A więc to ty, Gyulo Redödy! znasz się na koniach jak Anglik na papryce... ha!

ha! ha! Śmiech jego brzmiał wśród ciszy, bo każdego przerażała mina Gyuli, który

uczynił nad sobą nadludzki wysiłek, aby nieusłuchać podszeptów swej dzikiej

madziarskiej natury.

Oparł się na pałaszu i wycedził przez ściśnięte zęby:

— Tak! ja! ja!

To "ja" wymówił tak dziwnie, a tak zaciekle, iż niejednego z nas zastanowił.

Ruszyliśmy z miejsca, by zakończyć co rychlej tę scenę. Wtedy Galaviczini

przysunął się do mnie i szepnął:

— Skończyła się przyjaźń tych dwóch cyganów. Od dziś będą oni najzaciętszymi

wrogami. Gdyby Abugörö był kobietą, nie koniem, zostawilibyśmy jednego trupa na

Keczmeckiej puszczy...

W chwilę potem trębacz pułkowy dał sygnał.

— Na koń! — i pułk ruszył naprzód.

Redödy zagryzał wargi i podnosił głowę, by nie pokazać burzy, jaka wrzała w jego

namiętnej piersi,

a Czákvar ironicznie się uśmiechał i szukał jego spojrzenia.
A Abugörö przyczepiony na rzemieniu ściskającym mu chrapy, do
wierzchowca sługi
Beli, kroczył z tyłu za pułkiem i oglądał się co chwila za siebie, gdzie
złote
stado przedstawiało coraz niniejszą na zieleni plamkę.
Wszyscy oficerowie stracili humor tego dnia.

IV.

Soubor wówczas był gwarny i ludny. Spokojni mieszkańcy krajów
ogarniętych
powstańczym ruchem, schronili się do miast leżących w Węgrzech i
Styryi, Austryi
i Kroacyi. Soubor liczył się do siedzib najczęściej przez nich
poszukiwanych.
Zastaliśmy w nim, zbiegłych panów z Bośni i Hercegowiny, bogaczy
z Bajaluki,
Serajewa, Meslarzu, Trobini i Bazaru. W mieście panowało życie w
całej pełni,
które wzmocniło tylko wejście "Iśniących huzarów" i równoczesne z
tem ogłoszenie
Souboru w stanie oblężenia.
Nazajutrz bowiem po naszym rozkwaterowaniu się w niem, zostało
ono poddane
wyjątkowym prawom.

Życie towarzyskie jednak na tem nie ucierpiało. Owszem, warunki te
dodawały mu
uroku owocu zakazanego.
Między cudzoziemcami bawiącymi w Souborze, znajdowała się
zamożna rodzina

bośniacka, złożona z państwa Teschanjich i ich córki, uchodzącej za
pierwszorzędną piękność czysto wschodniego typu. Rodzina ta
zbiegła z Serajewa,
gdzie się liczyła do miejscowej arystokracji.
Panna Titäa Teschanji była bezwzględna piękną dla tych, którzy
namiętny typ
kobiety, pospolity w haremach Wschodu, na piedestale urody
niewieściej stawiają.
Jej olbrzymie i powoli obracające się w powiekach czarne oczy, miały
szczególną
ociężałość. Cera śniadego ciała była gorącą, gorącym też koloryt jej
czarnych
włosów i rubinowych warg, za którymi świeciły białe zęby.
Panna Titäa była nadto we wszystkim typem wschodniej kobiety.
Wstawiała około
zachodu słońca, chodziła bardzo mało, jadła sorbety i twierdziła, że
życie
najmilej spływa na tureckim szeslongu przy słuchaniu bajek.
Państwo Teschanji prowadzili w Souborze dom na wielką skalę, a
wszyscy
oficerowie czwartego pułku w nim naturalnie bywali. Sama pani
Teschanji, jako
Węgierka z urodzenia, przyciągała i tych do swego domu, którzyby
nie gustowali w
wschodnim jego charakterze.

Dom tych bośniackich magnatów był typem domu tej jedynej krainy,
w której
cywilizacja z barbarzyństwem po dziś dzień jeszcze ręka w rękę idą.
Nigdzie w
Europie niema tyle silnych kontrastów między barbarzyństwem a
cywilizacją, jak w
Bośni — a dom Teschanjich odzwierciedlał to w pełni.
Dla nas Titäa była niewymownie interesującym zjawiskiem, a dla
zapaleńców,

jakimi byli Redödy i Czákvar, stała się ona wnet przedmiotem
zachwytu.
Gyula i Bela nadskakiwali dniami całymi pannie, a pani Teschanji
patrzyła z
pobłażaniem na dwóch "Iśniących huzarów, " których jako Węgierka,
kochać
musiała. Zapewne nicby nie miała przeciw temu, by jeden z nich
porwał jej córkę
i uwiózł do rodzinnego kraju, za którym zawsze tęskniła.
Tak zarysowały się stosunki w ciągu pierwszego miesiąca naszego
pobytu w
Souborze. Nieraz, zebrani w kasynie, zastanawialiśmy się nad
talentem Titäi,
która potrafiła godzić zapały młodzieńców, patrzących na siebie z
ukosa od owego
wypadku w puszczy Keczmeckiej.
Od owego czasu bowiem nie widzieliśmy już Beli i Gryuli w dawnej
zażyłej
przyjaźni. Abugörö stał wciąż między nimi i przypominał jednemu
tryumf, a
drugiemu upokorzenie.
Galaviczini, ukochany nasz rotmistrz, mawiał:
— Ta Titäa Teschanji musi być sprytną kokietką. Trzymać dwóch
takich jak oni
Madziarów, to nie lada talent, to geniusz!

I odtąd "Genialną Titäą" nazywaliśmy tę pannę. Galaviczini szedł
dalej we
wnioskach. Raz gdyśmy się zgromadzili w kasynie, zagadnął:
— Moi panowie! Wczoraj na wieczorze u Teschanjich obserwowałem
naszych
poruczników. Redödy kipi, a Czákvara to bawi: Nie skończy się to na
niczem;
genialna Titäa nawet niezdola sprawić, by wilk, jakim jest Redödy,
nie
wybuchnął.

— Cóż więc przypuszczasz? — zapytało kilku.
— Przypuszczam, że jeden z nich ustąpić musi, a czy który z nas
wystawia sobie
ustępującego Bełę?
— Nie!
— A Gyulę? — pytał książę.
— Nie! nie!
— A więc — podchwyciłem — jeśli niemożliwym jest, by jeden z
nich ustąpił?...
Galawicziui się zamyślił.
— Niewiem! niewiem co nastąpi — odpowiedział. — Niewiem,
którego z nich woli ta
genialna odaliska. Niewiem, z jakimi się oni noszą zamiarami; ale
wiem tylko,
że ta ich walka smutnie zakończyć się może.
Zaledwie słów tych dokończył, gdy drzwi się otwarły i wszedł
Redödy, a w chwilę
później był i Czákwar między nami.
Obsiedliśmy dokoła olbrzymi stół, bo było ze trzydziestu oficerów,
stojących
wtedy w Souborze. Na stole zaczęły, jak panorama, zmieniać się
butelki, a im
więcej ich zalegało kąty sali, tem było gwarniej i huczniej.
Wznoszono toasty,
trącano się kielichami, wy-

nurzano sobie uczucia, których wino nie pozwalało trzymać na
wodzy.
Wesoło było i ochoczo.
Tylko Gyula i Bela siedzieli naprzeciw siebie i nie brali, jak ongi,
gorącego w
pijatyce udziału. Oni myśleli o czemś innem. Często spojrzenia ich
spotykały się
wzajemnie i robiły mi wtedy wrażenie dwóch cieniutkich,
błyszczących szpad w

rękach fehmistrzów. A ile razy te ich ostre spojrzenia się starły, to obaj chwyтали za szklanki tokaju i gorączkowo je wychylali do dna. Redödy siedział zaczerwieniony od wina, z oczami wlepionymi w przyjaciela. Brwi ściągnął tak, iż tworzyły one jedną nieprzerwaną linię, podzieloną tylko dwoma pionowemi zmarszczkami na czole, a na przeciw niego siedział Czákvar, wytrzymujący jego wzrok, i uśmiechał się z sarkastycznym i wyzywającym wyrazem. Byliby tak może przesiedzieli noc całą, bo do te -go zdolni byli ci cyganie, równie zaciekli w milczeniu, jak w szermierce, gdyby najniefortunniej nie wyrwał się hrabia Kavdassy, rotmistrz piątego szwadronu. — Panowie! — zawołał — wznosimy toasty i brakuje nam ich już, a oto patrzcie, jak ponuro siedzą Redödy i Czákvar, bo każdy z nich ma ochotę wznieść zdrowie Abugöra... — Niech żyje Abugörö! — zachuczało wśród szalonego śmiechu. Gyula zbladł, ale byłby się jeszcze powstrzymał,

gdyby nie Bela, który szczęśliwy ze sposobności, podniósł szklankę do góry i zawołał do przyjaciela: — Czemuż ty Gyulo nie pijesz zdrowia najpiękniejszego w Węgrzech konia? Czyżbyś był zazdrosny, że do ciebie nie należy? Gotówem ci go odstąpić, byle raz spędzić chmurę z twego czoła... Przysłowie węgierskie mówi, że koń z kobietą nie chodzi w parze. Ja proszę cię, weź odemnie Abugöra, bo się boję, iżby mi nieszczęścia

nie przyniósł przy najpiękniejszej córce Wschodu, jaką jest panna Titäa!

Tu, nie widząc może bladością pokrywającego się oblicza przyjaciela, zwrócił się

do biesiadników i zawołał:

— Zdrowie panny Teschanji!

Gdy na chwilę ucichło, odezwał się Gyula:

— Bawisz mnie Czákvarze. Bawisz mnie nad wyraz! Nabytek

Abugöra i twój wypadkowy

tryumf, napęlił cię zarozumiałością jak pawia. Tobie się zdaje, iż ta najpiękniejsza córka Wschodu jest tobą zajęta. Chciałbyś nam dać to do zrozumienia... Ha! ha!

Tu się zapalił i zawołał, zrywając się z krzesła:

— A więc zgoda! Trzymam cię za słowo i odkupuję od ciebie

Abugöra, ale tylko na

to, aby ci pokazać, że tym razem węgierskie przysłowie na tobie się nie

sprawdzi. Zgoda! Ha! ha! Nie będziesz miał najpiękniejszego w

Węgrzech konia,

ale przez to i nie będziesz szczęśliwy przy najpiękniejszej...

Tu zerwał się i Bela i przepelnionym ironią wyrazem przerwał mu wyzywająco:

— A więc inaczej mówiąc, ty szczęśliwy wybrańcze fortuny, będziesz miał

najpiękniejszego konia i miłość naj...

— Choćby tak było?... Choćbym to miał na myśli? — zawołał Gyula

seryo i

wściekłym głosem.

— Ha! ha! — zaśmiał się Czákvar, zwracając się do biesiadników. —

A więc znów

drugi raz, moi panowie, wzywam was na świadków faktu, który

udowodnię, iż Redödy

tak się zna na kobietach, jak na koniach. Na jednych jak na drugich,

jak Anglik

na papryce! Śmiech zatrzęsł sala, a Bela jeszcze mówił:

— Zatrzymuję konia i z nim nawet szczęśliwy będę.
Redödy spoważniał.
— Dobrze, że nie szczęśliwszy odemnie — odparł ze śmiechem,
rzucając iskry
czarnemi oczami — ale biada ci, jeżeli tym razem nie wygrasz!
— Biada! ha! ha! ha! — zawołał Bela i do końca uczty ponuro coś
mruczał. A gdy
nad ranem wstał od stołu, jeszcze się trząśł cały jak w febrze.
Zbliżyłem się do niego, a on spoglądając z nieopisaną zawiścią i
pogardą na
Czákwara, szepnął:
— Temu osłowi, Abugörö pomieszał zmysły. Jemu się zdaje, że
Teschanji się w nim
kocha! Afrykański bałwan!...

V.

Ponieważ z powodu stanu oblężenia Souboru, niewolno było po
godzinie dziewiątej
z wieczora pokazywać się na ulicach, więc też i żadne nocne zabawy
odbywać się
nie mogły.
Zdawałoby się, iż okoliczność ta powinna była wpłynąć ujemnie na
rozmaitość
rozrywek i zabaw, było jednak inaczej.
Genialna Titäa, wychowana na fantastycznych romansach Belota,
Montepina, Jokaya
i innych, miewała niekiedy świetne i ekscentryczne pomysły.
Jednego razu otrzymaliśmy zaproszenie tak brzmiące:

"Państwo Teschanji
mają honor zaprosić W-go Pana na bal maskowy, który się odbędzie
w ich
mieszkaniu dnia II-go czerwca o godzinie ej po południu. "

Maskarada w takiej godzinie zaintrygowała wszystkich.

Czákvar wpadł do mnie na kilka dni przed balem, pełen złośliwej radości.

— Otóż — mówił — będę miał śliczną sposobność dokuczenia Redödy'emu. Przebiore się tak, iż mnie nikt nie pozna... Nie odstąpię ani na krok panny Titäi,

a maska mi pozwoli mówić jej i jemu rzeczy, któreby w innym razie nie uszły.

— Byłem pewny, że wasz spór z powodu Abugöra już dawno skończony.

— Ha! — zawołał Bela — nie skończy on się tak prędko... Wszakże byłeś obecny wtedy na uczcie pułkowej i słyszałeś, jak mi Gyula groził słowami: "biadał biada ci! jeśli nie stwierdzisz twojego powiedzenia." Ja nie jestem z tych, którzyby się zlekli jego śniadego oblicza i marsowatej miny. Mnie grozić niewolno!..

— Chcesz mu więc odbić Titäę?

— Odbić!?! — zawołał wpadając w rozdrażnienie Bela — odbija się tylko temu, kto coś posiadał, czy dzierży. Miłość Titäi może jest dla mnie, a nie dla niego, to jeszcze nie wiadomo.

— Zastanów się — zawołałem — iż podobna między wami sprzeczka może skrompromitować pannę...

— Jakto? — oburzył się Czákvar — niewolno mi odsuwać rywala!..

— Jeśli Redödy ma poważne zamiary?..

— Alboż ja ich również mieć nie mogę?

— Jeśli Redödy ma już słowo panny Teschanji! bo coś mi na to patrzy... Wydaje się bardzo pewnym siebie.

Bela zbladł.

— Nie ma go — odparł po chwili — bo Titäa ani za niego, ani za mnie wyjść nie

myśli. Ona się uczuciem jego bawi tylko.

— I twojem? Prawdopodobnie. A więc?

— A więc — zawołał ze złością Czákvar. — Niechże wie Gyula, że w tej zabawie

nie ma żadnej nademną wyższości. Jeśli on dostanie walca i ja go uzyskam, jeśli

jego Titäa obdarzy zalotnem spojrzeniem, to i mnie takimże samem uraczy. Jeśli

wreszcie jemu powie, że go kocha, jego jednego, to i mnie powie to samo.

— W takim razie widzę, iż między wami przyjdzie kiedyś do rozlewu krwi. Wszakże

jeden drugiemu na tej drodze ustąpić winien...

— On ustąpi!

— Jak to być może?

— Jakże mógł ustąpić wtedy Abugörö? — odparł pytaniem.

— Kobieta nie jest koniem! — zawołałem. — Nie uwzględniasz, że Titäa może być

zajętą Redödym, a on, szalony, gorący Madziar, może być w niej całą siłą uczucia

zakochany?...

— Cóż to mnie obchodzi? Mnie wyzwiał Gyula bym mu udowodnił...

Wyzwał mnie

publicznie w obec całego grona oficerów. Jeślibym mu ustąpił, miałby prawo

rzucić mi w twarz obelgę i nazwać mnie zarozumialcem. Do tego niedopuszczę! Nikt

z nas wiedzieć nie może, kogo z nas dwóch będzie przekładać ta kobieta.

— Ależ Redödy może się słusznie uważać za wyróżnionego?

— Dobrze! zgoda! tak długo, jak mi tego nie powie, czy nie pokaże...

Biada mu,

jeśli się kocha w pięknej Bośniaczce, a miłością przedemną, się
pochwali.

Urwał, bo drzwi się otworzyły i wszedł do mojej kwatery Kardassy.

— Koledzy! — zawołał. — Jestem upoważniony przez pułkownika,
aby wam oświadczyć

iż życzeniem jego jest, by na maskaradę u Techanji oficerowie się nie
przebierali.

Bela zaśmiał się.

— Dlaczego?

— Pułkownik uważa — odparł rotmistrz — że sprzeciwia się to
regulaminowi...

Nastąpiła cisza. Zasepiony Bela chwilę pomyślał, poczem zawołał:

— To mi wszystko jedno! Chciałem Gyuli wypłatać figla, ale znajdę i
w mundurze

na niego sposób...

— Więc między wami — podchwycił Kardassy — panuje wciąż
walka na życie, czy
śmierć?

— Wciąż! — odparł Czákvar — nie mam zwyczaju ustępować.

— Niedość ci tryumfu z Abugörö?

— Nie! Wszakże słyszeliście, że wynalazł węgierskie przysłowie, że
szczęście do

kobiet ze szczęściem do koni w parze nie idzie.

— Głupstwo!

— Przepraszam! — zapienił się Bela — on mnie wciąż swem
cygańskim wyzywa

spojrzeniem, wciąż pokazuje mi swą pogardliwą i tryumfującą minę.

Ja mu ją zetrę

z twarzy.

— Czákvar!

— Ja nie ustąpię!

To powiedziawszy wybiegł. Kardassy wtedy zwrócił się do mnie i
poważnie

zagadnął:

— Między tymi dwoma zapaleńcami przyjdzie kiedyś do straszego starcia, jeśli jaki szczęśliwy wypadek nie wstrzyma w biegu ich uczuć. Jesteś ich przyjacielem. Byliście nierozłączni dotąd... Nie widzę nikogo oprócz ciebie, któryby mógł zbawienniej wpłynąć... — Na kogo? — zapytałem. — Na Gyulę, bo on tu jest wulkanem... Twoim obowiązkiem jest zaprowadzić między nimi zgodę — ciągnął Kardassy. — Z ogniem się nie żartuje... Gdy między nimi jeszcze się ten pożar roznieci, przyjść musi do starcia, z którego w najlepszym razie jeden żyw nie wyjdzie. Nie powinniśmy dopuścić do tej ostateczności, choćby dlatego, że w czwartym pułku nie zdarzył się jeszcze wypadek pojedynku między oficerami. Zerwałem się i pobiegłem do Gyuli.

VI.

Redödy ani chciał mówić ze mną o Beli. Na pierwsze moje słowa o przywróceniu między nimi dawnej przyjaźni, zapienił się. — Niech pokaże! niech udowodni! — wołał! — bo ja mu udowodnię... — Cóż mu udowodnisz, Gyulo? — Udowodnię mu — cedził przez zęby wściekły Redödy — że jest zarozumialcem! że mu się udało wypadkiem znaleźć Abugöra, ale że mu się nie uda drugi raz zmusić mnie do cofnięcia swego twierdzenia... — Cóżes więc twierdzi!?! — tłumaczyłem.

— Twierdziłem — zaśmiał się sam Gyula — twierdziłem, że
właściciel tego konia
nie będzie miał szczęścia przy panie Teschanji. On już dziś swoją
klęskę widzi,
on już...

Urwał i zawołał z namiętnością, cechującą jego charakter.

— Za nic na świecie nie oddałbym tej blizkiej chwili, w której mu
będę mógł

głośno powiedzieć: "Na uczuciach kobiet znasz się jak Anglik na
papryce!"

— Ależ tego mu nigdy nie będziesz mógł powiedzieć...

— Dlaczego?

— Bo dowody musiałyby kompromitować pannę Teschanji, jeśli one
będą polegały na
oddaniu ci swojej ręki.

— Nie! — podchwycił Gyula — Czákvar jest dżentelmanem i jeśli
wypadnie, nie
zawaham się dać mu dowodów, jemu jednemu, pewny że one z nim
do grobu pójdą, a
tryumf mój, gdy spocznę wzrokiem na jego upokorzonym
zarozumiałem obliczu,
wystarczy mi.

Gyula kipiał na samo wspomnienie sporu.

Bąłem się tej maskarady, na która zdawali się obaj przyjaciele
niecierpliwie
czekać.

Dzień owej oryginalnej fety w domu Teschanji nadszedł. Z
uderzeniem godziny

trzeciej zaczęło się roić na ulicy, gdzie stał imponujący pałac jakiegoś
magnata

węgierskiego, zajmowany przez możną bośniacką rodzinę.

Jakiegoż nieokreślonego, ale miłego doznaliśmy z Kardassym
wrażenia, wchodząc

prosto z ulicy, na której świecił w pełni słoneczny i jaskawy dzień, do
wnętrza

pałacu, gdzie zupełna panowała noc.
Baliśmy się efektów maskarady przy dziennym oświetleniu. Nie
wyobrażaliśmy sobie
jej powodzenia i ożywienia.
Genialna Titäa, bo ona to urządzała u swych rodziców fety i zabawy,
przewidziała
trudność, jakąby miały maski do zwalczania przy świetle słonecznym.
Otóż zastaliśmy cały apartament szczelnie przed słońcem zamknięty
okiennicami i
portyerami, a lśniący od żyrandoli lamp. Dla lepszego złudzenia,
zegary
wskazywały jedenastą.
Okolo czwartej panował już w obszernym apar-

tamencie ruch i ożywienie, właściwe tylko późnym godzinom balów i
zabaw.

Sale roily się od kostyumów, na tle których świetnie odbijało naszych
trzydzieści kilka, kapiących od złota mundurów. Wszyscy prócz
oficerów czwartego

pułku, pana i pani Teschanji, byli zamaskowani.

Z Kardassym szukałem oczyma Titäi, ale znaleźć jej nie mogliśmy,
wśród więcej

niż stu zamaskowanych i ukostyumowanych kobiet.

— Niema jej — mruknął mi na ucho rotmistrz.

— Z czego to wnioskujesz?

— Patrz jak Redödy i Czákvar od jednej do drugiej maski biegają, a
razem przy
żadnej się nie zatrzymują.

Wciąż przybywały jeszcze maski i kostyумы, jedne od drugich
gustowniejsze, to

zadziwiająco oryginalnością, to bawiące śmiesznością, ale pięknej
Titäi nie

można było w żadnej masce odgadnąć.

— Niema jej — stanowczo odezwał się zapytany Gyula — niema jej z
pewnością.

Jabym ją poznał natychmiast w każdym przebraniu.

— A to jak? — zapytał księżę, wskazując na kilka pełnych efektu strojów.

— Dlatego — odparł Bela — bo oczy Titäi są tylko jedne w Souborze...

— Nie uwierzysz, jak maska zmienia nawet oczy? Raz na maskaradzie w Peszcie, Evdödy nadskakiwał długo własnej żonie...

— Nie dziwię się — podchwycił Gyula — znam

hrabinę Ewdödy. Nie nadskakiwałby jej, gdyby miała oczy Titäi... Odszedł, bo w tej chwili zrobił się ruch, zwiastujący jakieś nowe intrygujące zjawisko.

Zaczęły się tańce. W tem wśród tłoku i zgiełku dał się słyszeć okrzyk: — Miejsca! miejsca!

W podwojach od głównej sali, pojawiła się oryginalna grupa.

Czterech

niewolników, przybranych w purpurę, niosło złocistą lektykę. W niej na

poduszkach z pozszywanych jedwabnych materyi, spoczywała ubrana sułtanka z

zakrytą twarzą i osłoniętą gazowym woalem.

Zapewne nikt nie łamał sobie głowy, kim była ta maska. Przez woal błyszczały

oczy Titäi. Miał słusność Gyula. Choć podwójnie była zamaskowaną, bo strojem

okrywającym te żywe brylanty, które nadto były zawoalowane, poznana została

natychmiast. Blask jej czarnego, powłóczystego, aksamitnego i błyszczącego

spojrzenia, przedzierał zasłonę.

Zaroilo się około lektyki, którą niewolnicy złożyli na środku sali.

Titäa leżąc

na poduszkach pozwalała się bawić rojowi wielbicieli.

Odtąd nie opuszczali jej Gyula i Bela, stojąc i towarzysząc jej po jednej i

drugiej stronie lektyki; a ja nie mogłem znaleźć chwili, by pomówić z
panną
Teschanji.
Czekałem aż zejdzie z wezgłowa i odrzuci zasłonę.
Nastąpiło to niebawem. Titäa nie lubiła tańca,

jak prawdziwa apatyczna córa haremów, ale mimo to, musiała rzucać
się w objęcia
to Beli, to Gyuli. Jeden ani na chwilę nie chciał ustąpić drugiemu,
wrywali ją
sobie z objęć wzajemnie. To obsaczenie Titäi przez dwóch zapalonych
i
piorunujących się wzrokiem huzarów, ściągało wszystkich uwagę.
Titäa, skoro
zrobiła kilka tourów z Gyulą, musiała natychmiast zrobić tyleż z Belą.
Bawiła ją
widocznie ta zazdrość, obudzona między dwoma rywalami, a
najwprawniejsze oko nie
byłoby w stanie wysledzić, któremu z nich była przychylniejszą.
Staliśmy z Galaviczinim i obserwowali co się dzieje.
— Genialna Titäa jest genialną! — zawołał wreszcie rotmistrz,
opuszczając
stanowisko — moglibyśmy czekać do rana i nie dociec, który z nich ją
więcej
bawi, czy też zajmuje. To wyrafinowana kokietka! — dodał i
przeszedł do sali,
gdzie poważniejsi oficerowie zabawiali się przy kieliszkach perlistego
szampana.
Ja również chciałem pójść za nim, lecz zatrzymała mnie Titäa,
wrywając się w
tańcu z ramion Beli, a niechcąc wpaść w objęcia czekającego już
Gyuli.
— Ratusz mnie pan! — zawołała — już więcej tańczyć nie mogę,
padam ze zmęczenia.
Rzuciła się na krzesło i zwracając się jednoeześnie do obu rywali,
mówiła

zadyszana:

— Już jestem z wami skwitowana, panowie. Zrobiłam tyleż tourów z panem co i z panem... Wię-

cej tańczyć nie będę... — Tu skierowała swój wzrok na mnie i ciągnęła: — Ci

panowie chyba się założyli, że jeden prześcignie drugiego w zamęczeniu mnie...

Ja tańca nie lubię... Weź mnie pan w swoją opiekę. Nie opuszczę tego miejsca i

rozmawiać będę z panem, a więc ani z tobą Gyulo Redödy, ani z tobą Belo

Czákvar...

Tu odwróciła się od nich, a tłum tańczących uniósł ich obu na chwilę.

Zresztą i

oni potrzebowali wypoczynku, a mogli tylko razem opuścić Titäę.

Skorzystali więc

ze sposobności.

— Co z tego wyniknie? — zagadnąłem.

— Z czego? — podchwyciła, udając że nie rozumie zapytania.

— Z tego zakładu, jak się pani wyraziłaś.

— Cóż ma wyniknąć? — rzekła — powstańcy w Bośni się uspokoją, panowie

powrócicie do Pesztu, a ja do Serajewa.

— Ja zaś sądziłem — odparłem poważnie — że jeden z nich nie sam powróci do

Pesztu, ale...

— To byłoby niemożliwe... Jeden drugiemu nie ustąpi.

— Ależ to trwać może tylko dopóki pani którego z nich nie wyróżni. Titäa zamyśliła się.

— Ja tak daleko nie idę — rzekła poważnie — dopiero co wyszłam z pod surowej

opieki rodzicielskiej i nie mam wcale ochoty znaleźć się znów pod opieką męża.

— Jeśli pani nie masz zamiaru wybrania którego z nich, to się bawisz w

niebezpieczną grę z takimi zapaleńcami.

— Cóż mam uczynić?

— Trzeba okazać jednemu pierwszeństwo, a wtedy drugi ustąpi...

— Ależ kiedy mnie oni obaj bawią — odparła spoglądając na mnie zdziwionym

wzrokiem rozpieszczonego dziecka, nierozumiejącego, by się je miało dla

jakichkolwiek przyczyn pozbawiać rozrywki.

— Więc ich tak pani wciąż trzymać będziesz w zawieszaniu?

— Przecież jeden musi pokonać drugiego. Tak się zawsze dzieje...

— Więc będziesz pani przyczyną rozlewu krwi?

— Co pan mówisz? przecież w końcu któryś z nich ustąpi...

— Nie!

— To się któremuś wreszcie ta rywalizacja sprzykrzy...

— Wątpię.

Roześmiała się i pobiegła do drugiego salonu, gdzie już czyhali na nią Gyula i

Bela.

Maskarada skończyła się o dziewiątej wieczorem.

Zaczęto się tłoczyć do wyjść.

W pałacowej sieni szukając płaszcza, spotkałem się z kilkoma kolegami, a między nimi z Redödym i Czákwarem.

Dziwnym zbiegiem, okrycia ich razem się znalazły.

— A co? — zapytał ironicznie trochę podchmielony Bela, spoglądając w oczy Gyuli.

— Czy może sądzisz, żeś mnie dziś zdystansował?

Redödy zaciął usta.

— U mety się rozstrzygnie — odrzekł głosem, w którym grały wzburzone i zacięte namiętności.

— U mety! proszę -rzekł ironicznie Czákvar.

— Ja mu za kilka dni odpowiem! — mruknął przez zęby Redödy i opuścił nasze towarzystwo.

VII.

Sprawa między Gyulą a Belą przybierała coraz zaciętszy charakter. W pułku zajmowaliśmy się nią więcej, aniżeli ruchami powstańców na granicy

Bośni, aniżeli stanem oblężenia miasta i pogotowiem do wymarszu.

Tam walczono,

przelewano krew, a myśmy się bawili w Souborze i śledzili wyraz czarnych,

powłóczystych oczu Titäi i spojrzenia ubiegających się o jej względy rywali.

Po maskaradzie u Teschanjich zawrzało w mieście od zabaw.

Następowały po sobie

karuzele i wy-

ścigi, ansamble i fety w ogrodach, a wszystkiego duszą byli Bela i Gyula.

Wyprzedzali się w wymyślania i urządzania rozrywek dla pani swych myśli.

Tak rzeczy stały, gdy nas, życzliwszych przyjaciół dwóch zapaleńców, zatrwożył

swojami uwagami Galaviczini, najpoważniejszy i najbardziej uczuciowy człowiek w pułku.

— Moi panowie — odezwał się on — nie mogę wam taić, iż się bardzo obawiam o

dalsze losy moich poruczników... Panna Teschanji bawi się nimi, a oni są

zakochani... Redödy szczególnie...

— Redödy? — zapytałem.

— Redödy szaleje za Bośniaczką z Serajewa — odparł stanowczo książe...

— A Czákvar?

— Niewiem! Ale sędzę że w roli, jaką odgrywa, niepodobieństwem jest, by go także
lżej, czy ostrzej nie ugodziła strzała Kupidyna. Ci zapaleńcy za łby się chwycą
lada chwila. Wczoraj na zabawie u generała, sędziłem że przyjdzie do skandalu...

Trzeba wam było widzieć iskry, jakimi sypały cygańskie oczy Gyuli. A Titäa się
cieszyła...

Mówił to książe, powracając z nami z rewii pułkowej, w której brali też udział
Redödy i Czákvar.

Podczas, gdyśmy oficerowie razem powracali z błonia do miasta, zostawiając za
sobą szwadrony pod opieką wachmistrzów, oni pozostali przy swych oddziałach.

Już byliśmy w murach miasta i mieli niebawem

rozjechać się do kwater, gdy w galopie dopędził mnie Gyula i zagadnął:

— Mam do ciebie interes... Odprowadzę cię...

— Jestem na twoje rozkazy.

Ruszyliśmy we dwóch, a droga najkrótsza wypadła nam przez ulicę okalającą

miasto. Skręciłem, gdy Gyula się odezwał:

— Jedźmy tędy.

— Którędy?

— Tędy! — odparł i wskazał mi kierunek, w jakim jadąc, musieliśmy przejeżdżać

około pałacu, zajmowanego przez Teschanjich.

Jechaliśmy stępą, Gyula ślicznie wyglądał na swym Mahomecie.

Myślałem, że

niepodobieństwem było, by nie wywarł swą energiczną postawą i rycerskim zakrojem, silnego wrażenia na kreolskiej naturze Titäi. On był chyba piękniejszym od Beli i mógł się więcej podobać kobiecie. Nagle Redödy odezwał się:
— Proszę cię, byś się zapytał Czákvara, czy mnie przestanie drażnić i czy uzna za stosowne, nie stawać mi na drodze. Może się przekonał, że Titäa?.. Urwał i zamilkł, a po chwili dodał:
— To wspólne nasze ubieganie się o rękę panny Teschanji jest śmiesznem i dalej przedłużać się nie może.
— Więc masz zamiar starać się o jej rękę? bo w takim tylko razie mogę zażądać od Beli, by ci usta-

pił, jeśli tych samych zamiarów nie żywi — zawołałem
— Nie potrzebuję się ze swych zamiarów spowiadać, a tem więcej przed nim! —
zawołał wpadając w rozdrażnienie Gyula. — Sądzę, że jeśli nie jest w ciemię bity, i jeżeli jest dżentelmanem, to powinien pamiętać co zaawansował i wiedzieć, że go już... zdystansowałem.
— Czy tak? — zapytałem — bo jeśli tak jest rzeczywiście, jeśli Czákvar to czuje, jestem przekonany, iż się w tym wypadku zachowa, jakieś ty się zachował wtedy gdyśmy przyznali, że Abugörö jest od Mahometa piękniejszy.
— Ha! ha! — zaśmiał się Gyula. — Alboż ja wiem co ten zarozumialec czuje... Ot teraz, powiedz mu to wreszcie, jadę ta ulicą., jadę dlatego, bo na mnie na tarasie pałacu czeka Titäa.., Czeka na mnie, a nie na niego... a więc już

zdystansowałem. Niechże przestanie być dzieciakiem i niech nie żąda odemnie dowodów, że Titäa się nim bawi.
Przerwał, gdyż zbliżaliśmy się już do pałacu Teschanjich. Gyula nie umiał ukryć wrażenia.
Zrównaliśmy się z pałacem, który od ulicy miał ogromny taras. Na tym tarasie Titäa czekała.
Wśród egzotycznych roślin, olbrzymich palm i smokowców, rysowała się jej czarująca postać, spoczywająca na fotelu, otoczona paryskimi dywanami i tureckimi poduszkami.
Czekała więc na Gyulę i gdy go ujrzała, podnio-

sła się powoli i ocieężale z krzesła i zbliżyła do balustrady. Twarz zakryła wachlarzem ze strusich piór, przy których oczy jej jeszcze na czerności piekielnej zyskały. Odpowiedziała na dyskretny ukłon Gyuli długim, powłóczysem, spokojnym spojrzeniem, jej tylko właściwym i zaledwie dostrzegalnem skinieniem głowy.
Rozumiałem namiętność Redödy'ego. Kto gustował w kredkach, musiał szaleć za tą kobietą.
Minęliśmy pałac i oddalili się od niego kilkanaście kroków, gdy przed nami z bocznej ulicy wypadł w wyciągniętym kłusie huzar, spieszący naprzeciw nas.
Był to Czákvar.
Poznał zdala Gyulę; uśmiechnął się złośliwie i w chwili gdy nas mijał, zawołał salutując:

— Nie o wiele wyprzedziłeś mnie, Gyulo! Redödy zachwiał się na koniu. Zbladł i nagle w jednej chwili znów poczerwieniał jak szkarłat. Myślałem więc, że genialna Titäa dała rendez-vous jednemu i drugiemu, a nieszczęśliwy Gyula zaciskał usta i starał się sobie może wytłomaczyć, że tam gdzie on się znalazł wezwany, Bela mógł znaleźć się wypadkiem. Nie myliłem się w swych przypuszczeniach, bo Redödy zachryplym ze złości głosem zawołał, pobudzając konia do pośpiechu.

— Musi być raz koniec! Popełnię może podłość, która jednak potrafię wynagrodzić.

Popełnię może

krok nie rycerski, ale muszę zakończyć, muszę go zbłaźnić w jego własnych oczach. Widzisz? on ranie szpieguje! On postępuje nie jak oficer, lecz jak...

Słuchaj przyjacielu!... Pomóż mi! Rozmów się z nim coprędzej! Powiedz mu, co zechcesz! Ale dziś musi być koniec. Czákvar musi ustąpić i zejść mi z drogi.

Gdybym nie służył w lśniącym pułku, już dawnobym mu nastąpił na nogę i albo pozbył się go, lub sam zginął... ale nie chcę wprowadzać zwyczaju istniejącego w innych pułkach, skoro moi koledzy są dumni z tego że między nimi pojedynków nie bywa. Albo Bela ci powie, że się cofa... albo mnie zmusi do pozbycia się go...

— Jakto? Więc byś siłą pragnął?..

— Nie! — zawołał Gyula — zmusi mnie do kroku, który skutek pożądany odniesie,

ale którego mu nigdy nie wybaczę... Zmusi mnie do odniesienia nad
nim tryumfu,
kosztem rumieńca. Titäa za mąż wyjść nie chce, a tylko oznajmieniem
wam, że
jestem przez nią przyjęty, mógłbym go odsunąć... A więc będę
musiał...

Urwał i zapytał:

— Do wieczora! Dasz mi jego odpowiedź? dziś? w kasynie?... Jeśli
odmówi... biada

mu!.. Żal mi go, jeśli jest zajęty panną Teschanji...

To powiedziawszy, pożegnał mnie i popędził na swym Mahomecie.
Co miał na myśli ten cygan?

VIII.

Na wszystkie moje perswazye, proźby i nalegania, Czákvar był
głuchy.

— Niech mi udowodni, że jest szczęśliwszym odemnie. Wszak mi to
przyobiecał?

Wszakże ja miałem mu stwierdzić jego węgierskie przysłowie
o kobiecie i koniu? Niech udowodni, powiedz mu, a dowód do grobu
zaniosę i

ustąpię mu pola... Ale niech udowodni! Mówisz że cierpi — to bardzo
dobrze!

Niech to cierpienie będzie mu nauką, że huzar powinien ważyć każde
swoje

słowo... On żąda, bym ja ustąpił?... Jakiem prawem? Chce się żenić z
Titäą?

I ja może się z tą myślą noszę...

W tym sensie mówiąc, zmuszał mnie do milczenia.

Wieczorem udałem się do kasyna, gdzie miałem spotkać obu rywali.
Obaj oni ostatecznie robili tak rozgorączkowane i przykre nadmiarem
obustronnej

zaciętości wrażenie, iż się obawiałem wybuchu, który już lada chwila
mógł

nastąpić.

Redödy tracił panowanie nad sobą, skoro już był gotów nawet do niedzenteleńskiego kroku, jak mówił, a Bela w swej zaciekłości nie myślał o ustępstwie, któreby w innych okolicznościach leżało nawet na dnie jego łagodnej natury.

W kasynie zastałem zgromadzonych prawie wszystkich oficerów, a między nimi znajdowali się również Gyula i Bela.

Redödy, skoro tylko mnie zobaczył, podbiegł do mnie i zapytał przez zaciśnięte zęby,

— A więc?

Uprowadziłem go do drugiego pokoju, bojąc się awantury w sali, gdyż Gyula wyglądał zatrwazająco.

— Nie mogę — odparłem — dojść z wami do ładu...

— Niechce?

— Chce, byś mu dał dowód...

— Na co?

— Na to, iż się cieszysz większymi od niego względami panny Teschanji.

— Dobrze! — odparł blady ze wściekłości Redödy i oddalił się.

Poszedłem za nim. Oblicze jego wyraźnie mi mówiło, iż był gotów na wszystko.

Zbliżył się do Czákvara i mieniając się cały, coś mu szepnął raczej, niż powiedział. Obaj natychmiast ruszyli ku drzwiom.

Stanąłem we drzwiach i czekałem, co się stanie.

Razem idąc, zatrzymali się na środku pokoju w najgłębszym milczeniu, bo obaj

drżeli i może słowaby wymówić nie mogli.

Po chwili Redödy mierząc piorunującym wzrokiem przyjaciela, a wyjmując trzęsącą

się ręką pugilares z bocznej kieszeni munduru, wycodził dobitnie.

— Postępujesz względem mnie jak dzieciak, ale jeszcze ufam, że jesteś człowiekiem honoru.

Bela syknął. Gyula otworzył pugilares, wyjął z niego ćwiartkę zapisanego papieru i pokazując Czákvarowi ostatnią jej stronicę tylko, zapytał:

— Dość ci?

Bela zbladł, oczami chwilę spoczął jakby na podpisie tego widocznie listu i

uśmiechnął się.

— Dość ci? — powtórzył Gyula. Czákvar odsunął się i milczał w zadumie.

— Odpowiadaj! — syknął Redödy. Te słowa rozdrażniły znów Belę. Na jego oblicze

powrócił sarkastyczny uśmiech i odparł:

— Jutro będę u ciebie i odpowiem ci.

To powiedziawszy, wyszedł pierwszy z sali i na mnie najprzód się natknął. Wsunął

swą rękę pod moje ramię i pociągnął mnie do ogrodu, do którego wprost z głównej

sali kasyna prowadziło wyjście. Ochłonawszy po dość długim przeciągu czasu,

odezwał się:

— Redödy, jak myślałem, durzy się w pannie Teschanji... omyliłem się... On się w

niej kocha!.. Postawił kwestyę na ostrzu noża... Mówić z nim nie mógłem.., jest

za porywczy na to... Żal mi go, ale postawił kwestę na ostrzu noża, jak dzieciak. Ja nie ustąpię!

— Czákvar! — zawołałem — zakochani są dziećmi. Bela się zamyślił i opuścił na

ławkę, około której

znaleźliśmy się. Po chwili zawołał:

— Idź do Gyuli i zapytaj się go, czy on się żeni z panną Teschanji... idź zaraz!

Czułem, że coś ważnego zaszło. Usłuchałem rozkazu i powróciłem do kasyna, gdzie natychmiast powtórzyłem pytanie Redödy'emu.

Ten się zaperzył.

— To jego nic nie obchodzie — zawołał. — Zrobię, co mi się będzie podobać. Dziś

żadam, by postąpił tak, jak ja postąpiłem na Keczmeckiej puszczy, gdym mu

ustąpić musiał i do nierozważnie wyrzeczonych słów się przyznać.

Czekam do jutra

wieczora... A jutro wieczorem, jeśli go przy Titäi spotkam, to go...

spoliczkuję! Idź...

Powróciłem więc i zastałem Belę pogrążonego w zadumie. Laseczką swą, kreślił

różne figury na piasku i nie widział, ani nie słyszał mego powrotu.

— Czákvar!

Zerwał się i podniósł głowę. Powtórzyłem mu dosłownie słowa Gyuli.

Powstał z ławy śmiejąc się nerwowo.

— Dobrze! Żaden Czákvar nie został jeszcze odsuniętym. Żaden

Czákvar nie żałował

swych słów, choćby po pijanemu wymówionych... Obce tak? Dobrze!

Żałuję go...

Chciałem mu oszczędzić...

Wstał i ruszył z miejsca, mówiąc dalej z cicha:

— Gdyby się chciał żenić... choć w takim razie, musiałbym ustąpić...

Nagle sobie coś przypomniał i zawołał:

— Spoliczkuj mnie? Powiedz mu, że jutro o godzinie trzeciej po południu będę u

niego, a w wieczór

będę zapewne z nim razem u Teschanjich. Ha! ha! W zabawną i przykrą rolę wplątał nas Abugörö.

Gubiłem się w domysłach nad charakterem, jaki zwada ta przybierała.
Widziałem

tylko, iż wchodziła na poważne i nad wyraz drastyczne tory.

W chwilę później obu ich nie było w kasynie. Galaviczini zbliżył się do mnie i zagadnął.

— Uważałem, iż się coś dzieje między moimi najmłodszymi porucznikami?

Fizyognomie ich wróżą mi niemiłe zajścia. Zdaje mi się, że jesteś pośrednikiem

między nimi? Zaklinam cię, załagodź tych cyganów i przedstaw im fatalne skutki

pojedyunku, gdyby do niego przyszło.

Na razie nie rozumiałem, co miał na myśli książę. On to odgadł z mej twarzy i dodał:

— Przecież podlegamy prawom wojennym. Struchlałem, a. rotmistrz mówił.

— Jeśliby przyszło do pojedyunku i jeden z nich zginął, drugi stawiony będzie

przed sąd wojenny i rozstrzelany natychmiast.

Milczeliśmy obaj. Książę pierwszy podchwycił:

— Na to nie byłoby rady, chyba żeby jednemu z nich nic się nie stało... a tego

przypuszczać nie można, znając ich... Na to nie byłoby rady — dodał smutnie — a

miny ich zapowiadają lada chwila... zapomnie się... W mieście mówią już o tej

rywalizacji... mówią że Redödy stara się seryo o pannę Teschanji...

Najmniejsza

awantura będzie rozgłosną. Jeżeli w po-

jedyunku jeden zginie, to komendant musi zwołać sąd wojenny, w ciągu godziny —

według wyjątkowych praw stanu oblężenia, osądzi przeciwnika i sekundantów jako

zwykłych morderców... Zlituj się nad "Isniącym pułkiem" i oszczędź mu skandalu.

— Cóż ja mogę?

Galaviczini ruszył ramionami i zagadnął.

— Nie śmiem cię pytać, jak daleko między nimi zaszło, bo byś mi może nie powiedział.

— Owszem! nie jestem obowiązany do tajemnicy.

— Pojmujesz więc — podchwycił książkę — że nie przez prostą ciekawość pragnąłbym coś wiedzieć... Mam myśl.

— Co wiedzieć pragniesz?

— Czy między nimi do starcia przyjść musi?

— Zdaje się.

Książkę uderzył się w czoło.

— Co za szkoda! — zawołał — że mi wcześniej ta myśl do głowy nie przyszła. A

więc — zapytał — nie mógłbyś mi powiedzieć, kiedy, jak przypuszczasz, nastąpi wyzwanie?

— Powierz mi myśl swoją książkę — odparłem — a ja ci powierzę to, co względem tego przypuszczać mogę...

Galaviczini się zamyślił, i po chwili odezwał się:

— Pragnę wyrobić u pułkownika, obawiającego się również o tych szaleńców, by jednego z nich bezzwłocznie wysłał... gdziekolwiek.

Podskoczyłem z radości.

— A więc masz czas! — zawołałem — do jutra wieczorem. Idź i staraj się! Myśl twoja jest wyborna, ale rozkaz winien jednego z nich dojść przed jutrzejszym wieczorem.

— Przed trzecia?

— Jeszcze lepiej.

Galaviczini opuścił mnie i za chwilę już widziałem, jak wprowadzał pułkownika do

ogrodu, gdzie z nim długo konferował.

Gdy powrócił rzekł do mnie:

— "Wszystko utrudnia stan oblężenia. Pułkownik nie ma prawa nic przedsiębrać bez

porozumienia się z najwyższą komendą. Jutro uda się do generała...

Dziś już

zapóźno...

— Tu o czas chodzi — zawołałem — bo jeśliby jeden z nich rozkaz dostał po

wyzwaniu, to znalazłby się w fatalnem położeniu.

— Musiałby — dokończył książę — mieć do czynienia z sądem honorowym, lub z sądem

wojennym... Jeszcze namawiać będę pułkownika, by dziś mimo spóźnionej pory, udał

się do komendanta.

Była więc nadzieja, że do katastrofy nie dojdzie.

IX.

Nazajutrz bardzo rano przyszedł do mnie Galaviczini. Zachodziły poważne

trudności. Komendant miasta nie mógł wobec zaostrzonych

przepisów, wymyśleć

funkcyi mającej urzędowe pozory, którąby powierzył najmłodszemu oficerowi.

Książę kończył jednak z wzrastającym ożywieniem:

— Jest tylko jeden sposób przeprowadzenia tej trudnej manipulacyi, by Soubor i

czwarty pułk nie stał się dziś przedmiotem głośniejszej w kraju awantury.

Aleby ten

wybieg przeprowadzić, potrzeba nam jeszcze kogoś poważniejszego, wtajemniczonego

w rzecz całą, człowieka wytrawnego i zasługującego na

nieograniczone zaufanie.

Nie dość na tem, ten człowiek winien być oficerem naszego pułku i powinien sam

poświęcić się niejako dla uratowania Gyuli czy Beli.

— Ja nim jestem!

— Jesteś zamłody. Podstęp musi zachować wszelkie pozory.

Myślałem o tobie...

— Mam takiego.

— Kogo?

— Kardassy!

— Wyborny. Ale czy zechce uczynić cokolwiek?

— Jeśli nie chciałby się poświęcić dla Gyuli czy Beli, to uczyni co będzie w

jego mocy, dla mnie...

— Jesteś tego pewny?

— Jestem!

— A jesteś równie pewnym dyskrecji Kardassy'ego? Wszakże rozumiesz delikatność

sytuacji i pojmujesz, że fortel, którego użyć zdecydowali się komendant i

pułkownik, musi być tajemnicą pogrzebaną między mną, tobą i Kardassy'm.

— Dziwisz mnie książkę — odparłem. — Wszakże Kardassy liczy trzydzieści kilka lat

i jest już rotmistrzem, jak ty.

Galaviczini podchwycił.

— Nie dziw się mej ostrożności. Nigdy jej nie dosyć, gdy chodzi o oszczędzenie

ludzi którzy nam zawierzyli... Mnie zależy niewymownie na tem, by przełożeni

chcący dziś dopomódz, nie żalowali tego nigdy.

— Możesz mi zaufać...

Tu książkę wyciągnął do mnie dłoń, pytając:

— Słowo honoru twoje i za Kardassy'ego?

— Daję! — odparłem podając rękę rotmistrzowi.

— Jak ci się zdaje? — zapytał. — Ja sędzę, że jeśli coś nie poradzimy, to się pozabijają dziś lub jutro...

— Książę! — podchwyciłem — jest godzina ósma... każda chwila jest drogą.

— A więc słuchaj! — zawołał. — Najwyższa komenda dziś rozkaże, by czwarty pułk wysłał patrol złożony z dwóch oficerów i dwóch oddziałów na granicę Bośni, dla zbadania ruchów powstańczych. Niema innego sposobu. Musimy poruszyć dwa oddziały, aby

być w porządku z regulaminem. Oficerami tymi będą Kardassy i Redödy.

— Dlaczego nie Czákvar?

— Bo Redödy wydaje nam się bardziej zakochanym.

— "Więc?..."

— Bądź cierpliwym. Oddziały będą w drodze tydzień czasu. Dlatego, uważaj, mówię

ci to wszystko, bo ty winieneś powtórzyć Kardassy'emu. Jemu przecież pułkownik

wyda tylko rozkaz, o którym Kardassy wiedzieć musi, że jest fikcyjnym.

— Dlaczego?

— Ah! — obruszył się książę — przecież komendanturze nie zależy na tem, by jej

przywiózł informację... Owszem! zależy na tem, by nie narażał oddziału na żadne

niebezpieczeństwo...

— Rozumiem... Mów!

— Podczas tego tygodnia nieobecności Redödy'ego, wystara się pułkownik w

Peszcie, by Czákvar został cofniętym z Souboru. Wyśle go albo dla zakupu koni na

Wschód, lub też do sztabu w stolicy, lub wynajdzie co bądź, co go z Souboru

wyprowadzi bezpowrotnie. Redödy gdy wróci, nie zastanie go już...

Książę skończył.

— Genialny obmyśleliście plan — zawołałem.

— Namysł się — rzekł rotmistrz — i powiedz mi, czyby nie wypadało czego jeszcze zmienić?

— Nie widzę nic do zmiany.

— A więc biegnij do Kardassy'ego — podchwy-

cił, zrywając się z krzesła — a ja jadę do komendy, która na jedenastą, rano

wygotuje rozkaz do pułku.

— A pułk?

— Pułk urządzi tak, by rozkaz doszedł Redödy'ego przed wieczorem.

— Aby — dodałem — Redödy nie mógł już być na wieczorze u Teschanji'ch.

— Naturalnie! — Rozkaz przecież musi być wykonany natychmiast.

Rozeszliśmy się. Rotmistrz pośpieszył do komendy, ja do Kardassy'ego.

X.

O w pół do trzeciej, stosownie do umowy, przyszedłem do Kardassy'ego, aby rozkaz

pułkowy adresowany do niego, jako wyższego rangą od Gryuli, zanieść do tego

ostatniego.

Rozkaz dopiero co przyniesiono. Brzmiał on lakonicznie.

"Po odebraniu niniejszego, bezzwłocznie udasz się pan wraz z porucznikiem Gyulą

Redödym do Keiesztav, i jego oddziałem, jako też trzecim oddziałem piątego

szwadronu, w kompletnym rynsztunku wojennym na granicę Bośni,
którą zbadasz od
Szabaczu do

Dubiczy i o stanie jej zdasz dokładny raport komendanturze wojennej
w Souborze."

Mogłem więc zaraz iść do Gyuli, ale nie uczyniłem tego umyślnie.

"Wiedziałem

bowiem, że o trzeciej miał być u niego Bela. Nie mogłem wchodzić
bezpośrednio po

nim, tem więcej iż o umówionem między nimi rendez vous
wiedziałem.

Opóźnienie kilkunastu minut, nie mogło mieć żadnego wpływu.

O trzeciej opuściłem Kardassy'ego, który się gotował do nudnej
podróży i powoli,

wybierając najdłuższą, drogę, dążyłem do Redödy'ego. Nie chciałem
być u niego

wcześniej, jak około czwartej, by nie przerwać mu rozmowy z Bela,
jeśliby się

przedłużyła.

Przechodziłem około pałacu Teschanji'ch. Na tarasie spoczywała w
szezlongu

Titäa, a służebna chłodziła ją olbrzymim wachlarzem.

Panna Teschanji spostrzegłszy mnie, skinęła abym się zbliżył do
balustrady,

oddzielającej taras od ulicy.

Gdy to uczyniłem, dała znak służącej by się oddaliła. Wyglądała
prześlicznie,

miała na sobie strój wschodni, przypominający krojem greckie szaty.

Sploty swych

pięknych włosów pospinała misternymi szpilkami z cekinów, które
podnosiły kruczą

barwę jej głowy i blask oczu. W uszach miała złote kolce,

przedstawiające

wielkie koła, złożone z niezliczonej ilości delikatnych, jak jedwabna
nitka,

kólek, które poruszając się, mieniły się dziwnie.

Przykuwała oryginalnością swego typu i pięknnością oblicza.

— Pan w taki upał chodzisz?

Jak pani widzisz. Służba nie zna gorąca.

— Służba?

— Niosę rozkaz Redödy'emu, by wyruszył na granicę Bośni.

Titäa ani drgnęła.

— Na długo? — zapytała.

— Nie wiem...

— A Czákvar?

— Czákvar? nic!

— Zostaje?

— Zostaje!

Po twarzy Titai przebiegł niepochwytany, ale wesoły uśmiech.

Zamyśliła się tak

głęboko, iż musiałem jej zadumę przerwać.

— Nad czym pani się zastanawiasz?

— Nad czym? — odparła, jakby się budząc z pół snu — myślę nad tem, jakie to

życie ludziom figle płata...

— Masz pani na myśli Gyulę?

— Być może... Co on pocznie?

— Wyjedzie natychmiast!

— A Czákvar? zostawi go?

— Pani chciałaś?

— Nic nie chciałam... — dodała — tylko nie mogę sobie wyobrazić jednego bez

drugiego.

— Widok ten będziesz pani miała dziś wieczorem.

— Już?

— Już!

Titäa utkwiała wzrok w olbrzymim liściu zwieszającej się nad nią palmy.

— Nie! — szepnęła — jeden drugiego nie zostawi. Roześmiała się. Te słowa jej

wymówione ze

wschodnią pewnością, nie rozumiejącą rozkazów, ani karność, ubawiły mnie na

razie.

— Więc chyba go zabije, wyruszając sam? he!he! Titäa nie spuszczać wzroku z

palmy, dodała:

— Pan się śmiejesz?

— Cóż mam robić innego? Pani przypuszczenie...

— Jest trafne — dodała.

— Niemożliwe!

— A ja panu mówię, że możliwe — odparła z tą zdumiewającą niedbałością.

— Możliwe by go zabił?

— Ah! nie to!... nie zostawi go... Uczuwałem dreszcze, Titäa przerażała swym

wschodnim spokojem.

Pożegnałem ją i pobiegłem dalej. Redödy mieszkał w

pierwszorzędnym hotelu

Souborskim, przy pryncypalnej ulicy.

Gdym się do tego domu zbliżał, zastanowił mnie tłum cisnący się do wnętrza jego,

w pośród którego migotały czapki policyantów i wojskowych.

Przyśpieszyłem kroku

i wkrótce wpadłem w zbitą gromadę ciekawych, tłoczących się do bramy hotelowej,

której jednak strzegli policyanci z nastawionymi bagnietami.

— Co się stało? — zapytałem.

— Zbrodnia! — odparł mi ktoś w zbiegowisku.

— Jaka?

— Oficer jakiś podobno zabił...

— Kogo?

— Oficera!

Nie pytając o więcej, przedarłem się przez tłok do bramy. Policja rozstąpiła się przedemną i wbiegłem do wnętrza hotelu, rojącego się już od ludzi zaalarmowanych wypadkiem.

— Co się stało?

— Porucznik od huzarów Redödy zastrzelił się — odparł mi jeden z obecnych.

— Nie! — podchwycił natychmiast drugi — został zabity!

— Przez kogo?

— Niewiedzą jeszcze...

— Jakto?

Zapytany ruszył ramionami, a inny znów dodał:

— Ten co go zabił, uciekł, ale podobno już go mają.

Rzuciłem się ku schodom i wbiegłem do apartamentu Redödy'ego, na drugim piętrze. Tu zastałem również policję, niedopuszczającą już nikogo do wnętrza

mieszkania. Chciałem wejść. Nie pozwolono mi.

— Zaraz sędzia śledczy przybędzie. Zaczekaj pan! — odparł jeden z obecnych urzędników.

Rzuciłem się na ławę stojącą w korytarzu i słuchałem napół przytomny, rozmów zgromadzonych,

między którymi była służba hotelowa, sąsiedzi numeru zajmowanego przez Gyulę, policyjanci i inni.

Rzecz tak się z ich opowiadań przedstawiała: O w pół do czwartej rozległ się wystrzał na drugim piętrze. Na odgłos jego zbiegli ciekawi ze wszystkich stron.

Ci co śpieszyli z dołu, spotkali uciekającego z drugiego piętra oficera od huzarów. Ci co nadbiegali z pierwszego i drugiego piętra, również widzieli go uciekającego. Wpadli do pokoju Gyuli i tu zastali go zabitego w pozie dziwnej, bo stojącej i opartego tyłem o balustradę otwartego okna, a zwróconego obliczem do środka pokoju. Poza ta przemawiała wyraźnie za tem, iż Redödy był ofiarą mordu. Urzędnik śledczy natychmiast przybyły, skonstatowawszy brak pistoletu i dowiedziawszy się o uciekającym oficerze, kazał nic nie ruszać w mieszkaniu, a sam pobiegł aresztować domniemanego mordercę. W głowie mi się wszystko mieszało. Czákvar miałby zabić Gyulę? Pakt ten monstualny wydał mi się niemożliwym. Niedługo mogłem się oddawać strasznym i chaotycznym myślom. Niebawem usłyszałem brzęk pałaszy i ostróg, różnych tonów głosy i zaraz na schodach pojawili się zaalarmowani wypadkiem urzędnicy, władze, huzarzy, generałowie i dygnitarze. Soubor nie był dużym miastem i podlegał prawom stanu oblężenia, oddającym w ręce wojskowych najwyższą sądowniczą władzę. Pośpieszyli więc pra-

wie wszyscy równocześnie. Między nami znajdował się Galaviczini i wielu moich kolegów. Teraz dopiero otworzyły się podwoje mieszkania Gyuli. W milczeniu stanęli wszyscy, jakby jeden. W otwartym oknie, jakby przewieszony przez balustradę, stał nieco, zsunięty

Redödy, ugodzony kulą w serce. Jedną rękę, mianowicie prawa, miał za oknem, lewa wisiała wzdłuż jego ciała. Opodał od niego stał stół. Na nim pozostał papier, pióro nie zaschło jeszcze, i stała zapalona świeca. XT płomienia jej spalił on jakieś papiery, których popioły leżały na stole. Spisano protokół z tego obrazu, poczem komendant Souboru polecił naszemu pułkownikowi zrewidować pugilares Gyuli, a doktorowi zaś obejrzeć rany. Sam przystąpił do przesłuchania kilku świadków, którzy na alarm wystrzału, najpierw nadbiegli. Doktor oświadczył, iż rana pochodziła od kuli pistoletu dużego kalibru, jakiego używano w czwartym pułku huzarów. Pułkownik zaś nie znalazł nic w pugilaresie, coby mogło rzucić jakie światło na wypadek. Wtedy sędziwy generał zwrócił się do obecnych i zapytał. — Czy który z panów ma jaką myśl, mogącą stwierdzić przypuszczenie, że Redödy sam się zastrzelił? Grobowe nastąpiło milczenie. Przypuszczenie

to wobec braku broni, poży nieżywego i ucieczki Beli, było wręcz niemożliwym. — Czy kto z panów domyśla się, który oficer z czwartego pułku był uciekającym po spełnionej zbrodni? — Czákvar! — jęknął Galaviczini. — Aresztować go! — rozkazał generał. — Już aresztowany — odparł nieznajomy jakiś mężczyzna, będący widocznie członkiem policyi.

— A więc — ciągnął dalej komendant — ukończyliśmy tutaj nasze zajęcie.
Opieczętować mieszkanie! Ciało Redödy'ego przenieść... — tu zwrócił się do naszego pułkownika i mówił drżącym głosem: — Panie pułkowniku: stosownie do przepisów, wybierz bezzwłocznie dwóch oficerów, którzy utworzą wraz z tobą sąd wojenny. Dziś sprawa ma być zbadaną... Jutro o dziesiątej będzie sądzoną...
To powiedziawszy, zmierzał ku drzwiom. Pułkownik otarł łzy, które mu stały w oczach i zaciskając jakby z bólu usta, rozejrzał się po komnacie, gdzie już byli obecni prawie wszyscy jego oficerowie.
Spoczął wzrokiem na mnie, ale widząc moje błagalne spojrzenie, skierował oczy w inną stronę.
— Ciebie majorze hrabio Andrassy i ciebie rotmistrzu Kardassy, wybieram na sędziów. Przystąpcie natychmiast do przesłuchania Czákvara... Na protokół czekam w kancelaryi pułkowej...
Chciał wyjść, gdy go zatrzymał Galaviczini.

— Czy wolno mi widzieć się z Czákvarem? — zagadnął.

— "Wolno każdemu.

Książę podszedł do mnie i grobowym głosem zapytał:

— Czyż to możliwe?

Ruszyłem ramionami, nie będąc w stanie wymówić słowa.

— Nie mamy minuty do stracenia — zawołał z niebywałą, u niego energią. — Musimy

go widzieć... To morderstwo nie jest jasnym.

Uśmiechnąłem się, tak mi się to przypuszczenie wydało naiwnem.

Książę zrozumiał

mój uśmiech; opuścił głowę na piersi i szepnął głosem przejmującym:
— Oficer czwartego pułku mordercą, rozstrzelanym przez sąd wojenny? Nie! to być nie może...
Wybiegł, a ja podążyłem za nim. Pojechaliśmy do fortu w którym uwięziono Czákvara. Obaj nie przypuszczaliśmy, by Czákvar mógł być zabójcą Redödy'ego. A obecnym w głowach się pomieścić również nie mogło, by Czákvar był zwykłym mordercą.
Odchodziliśmy od zmysłów. Rotmistrz tylko raz szepnął:
— Boże! czyż to być może... by kobieta... Tu łza mu spłynęła po policzkach.
Ten huzar-poeta rozumiał mniej odemnie Bełę, którego może więcej swem szlachetnem sercem kochał.

XI

W celi więziennej siedział Bela; zastaliśmy go chodzącego po niej gorączkowym krokiem. Gdy nas zobaczył i spojrzeniem fizyognomie nasze ogarnął, nagle oblicze jego pokryło się wyrazem przestachu. Pierwszy zawołał:
— Powiedzcie mi, co to wszystko znaczy?
W milczeniu spojrzeliśmy po sobie. Czákvar zrozumiał nasze miny i zawołał z trwogą:
— Więc wy przypuszczacie?... — urwał i zapytał — Co się stało z Gyulą?
— Me wiesz? — podchwycił książkę, a twarz jego pokryła się śnieżną bladością.
— Ja nie wiem. Mnie zaaresztowano! Spojrzeli znów po sobie wzrokiem, wyrażającym tysiące zawikłanych myśli.

— Słuchaj Belo! — odezwał się Galaviczini. — Przychodzimy, by cię ratować...

Jesteś bowiem skazany na śmierć.

Urwał, bo Czákvar się zachwiał i pobrał.

— Co ty mówisz? — wybełkotał. Książę podchwycił:

— Siły teraz ci potrzeba. Opowiadaj co i jak się stało. Opowiadaj, jeśliś go zabił.

— Ha! ha! — zaśmiał się Bela. — Czy wy żartujecie?

— Opowiadaj!

— Co mam opowiadać?

— Co zaszło w hotelu u Redödy'ego? Czákvar zaczął chodzić po celi, jak dziki zwierz

w klatce, Drżał na całym ciele, mówić nie mógł.

— Czas jest teraz nad wyraz drogi — szepnął książę. — W interesie twoim, mów!..

Za chwilę staniesz przed sądem wojennym i wszystko co powiesz, będzie nieodwołalnym dokumentem.

Bela przystanął.

— Rotmistrzu, tyś zwaryował!

Nastała cisza. Obaj uczuliśmy, iż stoimy przed zagadką. Ten człowiek nie był zabójcą Redödy'ego.

— Tyś go zabił? — zapytał książę.

— Jeśli nie żyje, to się sam zastrzelił, z mojej może winy, ale jakimże sposobem ja jestem posądzony?

— Jakim sposobem? — rozśmiał się tragicznie Galaviczini — bardzo prostym!

Widziano cię jak uciekałeś... a przy Redödy'm nie znaleziono pistoletu, którym się zastrzelił.

Bela chwilę zdawał się nerozuimeć, i usilnie musiał pracować
mózgiem, by objąć
ten zbieg okoliczności. Ja śledziłem jego oblicze. Przekonanie, że on
w chwili
szału zabił Gyulę, słabło z sekundy na sekundę. Nagle zawołał po
długim
milczeniu, bledniejąc jak ściana.
— A więc! jestem zgubiony! Zaczął biegać po izbie.

Galaviczini uchwycił go za ramiona i rzucił nim na stojący jedyny
stołek.

— Opowiadaj! — ryknął — nieszczęśliwcze!

Bela spojrział mu w oczy, a z miny jego wyczytał że mu groziło
poważne
niebezpieczeństwo.

— A więc! — zawołał stłumionym głosem — słuchajcie. —

Odetchnął i ciągnął. —

Byłem u Redödy'ego w interesie, który wypłynął z naszej
lekkomyślniej sprzeczki o

tego nieszczęśliwego... Abugörö'a. Ja nie wiedziałem, że on się kocha
w Titäi...

Zresztą... o tem mówić nie mogę, ani wam, ani przed sądem, ani
wobec luf

karabinów. Zresztą.., — zamyślił się i zawołał — choćbym
opowiedział treść

naszej rozmowy, toby ona na nic nie wpłynęła... Jeśli tak jest, jak
mówicie,

jeśli doktor udowodnić nie może iż Gyula sam się zastrzelił, to
widzę... że ja

muszę paść ofiarą...

Urwał, rozśmiał się i zawołał:

— Czákvar mordercą! ha! ha!.. — i oni temu uwierzyli! — Opuściłem
go tak

zgnębionego, tak zmienionego, iż zamiast iść dalej, przystanąłem na
korytarzu

hotelowym, myśląc azali nie postąpiłem nikczemnie, walcząc ze sobą samym i mając szaloną ochotę powrócenia do niego i przeproszenia go... Ja Gyulę kochałem jak brata... — Tu urwał i jak obłąkany zapytał: — Wy mówicie, że on nie żyje?
— Mów dalej! — huknął książę.
— Wtem — podchwycił Bela — rozległ się wystrzał w jego komnacie. A ja straciłem tak głowę, iż wybiegłem z hotelu, jak szalony... i popędziłem do

domu, gdzie od lat wielu, pierwszy raz zaniósłem gorące modły do Najwyższego, by ten wystrzał, nie odebrał życia Gyuli... Zaaresztowano mnie... Nastąpiło grobowe milczenie. Rotmistrz śledził rozgorączkowaną raczej, niż zaniepokojoną twarz Beli. Nagle się zerwał i zawołał:
— Jeśli tyle tylko powiesz sędziom, to będziesz rozstrzelany.
— A cóż im więcej powiedzieć mogę?
— Nic! — jęknął książę.
Nastąpiła znów cisza. Galaviczini chodził i rzucał dzikie wejrzenia na Belę.
Trwało to z kwadrans. Nagle przystanął i zwracając się do mnie, zawołał:
— On jest niewinny! Bela się zerwał.
— A tyś myślał, że go zabił?
— Byłem tego pewny.
— Ha! ha! ha! Książę się mienił.
— Nieszczęśliwce! I ty nic więcej powiedzieć nie możesz?
— Nic! Cóżbym mógł?
— Boże! — zawołał — toż sąd musi cię uznać mordercą! Toż jabym to samo zrobił.
Pocóż ty uciekał szaleńcze?
— Pocóż się wy mnie pytacie? Przecież uniewinni mnie kula tkwiąca w piersi, czy w czole Redödy'ego.

— Ależ pistoletu od tej kuli niema!
Bela załamał ręce z uśmiechem politowania.

— Galaviczini! — zawołał — cóż ty się tem martwisz? Przecież
nawet sąd wojenny
nie może mnie uznać mordercą, Gyuli dlatego, że ktoś porwał pistolet
którym się
on zastrzelił?

— Porwał! — podchwycił gorączkowo książkę.

— Przecież ten pistolet ulotnić się nie mógł?

— A więc cóż się z nim stało?

— Ah! — zawołał niecierpliwie — ktoś musiał wpaść do tego pokoju
i unieść

pistolet. Alboż ja wiem, co się z nim stało? Alboż ja wiedzieć mogę?

Wiem tylko

tylko, że pistolet być musiał w chwili, gdym słyszał wystrzał...

— Zdumiewające! — mruknął rotmistrz i upadł na tapczan. Ale zaraz
po chwili

zadumy, zerwał się i zawołał do mnie:

— Chodźmy szukać tego pistoletu. Wybiegliśmy z celi więziennej,
śpiesząc do
miasta.

W bramie od fortu spotkaliśmy Andrassy'ego Kardassy'ego. Ten
ostatni uchwycił
mnie za rękę.

— Wiesz? — szepnął — Bela zabił Gyulę!

— Jakto?... Wracamy od niego, wręcz przeciwnie przekonani... —
odparłem.

— Oh! — ciągnął Kardassy. — W tej chwili odbyliśmy rewizję w
jego mieszkaniu...

— I?

— Znaleźliśmy pistolet tego samego, co kula kalibru.

— Naturalnie, skoro to był nasz przepisowy pistolet...

— Ale jeszcze poprostu dymiący z lufy — dokończył rotmistrz i pobiegnął dalej.

Staliśmy oniemieli z Galaviczinim.

— A więc zdawałoby się — mówiłem — że Bela powróciwszy od Gyuli, schował swój pistolet, którym...

Księżę mi przerwał.

— Nie! on go nie zabił...

Chciałem wierzyć temu poecie, ale nie mogłem. Tłomaczenie się Czákvara nie

mówiło nic, nie dowodziło niczego. Kula bez pistoletu nie mogła się znaleźć w

sercu Gyuli; a czemu Czákvar zamiast wbiedz do Redödy'ego po wystrzale, uciekał?

— Tłomaczenie się Beli jest naiwne, ale i obmyślane — mówiłem do księcia. —

Twierdzi on, iż stał w korytarzu, miotany swemi uczuciami, a więc że opuścił

jego mieszkanie przed wystrzałem. Któż temu da wiarę?

— Ja! — odparł księżę — Gyula pisał coś przed śmiercią, palił coś...

A więc,

jeśli go Czákvar zabił, to chyba?..

Urwał, bo nie wiedział co wnioskować i zawołał:

— Nie! Bela go nie zabił!

— A poza Gyuli? — podchwyciłem — widziałeś go przecież? Toż to poza człowieka,

ugodzonego w trakcie rozmowy?

— Nie! — powtórzył Galayiczini. — Przeczytaj

procesy sędziów śledczych, a dowiesz się z nich o dziwniejszych jeszcze

poszlakach na niewinnych.

— Ależ zawiść ich?.. Titäa? Rotmistrz się obruszył.

— Jesteśmy przed zagadką, ale Bela nie jest mordercą.

— Wierzę tobie, nie dowodom — zawołałem — Ale mimo to, Bela musi być

rozstrzelany.

Galaviczini przystanął i zapienił się.

— Ha! — zawołał z siłą. — Mani tak silną wiarę, że Bela jest niewinnym, iż mimo wyjątkowych okoliczności, mimo stanu obłączenia, ja sam znajdę sposób uratowania go.

Mój rotmistrz w swej gorączce mówił od rzeczy.

XII.

Była już godzina siódma wieczorem, czas uciekał jak na skrzydłach.

Księżę

pośpieszył do hotelu, aby zrewidować mieszkanie Redödy'ego i zachęcić służbę,

aby odszukała człowieka, który wedle wątpliwych przypuszczeń, miał porwać

pistolet jakim się zabił Gyula.

Gdy Galaviczini nie chciał absolutnie przypuścić, by Czákvar mógł być mordercą,

musiał szukać po-

twierdzenia swych wniosków w nadzwyczajnych i wręcz niemożliwych wypadkach.

Ktoby porwał broń Gryuli?

Ja postanowiłem udać się do Titäi. Ona jedna mogła coś wiedzieć, tak mi się

zdawało przynajmniej.

Gyula pisał coś przed samą śmiercią, na listowym papierze. Tej ćwiartki nie

znaleziono w jego mieszkaniu, ani w jego pugilaresie; nie znaleziono śladu jej i

u Beli. Jeśli Gyula coś pisał — kombinowałem — to pisał tylko do Titäi. Redödy

coś spalił, mógł to być tylko list od Titäi. Przypomniałem sobie scenę
zaszłą w
kasynie między Gyulą a Bela poprzedniego dnia, scenę której
głównym przedmiotem
był list. Ten list musiał pochodzić od Titäi. Ten to list został
spalonym. Ten
list był przyczyną wszystkiego.
Przyśpieszyłem kroku, dążąc do Teschanji'ch, a w miarę jak się
zbliżałem do ich
domu, budziła się we mnie nadzieja, że Titäa rozwiąże tę zagadkę i
ocali
nieszczęśliwego.
W domu Teschanji'ch zastałem popłoch.
— Co się stało? — zapytałem, widząc niezwykły ruch.
— Państwo wyjeżdżają! — odparł służący. Kazałem się zameldować.
Pani Teschanji
sama
wybiegła do mnie.
— Szukamy pana od dwóch godzin... rozsyłamy na wszystkie strony.
Titäa pragnie
pana widzieć... Co za nieszczęście! Czy to być może? — mówiła
wzruszona,
urywkami — Czákvar zabił Redödy'ego... Titäa

od zmysłów odchodzi... Zrobiło to na niej straszne wrażenie...
Wczoraj
rozmawiała z nim... tutaj... Boże mój...
Wprowadziła mnie do apartamentu, dalej mówiąc bez ładu:
— Idź pan do mej córki... raz po raz pyta o pana. My wyjeżdżamy...
my tutaj nie
możemy pozostać. Ah! taki dramat... Boję się o zdrowie Titäi...
To mówiąc, uchyliła przedemną drzwi i wpuściła mnie do komnaty.
Znalazłem się sam z panną Teschanji.
— Pan? — szepnęła — czekam na pana niecierpliwie... Na Boga!
powiedz co się
stało?!

Przestraszył mnie wyraz jej twarzy, całkowicie inny niż zwykle,
pozbawiony
spokoju, rozgorączkowany i trwożny.

— Ja biegłem do pani — odparłem — by się czegoś dowiedzieć.

— Odemnie? — zapytała Titäa, bystro mi spoglądając w oczy.

— Pani! chwila jest zbyt ważną i na sekundy obliczoną, byśmy tracili
czas

napróżno. Nikt nas tutaj nie słyszy?

— Nikt!

— A więc wiedźże pani, iż ja wiem, a wszyscy się domyślają, iż pani
jesteś

przyczyną nieszczęścia. Redödy i Czákvar zeszli się, by mówić o
tobie, by

traktować między sobą... Co się dalej stało?... Redödy

zabity, a Czákvar jutro rano będzie przez sąd wojenny sądzony.

Titäa chwyciła się za głowę.

— Cóż za szaleństwo!

— Co pani zowiesz... szaleństwem?

— By Czákvar miał zabić Redödy'ego!

— Me przypuszczasz tego?

— Wiem na pewno, że tak nie jest.

— Dowody? — krzyknąłem — jeden choćby dowód!

Titäa ochłonęła w jednej chwili, jakby z szału któremu uległa na
moment.

— Zkądże jabym go mieć mogła?

— Pani! — zawołałem. — Jeśli Czákvar nie dowiedzie, że nie zabił
Gyuli, będzie

rozstrzelany.

Titäa jęknęła, a ja chcąc wydobyć coś z niej, bo czułem że więcej
odemnie

wiedziała, ciągnąłem.

— Redödy pisał coś przed śmiercią, palił coś również. Ja jeden w
pułku, ja jeden

w Souborze mam dane pozwalające mi przypuszczać, że palił...

Tu na moment umilkłem, bo Titäa blada jak chusta, wlepiła we mnie straszny swą trwogą wzrok, roztwierając usta i poruszając rozwartymi nozdrzami. Milczała, więc kończyłem.

— Że palił list od pani, a pisał do pani.

— Panie!

Opuściłem oczy, a kobieta ściągając swe czarne brwi, zapytała głosem wyzywającym:

— Co pana upoważnia do tej obelgi?

— Jeśli to jest obelgą, przepraszam za nią — od-

parłem. — Upoważniła mnie do niej ważność chwili — dodałem prawie skonfudowany.

— Chyba... — odetchnęła kobieta.

To słowo wymówione z niepojętą ulgą w głosie, utwierdziło me domysły, Titäa miała dowody!

— Pani! — szepnąłem błagalnym tonem. — Jeśli ci chodzi o... o... to weźże na

uwagę że jeden zginął, a drugi musi jutro haniebna śmiercią, ginąć".

Stała jak posąg. Znać było, że toczy się w niej ciężka walka wewnętrzna. Zamiast

mi odpowiedzieć, upadła na szezlong zalewając się łzami i szepcąc:

— Cóżem ja winna? co ja winna?

— Zapewne... ale trzeba ratować tego...

Zerwała się znów, otarła łzy i zagadnęła z ogniem.

— Może przy nich są, jakie dowody? może napisali co? Może to pismo, co pan sądziłeś...

— Me znaleziono przy nich najmniejszego dowodu — odrzekłem.

W błyszczących oczach Titäi błysnęła ognista iskra, Odetchnęła pełną pierśią i

szepnęła:

— Ja nic nie wiem.

— Mówiłaś... pani?...

— Mówiłam że według mego przekonania, Redödy sam się zastrzelił.

— Więc nic pani nie wiesz?

— Nic!

Nastąpiło długie milczenie. Przerwała je Titäa.

— My wyjeżdżamy dzisiaj... za granicę!.. Mnie tutaj duszno...

Jabym... Żegnam

pana! Ratuj go! On go nie zabił.

Wychodziłem, a ona jeszcze wołała za mną:

— Panie! on go nie zabił, nie zabił!

Przystanąłem. Mówiła to tak, iż jeszcze chciałem usiłować wydrzeć jej tajemnicę.

— Pani...

Urwałem.

Titäa stała jak posąg blada, ale i jak posąg spokojna, całkiem inna od tej którą

zastałem w tej komnacie; podobniejsza do tej, która do szafu doprowadzała obu

nieszczęśliwych młodzieńców.

Stałem nieruchomy, sparaliżowany myślami, przypuszczeniami i wnioskami mego

rozgorączkowanego mózgu.

Ona mnie wyrwała z odrętwienia.

— Idź pan!... ratuj go!.. Wszakże dla mężczyzn musi być sposób ocalenia...

niewinnego?

Wybiegłem wściekły, bo się dopiero we mnie właściwie zrodziło przeświadczenie,

że Bela nie zamordował Gyuli.

Ale co to wszystko znaczyło? gdzie dowody, gdzie klucz do rozwiązania zagadki.

XIII.

O godzinie dziewiętej odszukałem Galavicziniego, który już tysiąca rzeczy dokonał, ale żadna z nich nie rozjaśniła tajemnicy. Było ogólne przekonanie, iż Bela zabił Gyulę. Kelner hotelowy, który wpadł pierwszy do mieszkania Redödy'ego, widział uciekającego Czákvara. Księżę był bardzo przygnębiony, ale zastanawiał mnie swoim obliczem, zwykle spokojnym i myślącym, a dziś wyrażającym wielką siłę i energię. — Tracę zmysły — zawołał — ale Bela nie może być rozstrzelanym. Chodźmy do kancelaryi pułkowej, tam się dowiemy co zeznał Czákvar, a potem pójdziemy jeszcze do niego... W kancelaryi zastaliśmy Andrassy'ego, porządkującego właśnie papiery dotyczące zbrodni. — Gdzie Kardassy? — Niema go już — odparł hrabia — wyjechał na granicę Bośni. — Na granicę Bośni? — Wszakże taki dziś otrzymał rozkaz. Pułkownik zapomniał o tem, mianując go sędzią. Miejsce Kardassy'ego zajmuje Bojargrad... właśnie zawiózł protokół zeznań Beli do komendy. — Bela zeznał? — Przyznał się — odparł grobowo Andrassy.

Te dwa słowa piorunujące na nas wywarły wrażenie. Galaviczini opuścił się na krzesło i szepnął: — Przyznał się... — To jest — podchwycił Andrassy — odmówił wszelkich zeznań: "Sądźcie mnie według aktów i poszlak." Z początku odpowiedział na kilka pytań, nagle jednak taką

ostateczną dał odpowiedź. Niema sposobu uratowania go. Bela jutro będzie rozstrzelany.

— Czy wyrok sądu wojennego — pochwyił z ogniem książę — wchodzi w natychmiastowe wykonanie?

— W czasie wojny natychmiast, w stanie oblężenia, w ciągu godziny...

Galaviczini się zerwał i zawołał do mnie.

— Chodź zemną!

Popędziliśmy do fortu. Zastaliśmy Belę niemal wesołego.

— Cóżżeś ty uczynił? — zawołał rotmistrz.

— Co...

— Przyznałeś się?

Czákvar się zaśmiał.

— Cóż miałem zrobić?...

— Zabiłeś go? — podchwyciłem.

Bela spoważniał i spokojnie odparł:

— Daję wam słowo honoru, że Redödy sam się zastrzelił.

Galaviczini w furii krzyknął:

— A więc czemuż się przyznałeś?

— Słuchajcie! — zawołał z zapalem Bela — znaleziono u mnie pistolet "dymiący jeszcze" jak brzmi protokół... Pistolet ten był jakby ukryty wśród książek w

szafie... Kazano mi wytłomaczyć ten fakt... Wtedy odmówiłem zeznań.

— Szaleńcze!

— Wytłomacze go więc nam — podchwyciłem.

— Dzisiaj rano — zawołał Czákvar — myśląc nad moją w południe zwadą z Gyulą,

przyszedłem do wniosku, że między nami musi przyjść do pojedynku.

Nie mając co

robić, wziąłem pistolet i wyszedłem do ogrodu, gdzie dałem cztery wystrzały do

celu zawieszono na platanie. W tem nadszedł listonosz z listem
rekomendowanym
do mnie i przerwał mi zajęcie. Powróciłem do pokoju i złożyłem
pistolet na kilku
tomach książek, leżących na biurku; ale ponieważ trzeba było
pokwitować z
odbioru list, więc wziąłem książki i pistolet, i rzuciłem je do szafy.
Pistolet
zsuwając się po grzbietach tomów, spadł za ich linię. Ten szczegół
stanowczo
mnie potępia; cóż więc, miałem się tłumaczyć?
— Mogłeś — zawołał Galaviczini — udowodnić, że lufa była
zakopcona, boś
strzelał! Wszak ktoś słyszeć musiał te strzały.
— A więc! — odezwał się Bela — powiedziano by że strzelałem dla
wprawy,
powziąwszy zamiar zamordowania Gyuli.

Miał słuszość. Nie widziałem sposobu uratowania go. Ale
Galaviczini nie
zważył.
— Nie mamy czasu na czcze gadanie — zawołał i wyciągnął dłoń do
Czákvara. — Bądź
dobrej myśli... Nie uratujemy cię, widzę, skoro sam się ratować nie
chcesz...
ale..
— Nie! ja chcę się ratować, ale nie mogę — przerwał Czákvar. —
Uratować by mnie
mogła Titäa... sądzę...
— Byłem u niej! — podchwyciłem.
— Byłeś?
— Tak!
— I?
— Nic! Twierdzi, że nic nie wie...
Bela się rozśmiał, a Galaviczini potrząsając serdecznie jego ręką,
rzekł:

— Wypocznij!... Rozstrzelanym nie będziesz... moja w tem głowa.
— Zdaje mi się, że się mylisz... — odparł Czákvar. — Ja zginąć muszę.

Zamyślił się i dodał:

— Jestem przygotowany... Namiętności ludzi gubią. Gubią ich tem prędeziej i dziwniej, im są błańsze i głupsze... Może was już nie zobaczę — ciągnął prawie ze łzami w głosie, a zwracając się do mnie, kończył. — Jeśli zginę, weź tego nieszczęsnego Abugörö'a. Niech ci on zawsze przypomina, że próżność jest straszną wadą, a dla ludzi gorącej krwi, zgubą! A ty — mówił do Galavicziniego — ty! weź moje książki...

Urwał i pierwszy nas pożegnał.

Wyszliśmy głęboko wzruszeni; księżę w ciemnym korytarzu otarł łzy z oczu. U

bramy fortu westchnął i rzekł:

— Czákvar nie zginie... Jedź do domu.

— A ty?

— Ja wyjadę za miasto... Jedno już zrobiłem, ale na to z absolutną pewnością liczyć nie mogę. Telegrafowałem do Wiednia, by wyjednano u cesarza aby jutro

depeszą ułaskawił Bełę, zamieniając karę śmierci na więzienie. Cesarz mnie zna i

zna Galaviczinich... Uczyni to, ale depesza może się spóźnić.

— A więc? — zapytałem trwożnie.

Księżę się uśmiechnął.

— Od czegoż jestem poetą, a poeci miewają niekiedy pełne fantazyi pomysły.

Więcej mówić nie chciał, wskoczył na konia i popędził. Mina jego wciąż mi jednak

stała w oczach, jakaś ożywiona, natchniona i pełna wiary.

XIV.

Sąd wojenny sędzi, gdzie mu wypadnie i nie troszczy się o formy.
Na podwórzu koszar w których stał nasz pułk, ustawiono stół i cztery
stołki, a
ośmiu huzarów na ko-

niach w pełnym rynsztunku, stanęło z boku i u wejścia, na warcie.
Ja i Galaviczini, znaleźliśmy się jedni z pierwszych w tem miejscu.
Rotmistrz ulegał takim wstrząśnieniom wewnętrznym, iż nic nie
mówił, tylko raz
wraz spoglądał na zegarek, drżąc cały i mieniając się na obliczu, które
zdradzało
miliony coraz to innych uczuć i wrażeń...
Cisza panowała w powietrzu i dokoła nas. Godzina o której
najpunctualniej stawić
się mieli: komendant, pułkownik, Andrassy i Bojargrad, zbliżała się, a
podwórze
się nie zapełniało. Oficerowie bowiem lśniącego pułku, nie
przekonani o
niewinności Beli, nie chcieli być przez pewne zrozumiałe poczucie,
obecni sądowi
— choć wstęp każdemu wojskowemu był dozwolony. A
przekonanymi o niewinności
Czákvara, byliśmy my dwaj tylko.
Galaviczini znajdował się w stanie rozgorączkowania: na pytania
moje nie
odpowiadał, tylko potakująco lub przecząco kiwał głową. Czułem iż
się spodziewał
od czasu, czegoś nadzwyczajnego i dlatego bieg tegoż wciąż
kontrolował na swym
zegarku. Sądziłem że tak niecierpliwie wyczekuje końca tego
dramatu, zbyt
silnego na jego wrażliwe nerwy.

Dziesiąta wybiła na jednej z wież Souboru i w tejże niemal minucie w bramie podwórza ukazali się sędziowie. Poważnie i ponuro, nadrabiając minami, zbliżyli się do stołu ustawionego pod ścianą budynku.

Pułkownik nasz szedł ostatni, z głową pochyloną ku ziemi. W chwili gdy przechodząc około nas, oddawał wojskowy ukłon, zauważyłem rzecz dziwną, z której wtedy, jak i nigdy potem, zdać sobie sprawy dokładnie nie umiałem. Spojrzał bystro w oczy Galavicziniemu i znacząco przymróżył lewe oko. Mina ta tak była nadzwyczajną, iż coprędzej spojrzałem na rotmistrza, który znów zamiast salutować całą dłonią, salutował wbrew zwyczajowi i przepisom, trzema tylko palcami. Me ulegało wątpliwości, dawali sobie jakiś znak. Taka drobnostka napełniła mnie wówczas otuchą, a i oblicze księcia pokryło się lekkim rumieńcem. W minutę później sędziowie już zasiedli przy stole i czekali zjawienia się Beli. Pod wartą czterech żołnierzy, rozbrojony, w paradnym mundurze, stanął on o kilkanaście kroków przed stołem. Galaviczini zapalił cygaro i usiadł na kamiennych schodach, prowadzących na pierwsze piętro budowli stojącej po za sędziami. Ja oparłem się o mur i stałem naprzeciw sądu. Czterech huzarów na koniach zajęło miejsce w odstępach kilku kroków za Czákwarem. Chwila ta była nad wszelki wyraz przykra. Położenie sędziów tak zaś było

bolesnem, w obec wyroku który z góry znali, iż żaden z nich nie podniósł wzroku na Bełę, imponującego spokojem i prostotą. Andrassy zaczął czytać krótki i jędrny protokół.

Lektura ta nie trwała dłużej nad dziesięć minut, a streszczała doskonale cały charakter zbrodni.

— Czy nic nie masz Belo Czákvar — zapytał przewodniczący — do zarzucenia temu protokółowi?

— Nic!

— Czy nie masz czego do podania na twoja obronę?

— Nic!

— Czy przyznajesz się do zabicia porucznika Gyuli Redödy'ego?

— Nie!

— Czy nie potrafisz nam wytłomaczyć okoliczności, że przy zabitym nie znaleziono broni?

— Nie!

Generał ruszając ramionami, zwrócił się do pułkownika i szepnął:

— Tu nic więcej niema do czynienia.

Wtedy pułkownik zwrócił się do Czákvara i zapytał:

— Czy nie zdecydowałeś się pan wyjawić nam treści twojej rozmowy z Redödy'm, po której, jak twierdzisz, tenże sam sobie życie odebrał?

— Nie!

Pułkownik umilkł na znak, że zakończył badanie. Wszyscy siedzieli w milczeniu,

to spoglądając po sobie, to ukradkiem rzucając wejrzenia na Czákvara.

Widocznie

zwlekali. Generał przewodniczący jeszcze raz szepnął:

— Tu nic niema do roboty...

— Nic! — mruknęli w odpowiedzi jednogłośnie trzej sędziowie.
Wtedy zerwał się sędziwy wojskowy z krzesła, i jakby wykrztusił z siebie fatalne

słowo:

— Rozstrzelać!

Sam zbladł i jakby zdrętwiał. Nagle ocknął się i zawołał drżącym głosem:

— Panie pułkowniku! Racz zakomenderować. Zdaję na ciebie wykonanie wyroku...

Ruszyli się wszyscy z miejsc. Ja stałem, wlepiając wzrok w każdego z nich.

Galaviczini palił z niepojętym spokojem cygaro, a pułkownik zdawał się być

zupełnie obojętnym na wszystko.

Generał zrobił kilka kroków naprzód, ale przystanął zwracając się jeszcze do

pułkownika, którego obojętność zdawała się go dziwić.

— Panie pułkowniku, wyrok ma być wykonany natychmiast.

Pułkownik wtedy zwrócił się do Andrassy'ego.

— Zakomenderuj oddział... — szepnął.

W tem dał się słyszeć huk, jakby pochodzący od armatniego wystrzału, danego

gdzieś niedaleko. Generał zbladł.

— Co to? — pytał w zdumieniu.

Nikt nie odpowiadał. Wszyscyśmy stali jak wryci i spoglądali po sobie,

zapomniawszy o Czákvarze, o wszystkim.

Drugi strzał rozległ się jeszcze głośniej.

— Co to? — zawołał generał — co to? panowie... nie... rozumiem...
Spojrzałem na Galavicziniego, który dalej palił cygaro.

— Co to jest? — zapytałem go.

— Nie wiem! — odparł — wszystko mi to jedno. Czy sądzisz, że depesza

nadejdzie?...

W tem rozległ się trzeci strzał. Wtedy dopiero generał krzyknął.

— Alarm! Alarm!

Jak szalony wybiegł z koszar i dopadł swego powozu. Pułkownik dosiadł konia. Kto

żył śpieszył do swego oddziału. W jednej minucie na podwórzu zostałem ja sam z

Belą. Galavicziniego nawet nie było, ani huzarów pilnujących skazańca.

— Cóż to być może? — zapytał obojętnie Czákvar.

— Alarm w stanie oblężenia... — bąknąłem — coś nadzwyczajnego.

W kilka minut później cała załoga była pod bronią. W mieście huczało od

pędzących na stanowiska armat, dudniało od kopyt końskich. Soubor cały był w

trwodze.

Jeszcze upłynęło kilka minut, a koszary były zupełnie puste.

Dolatywały tu tylko

zdala, szum, krzyki i sygnały wojskowe.

Oprzytomniałem. Przecież i mnie wypadało już być na koniu.

Chciałem wybiedz, gdy mi naraz przyszła dziwna myśl.

— Belo! — zawołałem. — Ten alarm, zdaje mi się, to może dzieło

Galavicziniego,

abyś mógł uciec. Przecież nieprzyjaciel nie zbliża się pod bramy miasta...

— Żartujesz — szepnął obojętnie Czákvar. Rozważywszy, nie wiedziałem sam, czym

do rzeczy mówił.

— Uciekaj ! — krzyknąłem.

Bela ruszył ramionami. Sam nie mogąc dłużej przy nim pozostać, wybiegłem na

miasto. Pusto już było na ulicach, jakby po zarazie; głucho, jak w nocy. Sklepy

pozamykano. Mieszkańcy schronili się do piwnic, oczekując lada chwila wejścia

Turków, czy powstańców. Tylko zdala, z improwizowanych fortów i redut,
przeszywał powietrze w tej grobowej ciszy, szcęk żelaza i stali, huk zaciąganych na stanowiska armat i przeróżne innych rodzajów broni sygnały.
Już ani jednego nie znalazłbym w mieście żołnierza. Już oddział mój dawno
poprowadził wachmistrz na szerokie od granicy błonie.
Dobłem się do mojej kwatery, gdzie zastałem list zaadresowany obcem mi pismem.
Pochodził on od Titäi i brzmiał:
"Wyjeżdżamy do Pesztu, gdzie oczekiwać będę wiadomości o losie Czákvara. Nie
zwlekaj pan z nią, proszę. "
Rozśmiałem się.

— Będzie rozstrzelany! — szepnąłem przez zęby i rzuciłem się na sofę z takim
chaosem w głowie, pochodzącym z tych różnorodnych wrażeń, iż
czułem tylko
potrzebę wypoczynku.
Nawet mi nie dolegała okoliczność, że ze wszystkich sił zbrojnych nagromadzonych
w Souborze, ja sam jeden, prócz kilku inwalidów w szpitalach, bawiłem w mieście.
Nie intrygował mnie też ten alarm, nie mogący być niczem innym, tylko zwiastunem
jakichś nadzwyczajnych i przez nikogo nieprzewidywanych ruchów od granicy
Bośni.
Wszystko mi było obojętne, dlatego może, że Bela musiał być rozstrzelanym, że
nie było dla niego ratunku — a w najlepszym razie, w zamianie przez monarchę
śmierci na dożywotnie więzienie, nie widziałem dla niego nic lepszego.

Co do mnie, wolałbym od razu zginąć, niż marnieć w jakiej fortecy węgierskiej.

Cisza panująca w ruchliwym zwykle i pełnym życia mieście, nasuwała mi tysiące smutnych myśli. Żałowałem Beli, że drugi raz jeszcze miał przechodzić ostatnie straszne chwile przedśmiertne.

XV.

O czwartej po południu zaczęło miasto powoli się zaludniać.

Mieszkańcy

wychodzili ze swych nor, a wojska powracały na stanowiska.

Postanowiłem nie opuszczać mojego mieszkania, a to głównie z obawy nie

dowiedzenia się, że wyrok na Beli został wykonanym.

Kwatera moja leżała opodal koszar, w których przebywał Bela. Co chwila

nad słuchiwałem odgłosu, podobnego do tego dziwnego i złowieszczonego huku, jaki

wydają wystrzały równoczesne z kilkunastu karabinów.

Nad wieczorem dopiero wszedł do mnie rotmistrz, zmęczony, ale pogodniejszy i już

spokojny. Rzuciłem się ku niemu, jak ku wybawcy. Nie

potrzebowałem go o nic

pytać, bo sam zagadnął — Bela ocalony!.. Gdyśmy powrócili z tej niepospolitej

komedyi, zastał już komendant depeszę... Cesarz wstrzymał wykonanie wyroku... A

więc może się to wyjaśni... Zawsze jednak życie lepsze od śmierci, jak mówią ci

którym ona zblizka zajrzała w oczy...

Milczałem, a księżę dalej ciągnął:

— Gdyby nie ten alarm, byłoby wszystko stracone. Bela byłby już trupem. Lśniący

huzar pierwszy, byłby w pułku rozstrzelany... Wiedziałem że depesza
przyjść na
czas nie mogła... Wczoraj nie wie-

rząc by Czákvar nie zdołał się uniewinnić, na wysłanie jej się
zdecydowałem...

Ten alarm nas wybawił... Jabym był chyba nie przeżył śmierci Beli...

Byłem

zdecydowany w takim razie łeb sobie roztrzaskać...

— Ale któż wywołał ten alarm? — zapytałem.

— Nikt nie wie — prędko odparł rotmistrz — będzie z tego powodu
śledztwo... Ja

sam...

Urwał, ale że mnie wysoce zaciekawił, prosiłem go usilnie o

wytłomaczenie mi

tego niebywałego prawie wypadku.

Galaviczini mówił:

— Jak wiesz, w stanie oblężenia co trzy dni komendant wydaje hasło,
które jest w

czasie wojny osią obrotną wszystkich tajemnych działań. Hasło to
nikomu nie może

być znanem, prócz osobom powołanym w tych dniach do

najważniejszych funkcji.

Dzisiaj winni je byli znać tylko: komendant Souburu, dowódca baterii

spełniającej misję pieczy nad miastem, oficer będący dyżurnym

komendantem służby

patrolowej i wywiadowczej. Żołnierz prosty, przychodzący do

jednego z nich z

tajemniczym słowem na ustach, wywołuje odpowiedni skutek jak dziś

— alarm!

Niedyskrecja co do hasła, jest karana śmiercią w czasie wojny...

— Cóż więc dziś będzie? Kto się dopuścił zdrady? — zawołałem.

— Niewiem! — odparł Galaviczini — śledztwo wykaże...

Obserwowałem jego fizyognomię, ale ta mi nic

stanowczego nie mówiła. Mimo to, księcia uważałem za sprawcę
zamięszania, bo
inaczej nie mogłem sobie wytłomaczyć cudownego zbiegu
nadzwyczajnych
okoliczności, odraczających rozstrzelanie i wybawiających Czákvara.
Ale jak on
posiadł hasło? jak je zużytkował? Pytać go więcej nie śmiałem,
domyślając się iż
to będzie na długo, jeżeli nie na zawsze, jego tajemnicą.
W kilka dni później przewieziono Belę do głównego fortu w Peszcie,
w którym się
znajdowało więzienie dla wojskowych.
W mieście od czasu wyjazdu Teschanji'ch ucichło. Świeża zbrodnia
wywołała
wrażenie, które wesołemu Souborowi inny zupełnie nadało charakter.
W pułku
naszym zapanował nieopisany smutek. Ubytek w nim dwóch
lubionych, najweselszych
i najpiękniejszych Madziarów, przypominał co moment każdemu, że
lśniący pułk już
nie miał prawa szczycić się ze swej dżentelmeńskiej nieskazitelności.
Jedni boleli nad wypadkiem, inni na nim cierpieli. Nikt nań nie
pozostał
obojętnym. Najwięcej zaś go opłakiwał Gralaviezini, będący jako
poeta, duszą
chwały i sławy czwartego pułku, będący osobistym przyjacielem
dwóch znikłych na
zawsze oficerów, patrzący na wszystko z odrębnego i wzniosłego
stanowiska.
W Souborze już czwarty pułk nie kipiał życiem, ani nie szumiał
wesołością.
Opuściliśmy miasto to w jesieni, i powracali

znów przez puszcę Kecmecką, która nam się wydała smutną i
grobową nad wszelkie

pojęcie.

Abugörö tylko na którym jechałem, rżał żałośnie, jakby nawołując swe stado.

Wyszliśmy z Pesztu przed pięcioma miesiącami, nucąc hulaszczą piosnkę.

Wracaliśmy także w komplecie ludzi i koni, ale bez Beli i Gyuli.

Powracaliśmy z nabytkiem z cichej puszczy Kecmeckiej, złotym Abugörö ulubieńcem

pułku, który sam tylko szlachetnym wzrokiem zdawał się mówić, że znał tajemnicę,

jaką każdy z oczu jego wyczytać pragnął.

Ile razy się do niego zbliżałem, szlachetny zwierz spoglądał na mnie łagodnie i

odwracał się roztwierając chrapy, jakby wietrząc swego pana, Bełę Czákvara.

On jeden w pułku jeszcze na niego czekał.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Część druga.

VI.

Rozkwaterowaliśmy się w Peszcie.

Niema wrażenia, któregooby czas powoli nie zacierał. To też i w czwartym pułku

zapomniano powoli o tragicznym końcu Beli i Gyuli. Na nowo ogarniała wesołość

łśniących huzarów i wkrótce zakipiało życie wśród nas.

Po upływie pół roku od dnia, w którym nami wstrząsnęły szczegóły katastrofy,

mało kto w pułku i rzadko kiedy przypomniął sobie Gyulę i Bełę.

A ten przecież znajdował się w Peszcie, w ciemnym więzieniu koszar zwanych

fortem Ś-go Szczepana, przeznaczonem dla wyjątkowych przestępców, którym kodeks

karny zdzierał epolety...

Nie widziałem go, ani ja, ani Galaviczini. Monarcha bowiem polecił na nowo

roztrzasnąć sprawę i podczas trwania wznowionego śledztwa, niewolno było nikomu

komunikować się z oskarżonym.

Okoliczność ta wiele wpłynęła na to, iż rychło czwarty pułk zapomniał żyjącego

oficera, będącego od lat kilku jego ozdobą. Zresztą nie wszyscy podzielali

zapatrywanie moje i rotmistrza. Oficerowie mniej za-

żyli z Czákvarem, znający go tylko jako wyjątkowo gorącej krwi Węgra, kładli tę

zbrodnię na karb jego młodego wieku, zbyt żywego temperamentu, roznamiętnionego

kokieteryi Titäi. Zapewne, że żaden z nich w głębi serca nie uważał Belę za

prostego mordercę, ale każdy go zaliczał do szeregów tych nieszczęśliwców,

którzy zaślepieni namiętnością, popełniają w szale czyny straszne.

Jeśli jednak wolno było wszystkim zapomnieć o nim, to nie mnie. Ja posiadałem

jedyną spuściznę po Beli, Abugöra z Kecmeckiej puszczy, który mi go codzień

przypominał, który codzień choćby na jedną chwilę zasępiał mą duszę losem

przyjaciela i suszył mą głowę dziwną tegoż tajemnicą.

Nie zapomniał też o koledze i Galaviczini, ten człowiek wzniosłego serca.

Raz wreszcie, a było to po upływie więcej niż pół roku od powrotu naszego z

Souboru, wszedł do mnie książę i odrazu tak zagadnął:

— Proces Beli ukończony... Śledztwo nie wykryło nic nowego... nic!

Adwokat

Czákvara miał na myśli wezwanie przed kratki sądowe panny
Teschanji. Myśl to
była genialna! ale ją stanowczo odrzucił... Bela i...
Tu, zdawało się, powstrzymał go rodzaj dławienia w piersi i
dokończył z trudem.
— Przepadł!.. Przepadł na wieki. Skazany na dożywotnie więzienie...

Umilkł, pomyślał chwilę i podchwycił zupełnie już innym, jędrnym i
potoczystym
tonem.

— Drogą wyjątkowej protekcji, którą i ja miałem i na którą
zasługiwał charakter
nieszczęśliwego zbrodniarza, uzyskałem dwie łaski. Pierwsza jest
pozwoleniem
udzielonem dla jednego z oficerów czwartego pułku, odwiedzania raz
na miesiąc
więźnia. Druga polega na tem, że go ruszać z Pesztu nie będą.
Tu wyjął z pugilaresu kartkę i ciągnął:
— Oto jest bilet wydany na cały rok z góry, za którym warty fortu Ś-
go Szczepana
wpuszczą raz na miesiąc w dowolnym dniu i godzinie, oficera
czwartego pułku.
Winien on tylko kartę tę przedstawić w zarządzie i zameldować swoje
nazwisko,
mogące być coraz to innem. Z karty tej jednak będziemy
prawdopodobnie my dwaj
tylko korzystali... Oddaję ci ją. Ja bowiem tylko wtedy odwiedzę
Czákvara, gdy
mnie widzieć zapragnie. Ty jesteś mu bliższym wiekiem i przyjaźnią.
Z tobą
będzie się mógł wygadać i w towarzystwie twem znajdzie niejedno
wspomnienie.
Więcej nic uzyskać nie mogłem... Z czasem może się jeszcze da co
wrobić...
Posmutniał i westchnął, mówiąc:

— Serce się ściska na myśl, że w dwudziestym czwartym roku życia można być

pogrzebanym na zawsze.

Umilkł i opuścił głowę na piersi. Długo milczał, by po chwili znów się odezwać:

— I taką potworną społeczną zbrodnię, taką

zbrodnię obliczoną na długie lata może, spowodował uśmiech kobiety?

— Więc ty ciągle jesteś przekonany — zawołałem — że Bela jest niewinnym?

— Ciągle!

— I przypuszczasz zawsze, że w mocy Titäi było ocalić mu życie?

— Wiem! — zawołał ponsowiejąc i zrywając się Galaviczini. —

Wtedy w Souborze,

gdyś powrócił od panny Teschanji, ja do niej pobiegłem. Zastałem ją odchodzącą

od zmysłów... Wtedy...

Urwał, a ja pożerany ciekawością, czekałem. Książę zaczął chodzić po pokoju i

zdawał się ważyć, czy mi może znów jakąś tajemnicę powierzyć.

Nagle przystanął i

zawołał:

— Mogę ci opowiedzieć historią tej nocy, jeśli mi dasz słowo honoru... Nikt znać

jej nie może prócz ciebie i Beli... — podchwycił i ciągnął. — Otóż wtedy gdy

jej przedstawił, że Bela musi być rozstrzelany, rozbudziła się w tej istocie

kobieta nasza, z kilkoma kroplami żywej węgierskiej krwi w żyłach, z fantazją i

odwagą. Ale kobieta jest kobietą. Powiedziała mi jedno tylko i to jedno

wystarczało. Powiedziała mi że Czákvar nie zabił Gyuli. Ale...

— Ale?

— Ale, aby ocalić życie Beli, gotową była raczej jadowitego węża przyłożyć do piersi, niż się przyznać do jednego z tysiąca kobiecych, na Wschodzie surowiej niż u nas, sądzonych wybryków. Nie przyznała się do

niczego, dowodu mi nie dała żadnego. "Ja nic nie mogę, " powtarzała, wijąc się w rozpacz. Ona nic nie mogła. Ona nie mogła — zawołał donośnym głosem, ożywiając się książkę — rzucić na siebie cienia podejrzenia, ale mogła...

— Co mogła? — podchwyciłem, widząc że rotmistrz urwać zamierza, jak się też i stało.

— Co mogła? — powtórzyłem.

— Co ona mogła! — zastniął się książkę i spytał wpijając swój wzrok we mnie. —

Czy myślisz, że ocalenie fortelem życia Beli, było możliwem bez współudziału

kobiety? Czyś słyszał kiedy, by "hasło" zostało zdradzone komu innemu, niż

kobiecie? Myśl była moja, ale wykonanie nigdyby mojem nie było.

Wiedziałem, że

telegram nie mógł dojść na czas. Przedstawiłem to Titäi i

przedstawiłem jej

wtedy mój bajeczny plan. Jeśli sobie przypominasz, to równocześnie z Belą i

Gyulą nadskakiwał Titäi, podstarzały, ale gorącej krwi człowiek, generał

Festiczy...

— Pamiętam...

— Otóż, gdy Titäa. dowiedziała się, że w mym planie znajomość hasła, opóźniając

wykonanie wyroku, ocali życie Beli, niedługo się namyślała. "Panie

— rzekła do

mnie — o czwartej rano, dziś w nocy, staniesz pod tarasem, przy
skrajnym filarze
i usłyszysz słowo, ci potrzebne." Gdybyś był ją widział wtedy, jak
błyszczały
jej oczy, jak była piękną. Ona ocaliła Belę!

Galaviczini urwał, ale i we ranie zamiast krwi nie mleko płynęło.
— Słuchaj! — ryknąłem, przyskakując do przyjaciela i chwytając go
za bary —
jeśli myślisz nie dokończyć, jeśli...
— Czekaj! — zawołał książę. — Mówię do ciebie, jak do grobu. Otóż
wtedy stanąłem
na stanowisku i widziałem wśród ślicznej nocy, o trzeciej rano, czarny
cień
wsuwający się z ulicy do pałacu Teschanji'ch. Cień lekki, cień jakby
kobiety
okrytej czarnymi koronkami i czarnym woalem... W chwilę później,
usłyszałem
szelest w roślinach, wijących się od ziemi ku balustradzie. Szepnąłem
"Jestem" —
a głos stłumiony, drżący i melodyjny, odparł jedno dziwne słowo,
które brzmiało:
"Huruha, " a które nazajutrz mogło zelektryzować miasto i
kilkunastotysięczną
armię... Ona ocaliła życie Beli.
— A więc — zawołałem — chyba go kochała?
— Nie wiem — odparł książę i dodał — każda kobieta jest zagadką, a
taka Titäa
tembardziej. Oto wszystko! Gdy się Bela spyta, jakiej cudownej
okoliczności
zawdzięcza życie, to mu opowiedz tę historię, która mu może w jego
samotności da
wątek do pocieszających myśli, czy marzeń...

XVII.

Nazajutrz udałem się do Czákvara.

Zastałem go bardziej przygnębionego, niż wtedy w Souborze, na kilka minut przed

wykonaniem wyroku.

Widocznie myśl o dożywotnim więzieniu, była mu straszną.

Błady i znękany, sprawiał wrażenie bolesne. Książki i dzienniki, które drogą

protekcji otrzymywał, nie przynosiły mu żadnej ulgi.

— Nie czytam ich — mówił. — W mojem położeniu najlepszym jest stan pewnej

zwierzęcej ociążałości. Teraz dopiero rozumiem zwierzęta na uwięzi, nie umiejące

mówić, i czekające tylko godzin udzielania im strawy, jedzące i śpiące naprzemian...

Milczałem, bo mi się serce krajało.

Gdy mu opowiedziałem powierzoną mi przez Galavicziniego tajemnicę jego ocalenia,

Czákvar słuchał z widocznym zaciekawieniem. Gdym skończył jednak, nie odezwał

się ani słowa i czekał, abym mu dalej jak dzieciakowi opowiadał.

Ja opowiadać nie mogłem. Bałem się bowiem, by słowa moje nie obudzały w nim

jeszcze większej rozpacz.

Nabierałem w ciągu tej piewszej wizyty pewności, że jeśli nie zajdą jakieś

cudowne wydarzenia, do-

stanie oblędu. Jeśli chętnie otwierał usta, to tylko wtedy, gdy mógł mówić o

możliwości opuszczenia fortu Ś-go Szczepana.

Opowiadał mi, cytując nazwiska, jak raz podobny do niego skazaniec, został po

roku uwolnionym przez amnestyę. Drugi siedział rok tylko, gdyż odkryto

nieprzewidzianie, nowe, obalające jego winę dowody. Inny
zwaryował i
przeniesiono go do domu zdrowia, gdzie już pozostał na zawsze.
Korzystając z tego chwilowego usposobienia przyjaciela, zapytałem
go:

— Czy zawsze przypuszczasz, że Titäa miałyby środki uwolnienia
cię?..

— Sądzę — odparł Czákvar — a dziś więcej, niż kiedykolwiek. Jeśli
wtedy zdolna

była do tego co uczyniła, by mi ocalić życie, to dlatego tylko, iż się
poczuwała

do pewnych względem mnie obowiązków.

— A przypuszczasz, by Titäa się w tobie kochała?

— Nie wiem! Wątpię...

— A więc na czym opierasz twoje wnioski?

— Na tem — odparł spokojnie — że mojem przekonaniem pismo to,
które zwilżyło

pióro Gyuli przed śmiercią, przeznaczonem było dla Titäi...

— Gdzież się ono podziało?

— Nie Wiem — odparł obojętnie i ożywił się zaraz. — Ale wiem że
pisał, że musiał

pisać między mojem wyjściem od niego a wystrzałem.

— Masz na to dane?

— Mam! Papier, pióro i atrament nie leżały, gdym był u niego, na tym
stole, na

którym je zastano...

— Wspomniałeś o tem w zeznaniach? Czákvar ruszył ramionami.

— Po cóż?

— W takim razie ktoś usunął to pismo i pistolet — odparł Bela.

— A czy Gyula nie mógł ograniczyć się tylko na zamiarze pisania?

— Zapewne... — odparł Czákvar — ale przypuszczenie to mniej
wytrzymuje krytykę,

niż moje.

— Dlaczego?

— Bo jeśli ktoś usunął pistolet, to mógł usunąć i pismo. Bo jeśli Gyula coś palił, to mógł i coś pisać...
— Palił więc nie przy tobie?
— Nie przy mnie.
Mogliśmy mówić bez końca, nie dochodząc do żadnych wyników. Stan jego zaś tak mnie zasmucił, że postanowiłem jeszcze udać się raz do Titäi i może coś uzyskać, przedstawiając jej los Beli. Gorączkowo nad tem wszystkim myślałem. "Wreszcie obracając się ciągle w tem błędnem kole, zapytałem:
— Sądziś więc, że Gyula napisał do Titäi?...
— To mi podszeptuje instynkt.
— Że napisał, iż sobie sam życie odbiera?
— Cóżby innego w takiej chwili mógł pisać?
— I onaby tego dokumentu nie pokazała? Czákvar ruszył ramionami.
— Nie wiem! nie wiem! — odrzekł zmęczony. —

Sądziłem że ten dokument, jeśli był, ona zataiła, bo ją kompromitował, ale w takim razie, cóżby ją znów skłaniało do kroku, którego był świadkiem Galiviczini?... Nie mówmy o tem. Ja nie wiem! Ja nic nie wiem! Dajmy pokój temu.
To wszystko już przepadło... stało się... Bela westchnął.
— I to on wszystkiego narobił, Abugörö!
— Więc to ty czy Gyula, uparliście się przy tej kobiecie tylko dla postawienia na swoim? — zapytałem zdziwiony.
— Nie wiem! On ją kochał... Ja... — urwał i podchwycił: — Mnie się podobała, ale zajęty nią byłem jeden dzień tylko, i to ten właśnie, w którym się dramat rozegrał. Ha! gdybym ją był kochał od początku!..
— To?
— Toby może do katastrofy nie przyszło...

— Dlaczego?

— Proszę cię, nie mówmy o tem. — Umilkł i znów zagadnął. —

Rzecz dziwna! Tyle mi

złego wyrządziła, tyle... I ja żalu do niej nie czuję... Zdaje mi się, iż
gdyby

stała tutaj... to bym...

Urwał nagle. Policzki mu nabiegły krwią, oczy zabłyszczały. I długo
w tym stanie

pozostał. Obudził się z zadumy dopiero, gdy musiałem go opuścić, bo
zegar

zwiastował godzinę, o której zamykano bramy więzienne.

— Na przyszły miesiąc — mówił — proś Galavicziniego, by

przyszedł. Niechże mu

podziękuję...

Ciężkie drzwi zamknięto, jeszcze nie uszedłem kilku kroków, a już je
rygłował na

łańcuchy i żelaza dozorca tych nieszczęśliwców, między którymi był
pożałowania

godny — Czákvar!

XVIII.

Minęło kilka miesięcy. Czwarty pułk dalej pozostawał w Peszcie, a

Bela w

więzieniu.

Nadchodzący karnawał zapowiadał się wyjątkowo świetnie, z powodu
licznego

napływu obcych żywiołów, szczególnie z prowincyi południowych.

Próbowałem udać się jeszcze raz do panny Teschanji, ale jej w żaden
sposób

odnaleźć nie mogłem. W Serajewie wiedziano tylko, że rodzina ta
bawiła za

granicą, a Galaviczini zkądciś się dowiedział, że Teschanji'owie mieli
zamiar

zupełnie wyemigrować z Bośni. W tym celu nawet posprzedawali swe majątki i domy w Serajewie i Bajaluce.

Na jednym z pierwszych balów owego karnawału, dziwne zaszły okoliczności.

Był to bal u hrabiny Erdödy, żony byłego oficera czwartego pułku, generała i naszego dywizyonera.

Naturalnie otrzymaliśmy wszyscy jak jeden, zaproszenie na ten bal, rozpoczynający karnawał.

Wszedłszy do salonów, zastałem w nim jeszcze bardzo mało osób, ale znajdował się

już Galaviczini, którego nie widziałem od kilku tygodni.

Skoro tylko mnie zobaczył, podszedł do mnie.

— Byłeś u Beli? — zapytał.

— Byłem temu trzy tygodnie.

— Jakże?

— Nic nowego. A co? — zapytałem, widząc rodzaj zaniepokojenia na jego obliczu.

— Wystaw sobie — mówił, chwytając moje ramię i wprowadzając mnie do dalszych

salonów — otrzymałem przed trzema tygodniami list... anonim z Wiednia, proszący

usilnie i nagląco o wiadomości o Czákvarze. Osoba ta chciała wiedzieć, czy Bela

pozostanie w Peszcie... a przytem dopytywała się o niektóre szczegóły.

— Odpisałeś naturalnie?

— Odpisałem jak najdokładniej, zachodząc w głowę, ktoby to niepodpisanym listem

żądał odemnie informacji... W kilka dni później wypadła mi bytność w Wiedniu...

W operze na dworskim przedstawieniu, w loży pierwszego piętra, poznałem

Teschanji'ch... Nie wiem czy mnie Titäa nie poznała? czy mnie
widzieć nie
chciała? Dość, że przez cały czas trwania przedstawienia, nie spojrzała
w moją
stronę, jakby

umyślnie, lecz przeważnie zasłaniała się wachlarzem... Przypuszczam
więc...

— Że Titäa była autorką anonimu? — dokończyłem.

— Nie inaczej.

Salony się napełniły, muzyka już przygrywała, tańczono, a my jeszcze
siedzieliśmy w saloniku i gwarzyli.

Wtem jakby przypadkiem, wsunęła się do tej komnaty sama
gospodyni domu.

— Panowie tutaj? — zawołała — nie byliście obecni wejściu osoby,
która będzie

królową tegorocznego karnawału? Jest uroczą — i ja sama...

— Któż to taki? — wtrącił książę.

— Jakto? Nie wiecie nawet, że już od kilku dni bawi w Peszcie taka
piękna

kobieta? Nie poznaję lśniących huzarów... Nie poznaję cię
rotmistrzu...

— Doprawdy nic nie wiem... Hrabina ciągnęła.

— Ta osoba nazywa się Titäa Teschanji.

— Ona! — zawołał rotmistrz bledniejąc.

— Znasz ją?

— Znamy ją obaj! — podchwyciłem.

— Zkądże? — pytała hrabina — to rodzina z Serajewa, zamierzająca
osiedlić się w

Peszcie. Pani Teschanji jest...

— Znamy ją! znamy całą rodzinę! — podchwycił książę i zmierzył ku
salonom.

Hrabina szła ze mną. Opowiedziałem jej więc

w jakich okolicznościach poznałem nową gwiazdę peszteńską, zanim doszliśmy do sali balowej.

Coprawdę precisiłem się przez tłum i stałem przed panną Teschanji. Nie

zdziwił ją mój widok, owszem zdawała się mnie oczekiwać.

— Spodziewałam się zastać pana tutaj — szepnęła.

— Pochlebia mi to niewymownie — odparłem — żeś pani wogóle zatrzymała mnie w pamięci.

— Jakżeby mogło być inaczej. Mundur, który pan nosisz, zarysował się na jednej karcie mego życia zbyt wyraźnie.

Te słowa napęliły mnie taką radością, iż na razie niezręcznie zamilkłem. A

więc, Titäa sama przypomniała przeszłość i upoważniała mnie tem samem do

mówienia o niej. Trzeba było z taką jak panna Teschanji kobietą, kuć żelazo póki gorące.

— Jeśli tak — podchwyciłem — to jestem szczęśliwy, że ten mundur noszę. Pozwoli

mi on z panią spędzić niejedną zapewne miłą chwilę...

— Czy miłą? — zapytała Titäa. — Sądzę, że nie... Zobopólnie przypominać sobie

będziemy... — urwała i kończyła swą myśl. — Ale we wspomnieniach, nawet przykrych, jest coś rozkosznego.

— Zapewne... — odrzekłem, a Titäa ciągnęła już innym, sztucznie ożywionym tonem.

— Przybyliśmy na dłużej do Pesztu... Pan także tu spędzisz zimę?

— Tak pani!

— Jestem w usposobieniu, w którym mi są pra-

wie wstrętne nowe znajomości... Cieszę się że pana spotkałam... Do kolacyi

ofiarujesz mi pan swoje ramię.

— Uszczęśliwiasz mnie pani...

— Jesteś pan un faiseur de compliments... Ja niedbam o nie... Ja mam z panem do pomówienia o wielu rzeczach.

— Jeśli są one tej samej treści, jak te o których i ja pragnąłbym z panią...

Titäa przerwała poważnie.

— Ja chcę pomówić z panem.. — urwała, poczerwieniała i szepnęła

— o naszym

nieszczęśliwym przyjacielu.

— O Czákvarze?

— Na Boga! — zawołała bledniejąc panna Teschanji — nie mów tak głośno... Oddal

się teraz... Nie zwracajmy uwagi. Będziemy najlepszymi przyjaciółmi w ciągu tej

zimy, ale dla oczu ludzkich trzymajmy się zdala...

Widziała że jej nie rozumiem — i wstając by się oddalić, szepnęła z właściwą

tylko kobietom Wschodu tajemniczością:

— Mam swój cel w tem...

— Co ta kobieta knuła? Czy może i mnie, rozmawiając o Beli, zamierzała w swą sieć uwikłać?

Doznawałem przez chwilę uczucia przestachu.

Mimo to czekałem niecierpliwie kolacyi, która mnie znów do tej, co chwila

bardziej tajemniczej a tem więcej czarującej kobiety, miała przybliżyć.

XIX.

Titäa nie zwierzyła się przedemną, ale niezawodnie dowiedziała się odemnie

wszystkiego co chciała.

Odtąd widywaliśmy się często, nietylko na zebraniach w wielkim świecie peszteńskim, ale i w domu jej rodziców. Inna to była już kobieta. Pozbawiona w swym otoczeniu wschodnich zwyczajów i dekoracyi, sprawiała odmienne wrażenie. O ile w Souborze Titäa orientalnie ubrana, wśród dywanów, palm i wachlarzy, robiła wrażenie sułtanki apatycznej, o tyle teraz na tle europejskiego otoczenia, wydawała się namiętą; energiczną blaskiem oczu i wyrazistością rysów, kobietą. Panna Teschanji peszteńska, była o wiele więcej czarującą od souborskiej Titäi. Ileż razy żałowałem, że jej takiej widzieć nie mógł nieszczęśliwy Bela; ale on nawet nie wiedział, że Titäa jest w Peszcie. Tego dnia miałem spędzić wieczór w więzieniu Ś-go Szczepana i cieszyłem się nadzieją tych odwiedzin — nie widziałem już bowiem przyjaciela od dwóch miesięcy, gdyż ostatnim razem odwiedzał go Galaviczini. Cieszyłem się tem więcej, iż miałem mu coś do powiedzenia o Titäi. Zegarek mój wskazywał w pół do piątej, a o tej

właśnie godzinie miałem się udać do więzienia Ś-go Szczepana. Chodziłem po pokoju, czekając rychło-li usłyszę turkot dorożki, mającej mnie tam zawieźć. Niebawem powóz zatrzymał się przed domem. Spojrzałem na zegarek, było dopiero dwadzieścia minut na piątą. Zdziwił mnie ten pośpiech fiakra. Narzuciwszy płaszcz na ramiona, zbliżałem się do drzwi, gdy nagle usłyszałem szelest

jedwabiu i lekkie kroki... Zapukano gorączkowo.

— Entrez! — zawołałem.

Drzwi się otworzyły i wpadła do pokoju kobieta, cała w czerni, zawoalowana.

Stałem oniemiały. Kobieta ruchem szybkim odsłoniła woal.

Była to Titäa.

— Zamknij pan drzwi! — szepnęła blada i drżąca. Zrobiłem to natychmiast.

— Czy tu niema nikogo? — zapytała.

— Żywej duszy!

— Nikt nie nadejdzie?

— Nikt!

— Słuchaj pan!

Musiała odpocząć, tak ją zmęczyło wzruszenie. Po chwili zapytała:

— Pan dziś jedziesz do Czákvara?

— Tak pani! W tej chwili miałem to zrobić.

— Ja go muszę widzieć!

— Ależ to niepodobna!

— Wszakże wpuszczają za kartą, na której wypisane twoje nazwisko?

— Tak!

— Dozorcy więzienni nie znają pana?

— Nie!

— Kartę im zostawiasz?

— Tak.

— Gdy wchodzisz i wychodzisz, nikt cię nie zaczepia?

Nikt.

— A więc? — zapytała ostatecznie.

— Dobrze pani — podchwyciłem — ależ karta służyć może tylko dla oficera naszego pułku...

— Wiem o tem.

Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu, które przerwała Titäa, jakby budząc się z zadumy.

— Czasu do stracenia niema... Każda chwila jest droga... Daj mi pan
jaki swój

mundur... Dawaj mi pan mundur i nie trwoż się.

— Ależ pani! — zawołałem przerażony mniej projektem, niż jej
stanowczością —

zastanówże się, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz!

Titäa przerwała:

— Nie mów pan tak dużo. Ja muszę, muszę widzieć Belę! Ja dawno
ten projekt

uknułam, dla wykonania go zjechałam do Pesztu. Ja już umiem
chodzić w

mundurze... My córki Wschodu, umiemy mylić czujne straże, My w
kołysce już

słuchamy pieśni o przebiegłości kobiecej. Nie bój się. Ja pójdę i po-

wrócę. Nikt mnie nie pozna w przebraniu... Jestem tego pewną ! Dajże
mi pan

mundur... Czy się o siebie boisz? — zapytała ze śmiechem.

Pobiegłem do drugiego pokoju, aby przynieść to czego żądała.

— Mundur jest gotów — zagadnąłem powracając — ale jeszcze raz
ostrzegam... Jeśli

pani masz co do powiedzenia Beli, to wystaw sobie że jestem
głuchym niemową...

Jeśli chcesz go koniecznie widzieć, to zaczekaj. Może zdołam coś
wymyślić...

przekupić straże... zabezpieczyć cię...

— Nie! Ja dziś pójdę! Ja już dłużej czekać nie mogę: muszę widzieć
Belę...

Powiedzieć mu nic nie mam, ale widzieć go pragnę. Nie mogę być
zastąpioną... A

jeśli los zechce, bym... została schwytaną, to... to... staraj się pan, aby
wiadomości o tem nie doszły do moich rodziców... Teraz pozwól,
wyjdę do

sąsiedniego pokoju przebrać się.

Za chwilę powróciła ubrana po huzarsku, z szablą przy boku, otulona
w płaszcz z

podniesionym kapturem.

— Odwiesz mnie pan — rozkazała — fiakrowi polecisz, by od godziny dziewiątej czekał pod fortem... Jeśli o w pół do dziesiątej nie będę z powrotem, to znaczy że zostałam aresztowaną. Wtedy... działaj pan. Pojechałem do więzienia; podczas jazdy informowałem Titäę, jak ma się zachować wobec wart i straży. Gdy powóz się zatrzymał, Titäa wyskoczyła

i śmiałym krokiem poszła ku bramie; zauważyłem, że przechodząc obok szyldwacha, który sprezentował przed nią broń, odsalutowała najpoprawniej. Gdy przez trzydzieści minut żaden ruch nie zdradził nadzwyczajnego wypadku, kazałem się wieźć do domu i czekałem powrotu Titäi z obawą — pod wpływem której godziny wydawały mi się długie jak lata.

XX.

Titäa wówczas powróciła szczęśliwie ze swej awanturniczej wyprawy. Punktualnie o zapowiedzianej godzinie, przyjechała do mnie, zamknęła się w przyległym saloniku, przywdziała strój kobiecy i wybiegła. Od tego czasu upłynęło ze dwa tygodnie. Niecierpliwie oczekiwałem dnia, w którym mógłbym odwiedzić Belę. Panna Teschanji bowiem, jakkolwiek ją niemal codziennie widywałem, nie wspominała ani słówka o swej wizycie w forcie Ś-go Szczepana. Zdawało mi się, że cały ten ekscentryczny epizod był chyba snem, lub wytworem

fantazyi. Było mi bardzo przykro, że o tem co zaszło, nie mogłem mówić z Galaviczinim. Wprawdzie on powierzył mi również drastyczny epizod z życia Titäi, ale powierzył w pewnym

celu z ważnych pobudek i w chwili, gdy sądził że panna Teschanji była zjawiskiem, z którem żaden z nas już nigdy prawdopodobnie spotkać się nie miał.

Ja zaś nie widziałem dość poważnych powodów do wtajemniczenia rotmistrza w to, co się stało... Z tego powodu nawet wpadłem w kłopot, gdyż kłamać musiałem, ile razy mi się o to, lub owo dotyczące Beli, książkę wypytywał. Titäa nie przypuszczając nawet niedyskrecyi z mej strony, nie prosiła mnie ani razu o tajemnicę i nie obowiązywała do niej.

Nie wypadało mi nic innego czynić, jak cierpliwie czekać chwili, w której miałem odwiedzić Czákvara.

Na dwa tygodnie przedtem spotkałem się z Titäą na balu.

Skoro mnie tylko dostrzegła, nie umiała ukryć zadowolenienia.

— Panie drogi! — szepnęła — bądź łaskaw jutro przyjść do mego ojca i poproś go,

by ci wyrobił pozwolenie odwiedzania Czákvara raz na tydzień... Mój ojciec przez

swoje wysokie stanowisko... przez miliony... przez moją matkę wreszcie, ma

wyjątkowe wpływy w Peszcie.

— Wierzę — podchwyciłem — ale Galayiczini również silnie protegowany, pomimo

wszelkich starań uzyskał tylko pozwolenie raz na miesiąc...

Titäa uśmiechnęła się.

— Ja wiem co mówię... Wpływy księcia od wpływów mojego ojca są odmienne. Są

osoby wysoko

postawione, które mojemu ojcu odmówić tego, co zażąda, nie mogą.

Pan zaś możesz

o tem wiedzieć... Zamyśliła się i ciągnęła po chwili:

— Powiesz pan ojcu, iż przypuszczasz to widząc go w takiej przyjaźni z księciem

Tiszą... Przecież on wiele może...

— Zastosuję się do życzenia pani.

— Jutro?

— Jutro!

— Ja się postaram, aby ojciec nie zwlekał. Spodziewam się, że zaraz jutro to

pozwolenie uzyska, jeżeli będzie zdrowszy.

— Ojciec pani cierpiący?

— Nie! — odparła — ale on ma blisko ośmdziesiąt lat... W tym wieku jest się dziś

zdrowym, a jutro... — urwała i rozglądając się po salonie szepnęła: — oddał się

pan... zwracamy uwagę. W Souborze mogliśmy...

— Właśnie — podchwyciłem — intrygujesz mnie pani zmianą, jaka w tobie zaszła od

czasu pobytu w Souborze.

— Ha! w Souborze byłem swobodną... Bawiłem się. Nikt mnie nie śledził. Tu w tym

tłumie ciekawych, nie osoby mojej, tylko mojego posagu, jestem jak figura na

postumencie...

Usunąłem się. Rozmowa z Titäą otwierała mi nowe horyzonty.

Pierwszy raz

słyszałem o wpływie jej ojca, o którym wiedziałem tyle tylko, iż miał być bardzo

bogatym.

Stary Teschanji, któremu nigdy dobrze się nie przypatrzyłem,
zaciekawiał mnie.
Bywając w jego domu, nie znałem go prawie. Starzec skromny i
poważny w swym
sposobie zachowania się, znikał we własnym salonie. Mówił tak mało,
iż głosu
jego nie przypomiąłem sobie. Uważałem go za jedną z tych licznych
figur,
wyniesionych przypadkowo do wyżyn, w których się obracać nie
umiał. Dziś
dowiedziałem się, iż ten cudzoziemiec miał wpływ potężny w
urzędowym świecie
stolicy węgierskiej.
Zaintrygowany bardzo, postanowiłem odnaleźć starego Teschanji'ego
i przypatrzeć
mu się bliżej.
Znajdował się na balu i grał w karty w gabinecie, przy stoliku, przy
którym wraz
z nim siedziało trzech najmajętniejszych magnatów węgierskich.
Był to niski staruszek, o białej brodzie, a zmęczonem, choć bystrem
jeszcze
spojrzeniu. Na piersiach nosił gwiazdę jakiegoś tureckiego orderu, a w
butonierce znajdowało się kilka oznak orderowych. Przed nim leżał
stos
stuguldenowych banknotów, które rozdawał przegrawszy i gromadził
wygrawszy w tej
wyjątkowo grubej partyi, z zadziwiającą obojętnością. Ta obojętność,
z jaką
grał, wygrywał i płacił, imponowała. Nie było w niej pańskiego
lekceważenia
pieniędzy, ale widniała ta prosta, naturalna względem nich obojętność.
Długo wpatrywałem się w jego spokojne oblicze nic z niego wyczytać
nie mogłem.

Galavicziniego na tym balu nie było, ale dostrzegłem przy bufecie
Kardassy'ego,

raczącego się szampanem. Zbliżyłem się do niego i zagadnąłem:
— Powiedz mi, czy nie wiesz kim jest Teschanji?
— Miałbyś może zamiar starać się o jego córkę? — podchwycił huzar ze śmiechem —
nie radzę ci...
— Dlaczego?
— Wspomnij los Beli i Gyuli... Te miliony są drogie...
— Nic o nim nie wiesz? Mówią, że to ma być człowiek z wysoką pozycją nawet tu w Peszcie...
— Niewiem! Ma minę starego marudera... Więcej nic nie wiem.
— Ktoby mnie mógł tutaj poinformować?
— Każdy interesowany.
— Interesowany?
— Przecież cały Peszt stara się o rękę panny Teschanji.
— Cały Peszt?
— Nie inaczej — odparł i pobiegł do sali tańców. Nad ranem dopiero, z okazji, iż
sobie w salonach
opowiadano, jakoby hrabia Aponyi wygrał tejże nocy od Teschanji'ego sto tysięcy
guldenów, dowiedziałem się nieco szczegółów o tym zagadkowym dla mnie człowieku.
Teschanji był ex-wojskowym i ex-ministrem tureckim. Zdanie jego w swoim czasie
trzęsło całym Wschodem. Zrobił miliony na urzędach i przedsiębior-

stwach na wielką skalę, którymi jeszcze dziś nie pogardzał. Pochodził z wysokiej
bośniackiej arystokracji, a stosunki miał znaczne, nie tylko jako magnat, ale
jako człowiek, obdarzony najbystrzejszym sprytem w obrotach i pomysłach
handlowych, czy politycznych całego europejskiego wschodu. W młodości podróżował

wiele w różnych misjach i ztąd znany był u wszystkich dworów, a będąc człowiekiem wielce uczynnym i mając ku temu ciągle otwarte pole, wyświadczał przysługi najrozmaitszego rodzaju. Baron Hirsch jemu miał przeważnie zawdzięczać swoją kolosalną fortunę. Najbogatszego peszteńskiego bankiera on poprostu stworzył, w epoce, w której Węgry weszły w handlowe stosunki z tureckimi prowincjami. Słuchałem tych szczegółów zdumiony. Uśmiechałem się przed paru godzinami, gdy wspomniała o wpływie swego ojca, a pod koniec balu byłem pewny, że dzięki temu wpływowi, oplakany los mego przyjaciela może się znacznie zmienić na lepsze. Dla więźnia znaczyła wiele możliwość widywania kogoś z nas raz na tydzień- Comiesięczne wizyty rozdrażniały go tylko.

XXI

Nie przewidywałem, jakie konsekwencje będzie dla mnie miało pozwolenie odwiedzenia Czákvara raz na tydzień. Opowiedziałem mu co zaszło, a Bela słuchał z uśmiechem na ustach. Radość promieniała z jego oblicza. O przyczynę jej nie pytałem go, bo wiedziałem, że nie pochodziła ona tylko z nadziei widywania mnie, czy Galawicziniego u siebie co tydzień, a nie co miesiąc. Czákvara fizyognomię krasily te odcienia i barwy, które oblicze mężkie zmieniają nie do poznania. Bela kochał się w Titäi.

Czy się w niej kochał dawniej, czy teraz dopiero, wiedzieć nie
mogłem. Zagadka,
jaką to wszystko razem było, intrygowała mnie, ale o wyjaśnienie jej
również
pytać nie chciałem.
Czákvar rozmawiał ze mną o wszystkim, o kolegach, o pułku, o
świecie, jak gdyby
od tych żywiołów na krótki czas był tylko oddalonym, jak gdyby do
nich niebawem
miał powrócić.
Zmiana nagle zaszła w sposobie zachowania się i zapatrywania na
świat cały
przyjaciela mego, musiała wynikać z ważnych przyczyn.
Sądziłem, iż mnie Bela w nie wtajemniczy. On tymczasem wypytywał
mnie o tysiące
drobiazgów,

które nic a nic obchodzić nie mogą, człowieka, skazanego na
dożywotnie
więzienie.
Wspomniałem o Titäi.
Wtedy Bela wyciągnął do mnie obie dłonie i zawołał z wyrazem
wielkiej
serdeczności.
— Dziękuję ci... dziękuję...
— Nie masz za co — podchwyciłem. — Dołożyłem wszystkich
starań, by panna
Teschanji nie narażała się wtedy.
— Jednakowoż ustąpiłeś?
— Domyślałem się ważnych pobudek, powodujących ją, do tego
kroku...
— Nie omyliłeś się. Były one dość ważne, skoro mi życie
przywróciły...
Spojrzałem mu w oczy, on zrozumiał to spojrzenie rzekł:
— Daruj przyjacielu. Więcej ci nic nie powiem... Nie mogę... Niech ci
wystarcza

to, czego się domyślasz może...
— Ja się niczego nie domyślam...
— Tem lepiej... jeśli przyjdzie pora, to z pewnością będziesz pierwszym z tych, dla których tajemnica souborska przestanie być tajemnicą.
— To możliwe? — zawołałem.
— Czyż jest co na świecie niemożliwego?
— Titäa więc by miała dowód?... Bela znów przerwał.
— Niema go... nie wiem... Chciej zrozumieć, że jeśli nie mówię więcej, to dlatego, że mówić nie mogę...

Na tem skończyła się moja wizyta.
Czemuż ja z Galaviczinim mówić nie mogłem o tem wszystkim? Nic tak nie męczy, jak tajemnica, w której się czynną odgrywa rolę. Od roku wciąż brałem udział w dramacie, a nie wiedziałem dlaczego, z kąd brał początek i dokąd dążył. Jak zmiana w usposobieniu Czákvara nie była bez powodu, tak też i wizyta Titäi w więzieniu miała swoją rację bytu. To wszystko wiązało się razem w nieodgadniętą całość, której epizody odbierały mi spokój.

XXII.

Nieraz złorzeczyłem przyjaźni mojej z Czákvarem, narażała mnie ona bowiem na coraz większe niepokoje. Panna Teschanji nie poprzestała na pierwszej wizycie w forcie Ś-go Szczepana. Nieraz, na krótko przed chwilą, w której się miałem udać

do przyjaciela, a o której zawsze umiała się odemnie wywiedzieć,
wpadała do
mojego mieszkania, drżąca i blada, zakwefiona i szeptała stłumionym
głosem:

— Daj mi pan kartę swoją i mundur... ja dziś muszę widzieć
Czákvara...

Za każdym razem próbowałem wyperswadować i zawsze
ustępowałem. Ona wyjeżdżała do
fortu, a ja

zostawałem w domu, pogrążony w niepokoju i trwodze o nią, siebie i
Bełę.

Było to w końcu marca tegoż roku. Właśnie wybierałem się do
przyjaciela i
truchlałem, by w ostatniej chwili Titäa, która już kilka czwartków
ominęła, nie
zjawiała się niespodzianie.

Zwykle odbywałem w ciągu zimy te wizyty o czwartej, później w
skutek

przydłużenia się dnia o szóstą, Titäa bowiem za widoku nie mogła w
żaden sposób

mijać wart i wojskowych, gdyżby ją poznano w przebraniu.

Jak przeczuwałem, tak się stało. Na kilka minut przed szóstą, znalazła
się u

mnie Titäa.

— Daj mi pan kartę... mundur...

— Pani! — zawołałem — to szaleństwo musi mieć koniec...

— Boisz się pan, byś na kilka dni nie poszedł na odwach? —
zagadnęła ironicznie.

— Tak! boję się! — odparłem rozdrażniony — boję się o panią.

— Jeśli ja się o siebie nie boję, to...

— Toś pani szalona! — zawołałem, siląc się na wymowę. — Jedna
chwila...

Zostajesz poznaną! aresztowaną! Jesteś nazajutrz przedmiotem
niebываłego

skandalu, zajmującego wszystkie władze, wszystkie salony, wszystkie ulice...

Na te słowa zbladła jak ściana i przypatrywała mi się bystro.

— Ja muszę go widzieć!- rzekła stanowczo.

— Tak, dziś i jutro — mruknąłem.

— Jesteś pan — zawołała szorstko — nie dżentelmanem.

— Pani! — podchwyciłem zażenowany jak nigdy — więcej słowa nie powiem, tylko

proszę, byś pamiętała, że skłaniając cię do zaniechania tej niebezpiecznej

zabawy...

— Zabawy? — zapytała Titäa przerywając mi. Stałem oniemiały pod jej groźnym

spojrzeniem,

które błyszczało zdwojoną siłą na szkarłatnej jej twarzy.

— Zapomniałem się nawet do tego stopnia — czempredzej kończyłem — iż byłem pani

przykrym.

— Ha! ha! — zaśmiała się nerwowo. — Stałeś się pan nie przykrym, tylko

narzuciłeś gwałtownie mej wyobraźni straszne dla mnie pytanie.

— Pytanie?

— Tak! pytanie! — powtórzyła. — Pytam się sama siebie, czy też dobrze umieściłam

moje nieograniczone zaufanie?

— We mnie?

— W panu! — odrzekła. — Sądziłam, iż rozumiałeś, że ja czynię tylko to, co

uznaję za konieczne i szlachetne. Sądziłam, że pan będziesz dość przenikliwy na

to, by wiedzieć, że to co czynię, nie jest zabawą, lecz... cierpieniem. Stałem jak winowajca.

— Pani! — szepnąłem. — Przebacz... ale wierzaj mi, że nie miałem zamiaru...

— Wierzę — odparła — wierzę, że żałujesz teraz, ale są wyrazy, które w pewnych okolicznościach, z pewnych ust i do pewnych osób wychodzić nawet przypadkiem nie powinny.

Od chwili jej wyjścia byłem w gorączkowym niepokoju. Ile razy bowiem ona wychodziła do więzienia Beli, musiałem siedzieć kamieniem w domu, dlatego tylko, aby nie spotkać się wypadkiem z Galaviczinim, wiedzącym, że każdego czwartku wieczorem, jeśli nie on, to ja miałem być u przyjaciela. Dnia tego zapytywał mnie nawet czy idę. Musiałem siedzieć i rachować minuty, które upływały powoli.

W tem usłyszałem szybkie kroki mężkie i brzęk szabli tuż pod moimi drzwiami.

Struchlałem przypominając sobie, że nie zamknąłem drzwi za wychodzącą Titää.

Wszakże nikt mnie o tej porze zastać w domu nie mógł. Rzuciłem się ku drzwiom, ale o sekundę za późno, bo w chwili, w której chwyciłem za klamkę, otworzył je i stanął przedemną Galaviczini.

Kilka chwil staliśmy w milczeniu. On zdziwiony moim pomięszaniem, ja wysilający się na wymyślenie sposobu na pozbycie się przyjaciela.

— Nie jesteś u Beli? — zapytał.

— Me! jak widzisz.

Wszedł, zrzucił z siebie płaszcz i usiadł na krześle, baczenie mi się przypatrując.

— Jesteś nieswój, mój kochany.

— Rzeczywiście — odparłem — jestem nieswój. Rotmistrz wstał.

— Przeszedłem nie w porę — odezwał się po chwili namysłu. — Nie miałem nawet zamiaru być u ciebie, zdawało mi się bowiem, że poszedłeś do Czákvara, ale przechodząc ulicą, dostrzegłem światło w oknach twego saloniku i wstąpiłem, aby się dowiedzieć czyś nie zasnął.

— Rzeczywiście, zasnąłem.

— Szkoda w takim razie, żeś mnie nie zawiadomił. Ten biedak wyczekuje w więzieniu i spodziewa się, że go który z nas odwiedzi, ale to się da naprawić

dodał spoglądając na zegarek — jest ósma. Daj mi kartę, ja pójdę. Sięgnąłem ręką do pugilaresu. Zacząłem coś bełkotać, co, nie pamiętam. Zacząłem niby szukać.

— Nie mam... zginęła... — szepnąłem — zobaczę, może jest w płaszczu.

"Wybiegłem do przyległego ciemnego pokoju, mydląc o tem tylko, że Titäa może skrócić swoją wizytę i spotkać się z rotmistrzem.

Widocznie szukałem bardzo długo, gdyż ksiązę zawołał:

— Nie masz?

— Nie mam! — odparłem uradowany, że kłamałem w ciemności.

— To nic nie szkodzi. Pojadę i zamelduję żem zgubił. Wpuszczą mnie...

— Nie! nie możesz tego uczynić.

Rotmistrz zmarszczył brwi i objął mnie wzrokiem.

— Bądźże jasnym! Coś się stało. Widzę z twej miny... Kartę masz?

— Nie mam!

— A więc?...

Wiłem się formalnie, nie wiedząc co wymyślić.

— Słuchaj Galaviczini! — zawołałem — przestań mnie męczyć... Ja karty nie mam, ale ty tam iść nie możesz.

Książę zamyślił się wyteżajaco, posmutniał i wlepił wzrok w ziemię,
— Okłamujesz mnie! — rzekł.

— Tak!

— Jakież cel w tem masz?

— Przecież cel mieć muszę! — zawołałem.

— W okłamywaniu mnie? mnie? — zapytał ze zdumieniem

Galaviczini — mnie,

przyjaciela Beli... twojego... mnie, który ci tyle zaufał...

Te słowa mnie bolały.

— Przestań! -zawołałem — i oddał się — dodałem, spoglądając na zegarek.

Rotmistrz zrobił krok ku drzwiom.

— Idę do fortu — szepnął.

— Nie możesz! — zawołałem, przytrzymując go za rękę.

Objął mnie wzrokiem z uśmiechem politowania i posunął się ku drzwiom.

— Jeśli jesteś człowiekiem honoru — zawołałem — nie pójdziesz...

Urwałem, bo nie wiedziałem co mówić dalej, bo stanęły mi w oczach dwie straszne

alternatywy. Albo książę wychodził i ja niewiedziałem czy pójdzie do domu, czy

do Beli, albo zostawał u mnie i spotykał się z Titää.

— Dajże mi słowo honoru — rzekłem — że prosto ztąd pójdziesz do domu, czy gdzie

chcesz, ale nie do Beli.

— Ależ i owszem — zawołał, podając mi dłoń — widzę, że waryujesz.

— Więc nie pójdziesz do fortu?

— Na dowód, że nie pójdę, mogę zostać tutaj. Intrygujesz mnie i zastraszasz.

— Zostać tu nie możesz — rzekłem. Galaviczini parsknął śmiechem, ale nagle

spowaźniał. Oczy mu zabłyszczały.

— Mój przyjacielu! — odezwał się. — Jestem starym Madziarem i nie próżno

posiwiąłem nad szablą i piórem...

Przypatrywałem mu się z trwogą i ciekawością naprzemian.

— Od chwili już odgadłem — mówił — powód twych kobiecych mdłości... Mniej mnie

interesuje rzecz, którą już znam, niż sposób, w jaki ona się odbywa...

— Myślisz?

— Myślę — podchwycił książkę chwytając mnie za

pulsującą rękę — myślę, nie myślę, tylko wiem, że teraz w więzieniu u Beli bawi

panna Teschanji... a za chwilę tu będzie.

— Któż ci taką szaloną rzecz podszeptał?

— Podszeptał? młody poruczniku czwartego pułku. Tyś mi ją opowiedział! Ty!

Nie próbowałem przeczyć.

— Więc tak! — szepnąłem.

XXIII.

Ostatecznie wdzięczny byłem księciu za jego przenikliwość i domyślność, prawie

zaraz rad byłem wypadkowi, do którego ręki nie przyłożyłem, a który mi dawał

takiego doradcę i powiernika, jak rotmistrz, w tych trudnych i męczących mnie

okolicznościach.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, książkę zamysłony, a ja czekający niecierpliwie,

by usta otworzył. Nastąpiło to po dość długiej przerwie.

— Nie jestem ciekawy — rzekł. — Nie byłbym nic uczynił, by znać tę historię, ale

uważam za szczęśliwy wypadek moje przypadkowe zjawienie się dzisiaj u ciebie.

Historia to poważna, trzeba coś radzić. Jeśli możesz, to mi najdokładniej

opowiedz ważniejsze szczegóły tych zajęć...

Uczyniłem co Galaviczini żądał. Zapominając o położeniu, o czasie, który ubiegał i zbliżał nas do powrotu Titäi, opowiadałem przyjacielowi Czákvara epizody,

jakie zaszły w ciągu zimy między mną, a panną Teschanji.

Książę słuchał z wyteżoną uwagą, nie przerywając ani razu. Gdym skończył,

odezwał się:

— Szczegóły utwierdzają mnie w pierwszym przekonaniu. Tu

potrzeba interwencji

trzeciej osoby...

— Któż nią będzie?

— Ja!

Struchlałem. Galaviczini występując nagle, jako wtajemniczony w to, co ja tylko

wiedziałem, mógł w oczach panny Teschanji, o której dobrą opinię coraz więcej

dbałem, dziwne rzucić na mnie światło, a wypadkiem w takich razach niedostatecznie umotywowane. Księciu innych skrupułów udzielać nie

potrzebowałem. Ten wykształcony człowiek stawiał się zawsze w położeniu innych,

czego i teraz dał dowody, mówiąc:

— Rozumiem chwilową delikatność twojej roli. Ale na to niema rady.

Panna

Teschanji może sobie również myśleć, co zechce. W jej interesie tylko wystąpię.

Bo widzisz, rzecz tak się ma: Czy Titäa kocha się w Beli, tego nie wiem, ale

Titäa ma dowody na to, iż Gyula sam sobie życie odebrał. Te dowody, z którymi

wystąpić nie może, są owem cierpieniem, o którym ci przed chwilą wspominała. Ta

okoliczność, wpływająca bezpośrednio z tamtej, jest przyczyną,

dla której odwiedza Czákvara, poczuwając się względem niego do poważnych obowiązków. To jest zupełnie jasne! Bela poprawił się na humorze, nie dlatego, że się kocha w Titäi, czemu nie przeczę, ani nie dlatego, że jest kochanym przez nią, czemu również nie mam przyczyn nie wierzyć, Bela jest szczęśliwym w swem więzieniu, bo wie, iż je wcześniej czy później opuści.

— Co ty mówisz!?

— Zobaczmy! — odrzekł. — Teraz rzeczy tak stoją. Panna Teschanji, w której mocy jest uwolnić Belę, porozumiewszy się z nim, zwleka z działaniem. Czy mu osładza swojemi wizytami jego los? czy też ulega tutaj podszeptom serca? to zobaczymy.

Dowody te więc są natury kompromitującej, do czego niema odwagi się przyznać, albo...

— Albo?...

— Albo nie są jeszcze w jej rękach. Tu jest strona niejasna sprawy. Badajmy dlaczego?

Pomyślał i dodał:

— Sądzę dlatego, iż ona sama okrywa wszystko tajemnicą i dusi ją w sobie.

Kobieta taka jak ona nie może znaleźć drogi prowadzącej do celu, która jest może prostą i łatwą.

— A Bela?

— Bela jest zbyt wielkim dżentelmanem, by jej insynuował jakie niebezpieczne

środki. A zresztą i on jest młodym i on...

Urwał, znów podumał i kończył:

— Wypadek dzisiejszy uważam za szczęście. Wszystko zdaje się przemawiać za tem, że Bela może być wolnym. Chodzi o zbadanie widocznej tajemnicy, będącej dotąd tylko w posiadaniu Titäi, będącej dziś może w posiadaniu ich obojga. Tajemnica

ta musi być jej wydarta, a wtedy...

— Wtedy?

— Wtedy zobaczymy! — zawołał z energią. Spojrzałem na zegarek i zerwałem się jak

oparzony. Wskazówki stały na piątej minucie po w pół do dziesiątej. Galaviczini

przeżony bladością, nagle pokrywającą moje oblicze, zapytał:

— Co?

— Pięć minut po w pół do dziesiątej.

— Czy Titäa jest tak akurata?

— Najakuratniejszą! A umówiliśmy się, że opóźnienie choćby pięciu minut, uważać

winieniem za katastrofę.

— Może zegarki — zawołał również zestraszony rotmistrz — wasze?...

— Zegarki nasze regulujemy za każdym razem.

— I dziś?

— Dziś jak zawsze! Titäa zwykle na pięć minut, ale najpóźniej na dwadzieścia

minut przed umówioną godziną już tu była.

Książę się zerwał.

— Jeszczeby tego brakowało...

Chodziłem po pokoju jak szalony zwierz. Przystawałem i nadśluchiwałem ruchu na

ulicy. Wyglą-

dałem do sieni. Tak upłynęło długich, jak wieki, nowych minut siedem.

— Która? — zapytałem — u ciebie?

— Dwanaście! — krzyknąłem i wybiegłem jak obłąkaniec.

W ciągu kwadransa byliśmy w więzieniu. W olbrzymiej, oświetlonej latarnią bramie

spacerowała warta, żołnierz od piechoty, którego kroki odbijały się ponuro o sklepienie.

— Czyś nie widział wychodzącego oficera od huzarów? — zapytał go książę.

— Nie, panie rotmistrzu.

— Od dawna tu stoisz?

— Od czwartej.

— Nie widziałeś wchodzącego oficera czwartego pułku od huzarów?

— Widziałem o piątej.

— Nie wychodził?

— Nie...

Pobiegliśmy dalej przez środek ciemnego podwórza do gmachu, stanowiącego

więzienie. Tu również stał żołnierz na warcie. To samo pytanie zadałem mu,

dopadłszy go wpierw, niż Galaviczini.

— Widziałem! — brzmiała odpowiedź.

— Gdzie się udał?

— Został aresztowany.

— Przez kogo?

— Przez oficera dyżurnego.

— Gdzie się udali?

— Na odwach.

Spojrzelśmy po sobie z Galaviczinim i pobiegli we wskazanym przez żołnierza kierunku.

Panna Teschanji córka nababa i dygnitarza, córka hrabianki Erodni, wielka

partya peszteńskiego high lifu przytrzymaną została i zaaresztowaną w przebraniu

za oficera huzarów, w chwili" gdy wychodziła z więzień wojskowych,
zwanych

"fortem Ś-go Szczepana. "

— Czy to możliwe?

Galaviczini stanął, ale się obruszył, ruszając zaraz z miejsca
przyśpieszonym

tempem i mrużąc:

— Oszalałeś!.. Stało się! A teraz na minutach wszystko zawisło...

XXIV.

W wielkiej sali, oświetlonej wiszącą u sufitu latarnią, siedziała przy
ścianie,

na drewnianej ławie Tita w huzarskim mundurze. Była blada jak
chusta, a oczy

jej wyglądały jakby miały wybuchnąć potokiem łez.

Po komnacie spacerował nadporucznik od piechoty, szarpiąc nerwowo
wąsa, z

opuszczoną ku ziemi głową.

Takeśmy ich zastali.

Oblicze panny Teschanji, gdy nas obu zoczyła, pokryło się
szkarłatem, ale nie

drgnęła. Galaviczini przedstawił się oficerowi, a on mruknął:

— Sekai...

Zaśmiał się nagle i zawołał, wskazując na Tita.

— Oto wpadłem w awanturę!

— Człowieku! — podchwycił tragicznie rotmistrz, biorąc poufale
porucznika pod

ramię i odprowadzając go w kąt sali — ratuj ją, mnie, jego... — mówił
wskazując

na mnie.

— Cóż ja mogę? chętniebym...

— Jakto? Nic nie możesz?

— Nie! Sam się tem niewymownie trapię, ale nie mogę nic wymyśleć,...

Książę westchnął i opuścił się na ławę, zapytując:

— Jak długo dyżurujesz?

— Jeszcze pół godziny — odparł Sekai, spoglądając na zegarek. Galaviczini głęboko odetchnął.

— Opowiadaj, jak i co! — zawołał. Sekai mówił, zwracając się do mnie.

— Jeden z żołnierzy, będących na warcie w więzieniu, zapamiętał fizyognomię

pana. Gdy dziś panna Teschanji weszła, nieszczęście chciało, iż właśnie ten

żołnierz stał na warcie. Widząc na karcie nazwisko nieodpowiadające znanej mu

już fizygnomii, baczniejszą zwrócił uwagę na oficera i odgadł w nim nie ko-

bietę, ale przebranego. Zameldował o tem natychmiast dyżurującemu przedemną

oficerowi. Ten, zapewne nie chcąc się fatygować, zamiast zaraz zaaresztować

gościa Czákvara, spisał protokół z żołnierza. Tu Galaviczini mu przerwał:

— Ten protokół?

— Leży na stole...

Rotmistrz go uchwycił podbiegłszy do stołu i prosząc porucznika by się zatrzymał

w opowiadaniu, odczytał go. Potem dopiero Sekai dalej ciągnął:

— I polecił mnie, zdając mi dyżur, zaaresztować wychodzącego z więzień oficera

czwartego pułku. Tak też uczyniłem w asystencji, wobec której panna Teschanji

przyznała się kim jest...

— Ta asystencya?

— Wachmistrz Rode...

— Co myślisz dalej robić?

— Naradzić się z moim następcą i...

— I?

— Zameldować komendantowi gmachu... Panna Teschanji, prawdopodobnie uwolnioną będzie zaraz, lub też...

Urwał, a Galayiczini dalej nie słuchał, tylko opuszczając się na ławę, zakrył

twarz rękami. Wtedy Titaa skinęła, bym się zbliżył. Gdym podbiegł do niej,

szepnęła głosem stłumionym cisnącemi się jej łzami:

— Panie! Ulituj się nademną.

— Pani! Jeśli Galawiczini czego nie wymyśli...

— Nie o to chodzi — podchwyciła Titäa. — Ja jestem na wszystko gotowa, ale tu

idzie o więcej, o życie mego ojca... Biegnij pan do mojej matki i powiedz jej,

że zostałam zaareztowaną...

— Pani matce?

— Tak panie!

— Matka pani? — pytałem, odchodząc od zmysłów.

— Matka moja wie gdzie jestem — odpowiadała gorączkowo — ale gdyby ojciec mój

się dowiedział, umarłby dzisiaj... Galawicziniemu pan to powiedz.

Ratujcie nie

mnie, tylko starego mego ojca...

Chciałem wyjść, ale księżę usłyszawszy me kroki, zmierzające ku drzwiom, zerwał

się:

— Czekaj!

Potarł ręką po czole i zbliżył się do Sekai'ego.

— Możesz mi wyświadczyć przysługę, równającą się...

Nadporucznik mu przerwał:

— Mów... Jeśli tylko możliwą...

— Słuchaj — mówił. — W protokóle zeznał żołnierz, że oficer zwrócił jego uwagę

głównie tem, iż miał wąsy, których dziś nie ma. Czy tak?

— Tak!

— Wachmistrz Röde — ciągnął książkę — pisze w protokóle, że aresztowany z

dwuznacznym uśmiechem odpowiadał?

— Tak!

— Nie sprawdzaliście prawdziwości jej zeznań? Sekai się zaśmiał.

— Co do mnie, nie potrzebowalem... Wszakże mimo przebrania... bez płaszcza...

uchodzić za huzara nie może...

— Pozwolisz mi więc działać?

— I owszem, byle tak, iżbym ja był cały.

— Rozumiem! — odparł Galawiczini, wyciągając do Sekai'ego dłoń i ciągnąc —

dziękuję ci...

— Cóż myślisz? — podchwycił tenże, z przestraczem.

— To do mnie należy — odparł rotmistrz i zwrócił się do mnie: —

Biegnij co tchu

i ogól wąsy.

Powróciłem do hauptwachy pięć minut przed jedenastą, to jest przed godziną, w

której miał być Sekai zastąpiony.

Zastałem już wszystkich w gorączce.

Galawiczini zdenerwowany do najwyższego stopnia, nie patrząc nawet na obudzającą

śmiej Sakai'ego, moją ogoloną twarz, szeptał tonem rozkazu.

— Ja wychodzę z panną Teschanji... ty zostajesz i ciebie Sakai zda swemu

następcy... wyglądasz doskonale!

— Ale Röde? — zawołał nadporucznik. Książkę uśmiechnął się i mówił do mnie:

— Röde'mu, którego, skoro tylko wyjdziemy, widzieć musisz, wsuniesz sto

guldenów...

— Dalej? — zapytałem.

— Dalej! — Przenocujesz tu, jeśli cię zatrzyma-

ją, a jutro rano wyjawisz, iżeś zażartował z wart, aresztujących cię na zasadzie

żeś zgolił wąsy.

To mówiąc, wybiegł z Titaą, zostawiając mnie i Sekai'ego w osłupieniu.

Staliśmy długo naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Sekai chodził wielkimi

krokami, a gdy się pierwszy raz zatrzymał, odezwał się:

— Nie znałem tego Galavicziniego! To genialny człowiek! Tej kombinacji nic

zarzucić nie można. Zawsze jednak dostaniesz się kolega na kilka dni do

aresztu...

Dały się słyszeć" w ponurych i pustych korytarzach kroki i brzęk pałasza. To

nadchodził oficer, mający zastąpić Sekai'ego.

Odsunąłem się więc zdala od Sekai'ego, który pośpiesznie przyćmił latarnię,

ażeby następca jego mógł choć w pierwszej chwili wierzyć, iż jestem kobietą.

Chodziło mu o niewydanie się na razie zbyt naiwnym, aż śmiesznym.

W ostatniej chwili jeszcze się odezwał:

— Ten Galaviczini jest genialny...

XXV.

Zostałem skazany aż na trzy tygodnie domowego aresztu, z tego tylko względu, iż

następca w dyżurze Sekai'ego, był jednym z tych oficerów piechoty, z zasady

niechętnych kawalerzystom.

Na dobitkę nieszczęścia, on, przejąwszy mnie wtedy do badania, odstawić kazał do aresztu, gdzie przesiedziałem do następnego dnia. Odbywając więc karę, nie wychodziłem nigdzie i nie wiedziałem nic zgoła, co się działo w domu Teschanjich. Niewidziałem nawet Galavicziniego. Ten napisał mi list tej treści: "Muszę wyjechać na krótko. Być u ciebie czasu nie mam. Donieść ci nic nie mogę."

Po dziesięciu dniach dopiero dowiedziałem się, iż powrócił do Pesztu, a mimo to, do mnie nie przyszedł. Pożerany ciekawością, nieumiejąc sobie wytłomaczyć zachowania się przyjaciela, napisałem do niego bilet z prośbą, by raczył mnie odwiedzić. Galaviczini odpisał: "Jestem względem ciebie w najprzykrzejszej pozycji. Okoliczności podobne tym, które ci w swoim czasie nie pozwalały wtajemniczyć mnie w bieg wiadomych wypadków, nie pozwalają mi znów dzisiaj mó-

wić aż po dalszym ich rozwoju. Wkrótce opuścisz swoje mieszkanie i wolno ci będzie się domyśleć, czy odgadnąć. A może wcześniej jeszcze zajdą wypadki, będące odpowiedzią na twoje pytania. "

Tak domęczyłem się do wili dnia, w którym się kończył mój areszt. Postanawiałem natychmiast udać się do Galavicziniego, Titai, Beli i wymiarkować z ich fizyognomii, co się działo podczas mojej nieobecności. Od kolegów odwiedzających mnie, wiedziałem tylko, że rotmistrz bardzo był zajęтым, że w ciągu upłynionych trzech tygodni wyjeżdżał kilkakrotnie, że Titaa

pojawiała się w świecie, o wypadku w więzieniu było cicho.
Rozchodziła się nawet
po Peszcie pogłoska, jakoby miała odmówić ręki jednemu z
najsympatyczniejszych
magnatów węgierskich.
Dnia tego wreszcie dostałem oficjalne zaproszenie od Teschanji'ch na
wieczór,
mający się odbyć u nich nazajutrz.
Z niecierpliwością wyczekiwałem tego wieczora. Nie przypuszczałem
nawet, by
Titaa miała odwagę trzymania mnie w nieświadomości rzeczy.
Z uderzeniem dziewiątej godziny wchodziłem do Teschanji'ch.
Oświetlenie a giorno apartamentów nie dziwiło mnie, bo w tym domu
codzień
prowadzono życie na wielką skalę.
W pierwszym salonie zastałem przyjmującą swych

gości panią Teschanji. Przywitała mnie z niebywałą serdecznością.
— Jakże się cieszę, że pana widzę — mówiła. — Czekaliśmy tylko na
niego... Titaa
nie chciała, by ceremonia odbyła się bez pana...
O jakiej ceremonii mówiła matrona? "Wreszcie wybełkotawszy kilka
słów,
zapytałem:
— Czy dzisiaj może jaka uroczystość u państwa? Ja dopiero od rana
opuściłem
mieszkanie...
— Jakto, pan nie wie?
— Nic nie wiem...
— Galaviczini?
— Nie mi nie powiedział.
— Bela?
— Nie widziałem go — odparłem damie, przechodząc w osłupienie.
— A więc — zawołała — widzę, że się wygadałam. To zawsze rola
starych kobiet.

Chcieli panu zrobić niespodziankę... widocznie... Dziś odbęda się
zaręczyny mej
córkę z panem... z Belą...
— Z Czákvarem?
— Tak! Czybyś się pan tego niedomyślał?
— Nie wiedziałem, że jest już wolny.
— Od tygodnia! Idź pan tam — ciągnęła, wskazując salony.
Skoro tylko stanąłem w podwojach od wielkiego salonu, rzucili się do
mnie,
widocznie czekający, Titäa i Bela.
Udawałem zdziwienie. "Wesołość ich nie miała

granic. Promienieli, jak słońce o poranku pogodnego dnia. Była to
śliczna para.
Bela w paradnym huzarskim mundurze, kapiącym od złota, Titäa w
niebieskiej
morowej sukni, w brylantach, które podnosiły blask jej aksamitnych
oczu.
Posypały się pytania i odpowiedzi, uściśnienia i wybuchy radości,
powinszowań i
życzeń.
Promienieli, ale mimo to nie sprawiali mi tego wrażenia czystego
szczęścia,
które jedynie, jak prąd elektryczny się udziela i obcych prawie
porywa.
Mnie w oczach wciąż stawał Gyula ze swą raną w piersiach, w oknie
hotelu w
Souborze, z opuszczoną bezwładnie ręką.
Zapanował wkrótce po mojem wejściu zamęt. Liczni goście się
schodzili. Salony
napełniały się strojnemi toaletami, udekorowanemi frakami i
lśniącemi
mundurami różnych broni i stopni.
Wypadało nam się rozłączyć. "Wtedy Titäa zbliżyła się do mnie i
szepnęła prawie
na ucho:

— Ojciec mój o niczem nie wie.
— Wiem...
— Ojciec mój — ciągnęła — nie wie nawet, że Bela był uwięziony...
— Dobrze! — odparłem zdumiony.
— I ojciec mój — jeszcze podchwyciła Titäa — o niczem nigdy wiedzieć nie może.
Dziś nieodstąpi go Galaviczini, aby kto przypadkiem... A jutro wyjeżdżamy...
Wszystko to w głowie mi się nie mieściło. Wy-

glądałem zafrasowany i zdradzałem moją miną wewnętrzny niepokój,
Titäa go
odgadła i podchwyciła:
— W tym dniu tak radosnym dla mnie, wyglądasz pan niezadowolony? Galaviczini panu nic nie powiedział?
— Nic!
— Są drobnostki, straszne w swych skutkach. W tym dramacie, na którego ostatnim akcie pan jesteś, ja popełniłam... zbrodnię, która się nazywa... Urwała, posmutniała, lekko zbladła, ale po chwili kończyła, powtarzając ostatnie słowa.
— Która się nazywa... on ne badine pas avec l'amour... Bela popełnił również zbrodnię, jaką jest w pewnych razach niedyskrecja...
— Jeśli pani chcesz, by wieczór dzisiejszy nie był dla mnie męczarnią, to bądź jaśniejszą...
— Więcej panu nie powiem przez egoizm, ale Galaviczini...
— Galaviczini ani słowa nie piśnie. Spojrzała w przestrzeń i po pauzie, chwytając swój karnet do zapisywania tańców, wyłamała zeń jedną tabliczkę z kości słoniowej, napisała na niej słów kilka i oddając mi ją, rzekła:

— Teraz powie...

Uchwyciłem gorączkową ręką listek kości, na której stało:
"Do tajemnicy przypuść pan naszego przyjaciela. Titäa."

Od tej chwili czyhałem u a księcia. Ale ten nie odstępował
Teschanji'ego.

Wreszcie nad ranem stary Bośniak wysunął się z salonów. Wtedy
uprowadziłem
rotmistrza do jednego z dalszych od zgiełku gabinetów. Usiedliśmy na
sofie.

— Opowiadaj — rzekłem.

Tu mu oddałem oryginalny bilet Titäi. Galaviczini mu się bacznie
przyjrzał i
odezwał się:

— Wtedy w Souborze — mówił poważnie. — Titäa postanowiła
zabawić się miłością

Gyuli i Beli. Podniecona tym szalem, jaki czuła, iż obudziła w nich, w
chwili

nierozwagi zawiązała korespondencję z Redödym... Titäa jest kobietą
wychowana na

Wschodzie. Listów tej Merkuryem był czternastoletni souborski
wyrastek, który

przebywał, to na ulicy, gdzie mieszkał Gyula, to pod pałacem
Teschanji'h. W tej

scenie w kasynie, której byłeś świadkiem, Gyula popełnił... pokazał
list Titäi

Beli... Czákvar, o którego może i Titäa więcej dbała, wystarał się
również o

list nieszczęśliwej szalonej dziewczyny... Obaj działali jak furyaci,
jakimi

rzeczywiście wówczas byli oszołomieni Titäa, rozwściekieni
Abugörem... Bela

pokazał list Gyuli... Bela się wtedy kochał, a Gyula szalał... Nastąpiła
znana

ci katastrofa... Redödy uchwycił kartkę papieru i napisał na niej te
słowa:

"Czákvar mi pokazał w tej chwili twoje pismo. To pismo mi odbiera życie." List ten wyrzucił za okno czekającemu chłopcu i strzelił do siebie. Wyrostek na ulicy zaledwie podniósł

spadający z okna papier, ujrzał pod swojemi nogami pistolet. Jedno i drugie zaniósł Titai... Pistolet musiał wylecieć wypadkiem... Titäa postąpiła tak, jak wiesz. Postąpić inaczej czy mogła?... Nie wiem. Jeśli zawiniła względem Beli, to...

— Ależ on mógł być rozstrzelanym?

— Miała trudny wybór. Stary Teschanji, Turek pojęciami, dziśby... teraz, w tej chwili, umarł, gdyby się dowiedział połowy tej historii, która cała wynika z niedyskrecyi. Gdyby Gyula nie był...

Urwał i wstając jakby rozgorączkowany ze sofy, szepnął:

— Jedna niedyskrecya... co narobiła, czego o mało nie narobiła?

Gdyby Gyula nie

był napisał? gdyby ten wyrostek, którego odnalazłem nie był tej kartki doniósł?., gdyby Titäa przerażona ją była zniszczyła?... gdyby to i to jeszcze,

ten — kończył, wskazując mi oczami na salę, gdzie tańczono — jęczałby w

kryminale, a onaby miała dwie zbrodnie na sumieniu.

— Ależ ma jedną? — wtrąciłem głęboko wzruszony.

— To pytanie — podchwycił Galaviczini — pytanie, którego my nie rozstrzygniemy.

Ta zbrodnia, śmierć Gyuli, spadnież ona na nią? czy na...

niedyskrecyę

dżentelmana?

— Według ciebie?

— Według mnie — odparł książę — ona popełniła dziecinne szaleństwo, a Gyula...

— Gyula?

— Zbrodnię, jaką w kodeksie ludzi honoru jest i będzie tego rodzaju niedyskrecja.

— Wszakże Bela ją popełnił również — zawołałem.

— Pytanie, czyby ją był popełnił. On poszedł śladem...

Więcej nie mówiliśmy o tem.